

ANATOL FRANCE
WYSPA
PINGWINÓW



WARSZAWA — MCMXXXI — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI
ANATOLA FRANCE'A

WSTĘP JANA PARANDOWSKIEGO



WARSZAWA — MCMXXXI — KRAKÓW

KSIAŻNICA WIELKICH
PISARZY CUDZOZIEMSKICH



84.133.1-3



[Handwritten signature]

PRZEKŁAD JANA STENA



840-3



SN 13987

Mimo pozornej różnorodności nęcących mnie zajęć, życie moje ma jeden tylko cel. Chcę uskutecznić wielki zamysł. Piszę dzieje Pingwinów. Pracuję nad tem wytrwale, nie zrażając się częstemi trudnościami, które niekiedy zdają się wręcz niezwalczone. Kopalem ziemię, by z niej odgrzebać pomniki tego narodu. Pierwszemi księgami ludzi były kamienie. Badałem kamienie, które uważać można za pierwotne kroniki Pingwinów. Przeszukałem na wybrzeżu oceanu nietknięty jeszcze kurhan; znalazłem w nim, jak zwykle krzemienne siekiery, miecze spiżowe, monety rzymskie i franka z wizerunkiem Ludwika Filipa I., króla Francuzów.

Dla czasów historycznych wielką pomocą była mi kronika Johanna Talpy, mnicha z klasztoru Beargarden. Tem obficie z niej czerpałem, że w późnem średniowieczu niema innego źródła do historii Pingwinów.

Bogatsi jesteśmy w stosunku do XIII wieku, bogatsi ale nie szczęśliwsi. Bardzo trudno jest pisać historję. Niewiadomo nigdy dokładnie jak się rzeczy odbyły, obfitość dokumentów

powiększa jeszcze zakłopotanie historyka. Jeśli fakt znany jest tylko jednemu świadkowi, przyjmuje go się bez wielkiego wahania; niepokój zaczyna się dopiero, gdy fakt przytaczany jest przez dwóch lub więcej świadków; bo świadectwa ich są zawsze sprzeczne i pogodzić się nie dadzą.

Bezwątpienia względy naukowe, by jednemu świadectwu dać pierwszeństwo nad drugim, są niekiedy bardzo silne. Nigdy jednak nie są silne na tyle, by przeważały nad naszymi namiętnościami, przesądami, interesami, by zwalczyły tę lekkomyślność wspólną wszystkim poważnym ludziom. Więc bezustannie przedstawiamy fakty w sposób stroniczy lub płochy. Zwierzyłem się kilku uczonym archeologom i paleografom, rodakom i obcym, z trudności, jakich doświadczam w pisaniu historii Pingwinów. Naraziłem się na ich wzgardę. Patrzyli na mnie z uśmiechem politowania, który zdawał się mówić: «Czyż piszemy historję, my? Czyż z tekstu, z dokumentu staramy się wyciągnąć choćby najmniejszą cząsteczkę życia lub prawdy? Poprostu wydajemy teksty. Trzymamy się ich litery. Litera tylko jest ścisła i ocenić się daje. Umysł nie jest ścisły; idee są fantazjami. Trzeba być bardzo próżnym, by pisać historję: trzeba mieć też bogatą wyobraźnię».

Wszystko to mieściło się w spojrzeniu i uśmiechu naszych mistrzów w paleografji, i rozmowa z nimi głęboko mnie zniechęciła. Pewnego dnia,

gdy po rozmowie ze znamienitym sigillografem byłem jeszcze bardziej zgnębiony, przyszła mi taka myśl do głowy:

— Jednak są przecie jeszcze historycy; ród ich nie wyginał doszczętnie. Jest ich pięciu, czy sześciu w Akademji Nauk Moralnych. Ci nie powiedzą mi, że trzeba być bardzo próżnym, aby poświęcać się tego rodzaju pracy.

Myśl ta dodała mi otuchy.

Nazajutrz (jak mówią, a na jutro jakby powiedzieć należało) stanąłem przed obliczem jednego z nich, starca przebiegłego.

— Przychodzę, panie — rzekłem doń — zasięgnąć rady doświadczenia pańskiego. Męcę się okropnie pisaniem historji i do żadnych nie dochodzę wyników.

Odpowiedział mi, wzruszając ramionami.

— Poco się tak męczyć, zacny panie, i poco pisać historję, kiedy wystarczy przepisać najbardziej znane fakty, jak to jest w zwyczajach? Jeśli masz pan nowe zapatrywania, ideę oryginalną, jeśli przedstawiś fakt i ludzi w nowej postaci, zadziwisz tylko czytelnika. A czytelnik nie lubi, by go zadziwiać. W historji szuka on tylko starych bredni, które już zna. Jeśli spróbujesz nauczać go, rozgniewasz go tylko i upokorzysz. Nie próbuj go oświecać. Wołać będzie wielkim głosem, że ubliżasz jego wierzeniom.

Historycy kopują jeden drugiego. W ten sposób oszczędzają sobie pracy i unikają zuchwałej zarozumiałości. Naśladuj ich i nie bądź

oryginalnym. Historyk oryginalny jest przedmiotem nieufności, wzgardy i niechęci ogólnej.

Czy sądzisz pan, że byłbym cenionym i szanowanym, jak nim jestem, gdybym do moich dzieł historycznych wprowadził był coś nowego. I czemu są nowinki? Impertynencją.

Wstał. Podziękowałem mu za uprzejmość i zmierzałem ku drzwiom; odwołał mnie:

— Jeszcze słówko. Jeśli pan chcesz, aby książka twoja była dobrze przyjęta, nie zaniedbaj okazji, by wysławiać cnoty, na których, wspierają się społeczeństwa: poświęcenie dla bogactwa, uczucia pobożne, a specjalnie rezygnację ubogich, która jest podstawą ładu. Zapewnij pan, że prawa własności, szlachectwa, przewagi żandarmskiej traktowane będą w twym dziele z całym szacunkiem należnym tym instytucjom. Daj do zrozumienia, że, gdy się zdarzy, uwierzysz w istnienie potęg nadprzyrodzonych. Pod tym warunkiem możesz liczyć na powodzenie w lepszym towarzystwie.

Rozmyślałem nad temi rozumnymi spostrzeżeniami i wziąłem je pod uwagę.

Nie mam potrzeby zajmować się pingwinami przed ich metamorfozą. Należą do mnie od tej chwili dopiero, gdy występują z zoologii, by wstąpić do historii i teologii. Istotnie wielki święty Maël przemienił pingwinów w ludzi, trzeba jednak to wytłumaczyć, bo obecnie nazwa ta może być powodem do zamieszania.

Nazywamy pingwinami ptaki strefy podbiegunowej z rodziny zimorodków; nazywamy bezlotkami typ, zamieszkujący morza północne. Czyni tak na przykład pan G. Lecoite w swoim opisie podróży okrętu *Belgica* ¹⁾ «Ze wszystkich ptaków, zamieszkujących cieśninę de Gerlache — mówi on — bezlotki są niezaprzeczenie najciekawsze. Niekiedy mylnie zowią je pingwinami południa». Doktor I. B. Charcot, przeciwnie utrzymuje, że prawdziwymi i jedyne pingwinami są te ptaki z okolic bieguna południowego, które zwiemy bezlotkami i na poparcie swego twierdzenia przytacza, że Holendrzy w 1598 roku, dotarłszy do przylądka Magellana, dali im nazwę pingwinów zapewne z powodu ich tłuszczu. Ale, jeśli bezlotki zowią się pingwinami, jakże teraz zwać się będą pingwiny? Doktor I. B. Charcot nie mówi nam tego i zdaje się zupełnie tem nie kłopotać ²⁾).

A zatem zgodzić się trzeba, by jego bezlotki pozostały lub zostały pingwinami. Odkrył je, więc ma prawo obdarzyć je nazwą. Niech pozwoli przynajmniej pingwinom północy pozostać pingwinami. Będą więc istnieć pingwiny południowe i pingwiny północne, antarktyczne i arktyczne, zimorodki czyli dawne pingwiny

¹⁾ G. Lecoite, *Au pays des manchots*, Bruxelles 1904, in 8°.

²⁾ I. B. Charcot, *Journal de l'expédition antarctique française 1903—1905*. Paris, in 8°.

i dawne bezlotki. Wprowadzi to może w kłopot ornitologów, pragnących opisać i klasyfikować ptactwo pletwonogie; zapytają się może, czy istotnie należy jednym mianem określać dwie rodziny, zamieszkujące dwa przeciwległe bieguny i różniące się pod wielu względami, mianowicie dziobem, skrzydłami, łapkami. Co do mnie, bardzo dobrze zadawałm się tem zamięszaniem. Jakiekolwiek byłyby różnice między memi pingwinami, a pingwinami I. B. Charcot'a, podobieństwa ich są głębsze i liczniejsze. Te i tamte odznaczają się miną poważną i spokojną, komiczną godnością, poufałością, żartobliwą dobroduszością, ruchami niezgrabnemi i uroczytymi zarazem. Jedne i drugie pokojowo usposobione, wymowne, chciwe widowisk, zajęte sprawami publicznemi i być może trochę zazdrosne o przewagę swoją.

Moi hyperberezycy mają co prawda skrzydła pokryte nie łuską lecz twardem pierzem; chociaż nogi ich nie są tak ku tyłowi osadzone, jak nogi południowców, chodzą jednak tak samo z biustem wystawionym, z głową podniesioną, kołysząc ciało w równie godny sposób. Dziób ich nie mało się przyczynia do omyłki, w którą popadł apostoł, biorąc ich za ludzi.

Praca niniejsza należy, wyznać to muszę, do rodzaju dawnej historii, tej która przedstawia ciąg faktów zapamiętanych i która, o ile to możliwe, przytacza powody i skutki: jest to ra-

czej sztuka niż wiedza. Utrzymują, że ten sposób pisania historii nie zadawalnia już umysłów ścisłych i że starożytna Clio uchodzi dziś za plotkarkę, opowiadającą brednie. Może będzie kiedyś, w przyszłości, historia pewniejsza, historia warunków życia, ucząca nas, co każdy naród w [każdej epoce wytworzył i zużył na wszystkich polach swej działalności. Historia taka nie będzie już sztuką lecz wiedzą i mieć będzie ścisłość, której brak historii dawnej. Ale, żeby powstać mogła, potrzeba jej będzie mnóstwa statystyk, których dotąd brak u wszystkich ludów, a szczególnie u Pingwinów. Być może, że nowoczesne narody dostarczą kiedyś elementów takiej historii. Co się tyczy ludzkości minionej, obawiam się, że zawsze trzeba będzie zadawalniać się opowiadaniem na sposób dawny. Los takiego opowiadania zawisł od przenikliwości i dobrej wiary opowiadającego.

Jak powiedział pewien wielki pisarz z Alca, życie narodu utkane jest ze zbrodni, nędz i szaleństw. Z pingwinami działo się to samo, co i z innymi narodami; jednak historia ich ma kilka momentów prześlicznych, które mam nadzieję należycie przedstawić.

Pingwini byli długo narodem wojowniczym. Jeden z ich ziomków, Jacquot filozof, opisał charakter ich, w małym obrazku rodzajowym, który tu przytaczam i który bezwątpienia mile będzie widzianym.

«Mędrzec Gracjan przebiegał Pingwinję za czasów ostatnich Drakonidów. Pewnego dnia, gdy przechodził zaciszną doliną, gdzie w czystem powietrzu dźwięczały srebrzyste dzwonki, zawieszone na sztykach pasących się krów, zmęczony siadł na ławce u stóp rozłożystego dębu, rosnącego koło chaty. Na progu niewiasta karmiła dziecię; młody chłopak igrał z dużym psem; a niewidomy starzec, siedząc na słońcu, otwartymi wargami zdawał się spijać jasność dzienną.

Gospodarz domu, człowiek młody i dziarski, ofiarował Gracjanowi chleb i mleko.

Filozof marsuański, spożywszy ten sielski posiłek, rzekł:

— Mili mieszkańcy milego kraju — serdecznie składam wam dzięki. Wszystko dyszy tu radością, zgodą, pokojem.

Gdy tak mówił, przeszedł mimo niego pasterz, wygrywający marsza na swojej kobzie.

— Co to za zwawa melodja? — zapytał Gracjan.

— To hymn wojenny przeciw Marsuanom — odrzekł wieśniak. Wszyscy go tu śpiewają. Małe dzieci umieją go, zanim się mówić nauczą. Jesteśmy wszyscy dobrymi Pingwinami.

— Nie lubicie Marsuanów?

— Nienawidzimy ich!

— Dlaczegoż ich nienawidzicie?

— Pytasz o to? Czyż Marsuanie nie są sąsiadami Pingwinów?

— Bezwątpienia.

— No więc, dlatego to Pingwini nienawidzą Marsuanów.

— Czyż jest to dostateczna przyczyna?

— Oczywiście. Kto mówi sąsiad, mówi nieprzyjaciel. Patrz na pole, które dotyka mego pola. Jest to pole człowieka, którego najwięcej na świecie nienawidzę. Po nim największymi, moimi wrogami są mieszkańcy wioski, rozłożonej na przeciwległym zboczu doliny, u stóp tego brzozowego lasu. W wąskiej tej dolinie, ze wszech stron zamkniętej, jest tylko ich wioska i nasza: są sobie wrogie. Ilekroć nasi parobcy spotkają tych zprzeciwka, wymyślają sobie i biją się. I chcesz, aby Pingwini nie byli wrogami Marsuanów? Nie wiesz zatem co to patriotyzm? Dwa tylko okrzyki wyrrywają się z mych piersi: «Niech żyją Pingwini! Śmierć Marsuanom!»

Przez trzysta wieków Pingwini prowadzili wojny ze wszystkimi narodami świata z niesłabnącym zapalem i różnem szczęściem. Potem w kilka lat zniechęcili się do tego, co tak długo lubili, upodobali sobie pokój, co wyrażali z godnością, bezwątpienia, ale jak najszczerzej. Generalowie ich bardzo dobrze przyjęli ten nowy kaprys; cała armja, oficerowie, podoficerowie, żołnierze, rekruci, weterani z przyjemnością stosowali się do tego, żalili się nań tylko gryzpiórki i szczury biblioteczne, a beznogie kaleki były niepokieszone.

Tenże sam Jacquot-filozof napisał opowieść moralną, w której w komiczny i dobitny sposób przedstawił różne czyny ludzkie i domieszał do nich niektóre rysy historii własnego kraju. Gdy go pytano, w jakim celu napisał tak przekręconą historję i jaką według niego korzyść osiągnie z tego jego ojczyzna — odpowiedział:

— Bardzo wielką. Jak ujrzą czyny swoje przekręcone i odarte ze wszystkiego, co im pochlebialo, Pingwini lepiej o nich sądzić będą i może mądrzejszymi się staną.

Chciałbym w tej historii nie zaniedbać nic z tego, co by mogło zainteresować artystów. Znajdzie się w niej rozdział o malarstwie pingwińskim w wiekach średnich, a jeśli rozdział ten jest mniej kompletny, niżbym pragnął być, nie moja w tem wina, jak o tem można przekonać się, czytając opowiadanie, którem kończę tę przedmowę.

W czerwcu roku zeszłego przyszło mi na myśl, żeby zasięgnąć opinji pana Fulgencjusza Tapira, uczonego autora «Powszechnych roczników malarstwa, rzeźby i architektury, o pochodzeniu i postępie sztuki pingwińskiej».

Wprowadzony do gabinetu jego, ujrzałem przy biurku za olbrzymim stosem papierów małego człowieka, nieprawdopodobnego krótkowidza, mrużącego oczy za szklami w złotych okularach.

Zeby wynagrodzić wadę oczu, nos jego wydłużony, ruchomy, obdarzony znakomitym zmysłem dotyku, badał świat zewnętrzny. Organem tym Fulgencjan Tapir utrzymywał łączność ze

sztuką i pięknem. Zauważono, że we Francji najczęściej krytycy muzyczni są głusi, a krytycy plastyki ślepi. To pozwala im skupić się, co tak potrzebne jest dla zrozumienia estetyki. Czy sądzicie, że ze wzrokiem zdolnym objąć kształty i barwy, jakimi przyobleka się tajemnicza przyroda, Fulgencjusz Tapir wzniosłby się był po górze drukowanych dokumentów i rękopisów aż na szczyt doktrynerskiego spirytualizmu i powziąłby tę potężną teorię, która sztukę wszystkich krajów i wszystkich epok sprowadza do Instytutu, ich końca ostatecznego?

Ściany gabinetu, podłoga, sufit nawet dźwigały napęczniałe stosy, pudła niemożliwie wypchane, skrzynki, w których cieśniły się niezliczone kartki. Z trwożnym zachwytem patrzyłem na te katarakty erudycyj gotowe do zerwania tamy.

— Mistrzu — rzekłem wzruszonym głosem — udaję się do życzliwości i wiedzy twojej niewyczerpanej. Czy nie zechciałbyś pomóc mi w poszukiwaniach moich co do źródeł sztuki pingwińskiej?

— Panie — odrzekł mistrz — mam sztukę całą, rozumie pan, całą sztukę klasyfikowaną alfabetycznie i według spisu rzeczy. Mam sobie za obowiązek oddać do twego rozporządzenia wszystko, co odnosi się do Pingwinów. Wejdz na tę drabinę i wyciągnij pudełko, które widzisz tam w górze. Znajdziesz w niem wszystko, co potrzebnem ci będzie.

Usłuchałem z drżeniem. Ale za ledwie dotknąłem się fatalnego pudełka, niebieskie kartki,

wysuwając się z mych palców, zaczęły płynąć potokiem. Prawie natychmiast przez sympatję otwarły się sąsiednie pudełka i wypłynęły z nich strumienie kartek różowych, białych, zielonych i różnokolorowe kartki, jedne za drugimi ze wszystkich pudełek wymknęły się z szumem podobnym do wiosennego szumu potoków górskich. W jednej chwili pokryły podłogę grubą warstwą papieru. Tryskając z niewyczerpanych zbiorników z szumem coraz silniejszym, ciągle przyspieszały swój rwący bieg. Do kolan zatopiony Fulgencjusz Tapir uważnym nosem obserwował ten kataklizm; rozpoznał jego przyczynę i zbladł z przerażenia.

— Ileż tu sztuki! — zawołał.

Zawołałem go, pochyliłem się, by mu pomóc wstąpić na drabinę, uginającą się pod ulewą. Było już za późno. Zgnębiony, zrozpaczony, litości godny, bez aksamitnej czapeczki i złotych okularów, które był zgubił, nadaremnie swemi krótkimi rękami stawiał opór falom, dochodzącym mu do ramion. Nagle uniosła się straszliwa trąba kartek i spowiła go w olbrzymi wir. Przez sekundę widziałem w otchłani wypolerowaną czaszkę i pulchne rączki uczonego, potem otchłań zamknęła się i potok rozlał się w ciszy i nieruchomości. W obawie, że i mnie wraz z drabiną moją ten potok pochłonie, uciekłem przez górną najwyższą szybę okna.

Quiberon, 1 września 1907.

ROZDZIAŁ I

ŻYWOT ŚWIĘTEGO MAËLA

Maël, syn królewskiej rodziny Kambryjskiej, w dziewiątym roku życia oddany był do klasztoru w Yvern, by kształcić się w literaturze duchownej i świeckiej. Mając lat czternaście, zrzekł się dziedzictwa swego i poświęcił służbie Bożej. Czas swój według reguły zakonnej dzielił na śpiewanie hymnów, na badania gramatyczne i rozmyślania prawd wiekuistych. Niebiańska woń zdradziła przed braćmi cnoty tego zakonnika, i gdy błogosławiony Gal, przeor Yvern, przeniósł się do wieczności, młody Maël objął po nim zarząd klasztoru. Założył przy nim szkołę, szpital, gospodę dla przyjezdnych, kuźnię, rozliczne warsztaty, warsztat dla budowy okrętów i zakonnikom nakazał karczowanie gruntów okolicznych. Własnymi rękami uprawiał ogród klasztorny, urabiał metale, uczył księży nowicjuszy; życie jego płynęło spokojnie, jak rzeka, która odbija w sobie niebo i użyźnia pola.

O zmierzchu ten sługa Boży zwykł był siadać na skale w miejscu, które dziś jeszcze zo-

wią krzesłem świętego Maëla. U stóp jego, skały podwodne naksztalt czarnych smoków obrosłych trawami i wodorostami przeciwstawiły pianie fal potworne swe bary. Patrzał, jak słońce spuszcza się do oceanu i niby hostja czerwona szlachetną krwią swoją zabarwia purpurą obłoki niebios i szczyty fal morskich. I święty mąż widział w tem obraz tajemnicy Krzyża, przez który boska krew odziała ziemię królewską purpurą. Zdala, ciemno-błękitna linja znaczyła brzegi wyspy Gad, gdzie święta Brygida przyjęła śluby zakonne świętego Maëla i zarządzała klasztorem kobiecym.

Brygida powiadomiona o zasługach czcigodnego Maëla, jako o dar najdroższy, prosić go kazala o jakiś przedmiot, dzieło rąk jego własnych. Maël ulal dla niej dzwoneczek ze spiżu, poświęcił go i rzucił do morza. Dzwoneczek ciągle dzwoniąc, przyplłynal do wybrzeża Gad, gdzie święta Brygida, uprzedzona dźwiękiem spiżu, przyjęła go pobożnie, i w otoczeniu swych dziewic, w uroczystej procesji, przy śpiewie psalmów, wniosła go do kaplicy klasztornej. Tak święty mąż Maël kroczył z cnoty do cnoty. Przebiegl już był dwie trzecie drogi życia i spodziewal się dojść spokojnie do ziemskiego kresu w otoczeniu braci duchownych, lecz po nieomylnym znaku poznal, że inne są wyroki mądrości bożej i że Pan przeznacza go do prac mniej cichych, lecz nie mniej zasług i chwały godnych.

POWOŁANIE APOSTOLSKIE ŚWIĘTEGO MAËLA

Pewnego dnia gdy, medytując, szedł wzdłuż cichej zatoki, której skały daleko wsunięte w morze, tworzyły dziką tamę, ujrzał kamienne koryto, naksztalt czółna płynące po wodach.

W podobnem naczyniu święty Guirec, wielki święty Colomban i tylu innych mnichów ze Szkocji i Irlandji udawało się, by nawracać Armorykę. Nie tak dawno jeszcze święta Avoya, przybyła z Angliji, płynęła w górę rzeki Auray w moździe-rzu z różowego granitu, w który potem wkładać będą dzieci, aby je silnemi uczynić; święty Vonga odbył drogę z Hibernji do Cornouailles na skale, której odłamki zachowane w Penmarch leczyc będą z gorączki pielgrzymów, składających na nich głowę; święty Samson w zatoce góry Saint Michel wylądował z granitowej kadzi, która kiedyś zwać się będzie miską świętego Samsona. To też na widok kamiennego koryta, święty mąż Maël zrozumiał, że Pan przeznacza go do nawrócenia pogan, zaludniających jeszcze wybrzeża i wyspy Bretanji.

Oddał swą grabową laskę świątobliwemu mężowi Hudoc'owi, przez co zdawał mu zarząd nad klasztorem i zabrawszy bochenek chleba, beczulkę wody słodkiej i święte Ewangelje, wsiadł do kamiennego koryta i spokojnie dotarł do wyspy Hoedie.

Wyspę tę bezustannie smagają wichry. Ubo-
dzy jej mieszkańcy łowią ryby wśród szczelin
skał i z trudem uprawiają warzywa w ogrodach
pełnych piasku i żwiru a oparkanionych kamien-
nemi murami lub płotami tamarysu. Piękne drze-
wo figowe rosło w głębi wyspy i daleko rozpo-
ścierało gałęzie swoje. Mieszkańcy wyspy czcili to
drzewo.

Świątobliwy mąż Maël rzekł do nich:

— Czcią i uwielbieniem otaczacie to drzewo,
dlatego, że jest piękne. Zatem jesteście wrażliwi
na piękno. Ja przychodzę objawić wam piękno
ukryte.

I nauczał ich Ewangelji. A nauczywszy ich,
ochrzcił solą i wodą.

Wyspy Morbihanu w owych czasach liczniej-
sze były niż są obecnie. Bo odtąd wiele z nich
morze pochłonęło. Święty Maël nawrócił sześć-
dziesiąt wysp. Potem w granitowem swem ko-
rycie popłynął w górę rzeki Auray i wylądował
przed rzymskim domem; z dachu domu tego
wznosił się lekki dym. Świątobliwy mąż prze-
kroczył próg, na którym w mozaice wyobrażony
był pies, wyprężony na łapach z wargą odwi-
niętą. Przyjęty został przez dwoje małżonków
staruszków; Marcus Combabus i Valeria Moe-
rens żyli tu wśród swych dóbr. Podwórze we-
wnętrzne otoczone było portykiem, którego ko-
lumny do połowy wysokości były malowane na
czerwono. Fontanna z muszli przytykała do jednej
ze ścian, pod portykiem wznosił się ołtarz z niszą,

w której gospodarz domu ustawił małe gliniane bożyszczą, wapnem bielone. Jedne wyobrażały skrzydlate dzieci, inne Apollona lub Merkurego, jeszcze inne — nagą kobietę, skręcającą swe włosy. Świątobliwy mąż Maël przyglądając się tym bożyszczom, spostrzegł między niemi wyobrażenie młodej matki, trzymającej dziecię na kolanach.

Ukazując na posązek ten, rzekł:

— To jest Najświętsza Panna, Matka Boża. Poeta Virgilius zapowiedział ją w pieśniach swoich, zanim się narodziła i anielskim głosem śpiewał *Jam redit et virgo*. I poganie czczą już pro-czecz jej posązki, jak oto ten, który umieściłeś na tym oltarzu, o Markusie. I zapewne ona strzegła twego skromnego ogniska domowego. Tak to ci, co ściśle przestrzegają praw przyrodzonych, przygotowują się do przyjęcia prawd objawionych.

Marcus Combabus i Valeria Moerens, temi słowy przejęci, nawrócili się na wiarę chrześcijańską. Przyjęli chrzest wraz z młodą swą wy-zwolenicą, Caelią Avitellą, która droższą im była, niż światło oczów. Wszyscy ich robotnicy wyrzekli się bałwochwalstwa i tegoż samego dnia zostali ochrzczeni. Marcus Combabus, Valeria Moerens i Caelia Avitella wiedli odtąd żywot pelen cnót. Umarli w Panu i przyjęci zostali w poczet świętych.

Przez trzydzieści siedem lat jeszcze bło-gosławiony Maël nawracał pogan w głębi kraju. Wznosił dwieście osiemnaście kaplic i siedemdziesiąt cztery klasztory.



Aż dnia pewnego, w ogrodzie Vannes, gdzie głosił Ewangelję, dowiedział się, że w czasie jego nieobecności, mnisi w Yvern odstępili nieco od reguły świętego Gala. Natychmiast, z gorliwością kwoczki, zbierającej pisklęta, udał się do swych zbłąkanych dzieci. Dobiegał wówczas dziewięćdziesiątego siódmego roku życia, postać jego pochylila się była, ale ramiona były silne jeszcze i potok wymowy jego rozlewał się obficie, jak śnieg zimą w głębiach dolin.

Opat Budoc złożył w ręce Maëla oznakę władzy, grabową laskę i zawiadomił go o smutnym stanie, w jakim się klasztor znajduje. Mnisi pokłócili się o datę, w której obchodzić należy święta Wielkanocne; jedni byli za kalendarzem rzymskim drudzy — za greckim i okropna schizma chronologiczna rozdzielała braci.

Była jeszcze inna przyczyna bezładu. Zakonnice z wyspy Gad, niepomne dawnej swej cnoty, co chwila przybywały w czólnie na wybrzeża Yvern. Mnisi przyjmowali je w gospodzie dla podróżnych i wynikało stąd zgorszenie, które smutkiem napelniało dusze pobożne.

Wierne to sprawozdanie, opat Budoc zakończył temi słowy:

— Od przybycia tych zakonnice skończyła się niewinność i spokój mnichów.

— Bardzo wierzę temu — odrzekł błogosławiony Maël. — Bo kobieta jest z ręcznie zbudowaną zasadzką; wpada się w nią, jak tylko się ją zwietrzy. Niestety! Cudny czar tych istot

działa jeszcze silniej zdaleka niż zbliżona. Tem więcej wzbudzają pożądań, im mniej je zadawalniają. Stąd ten wiersz poety do jednej z nich zwrócony:

Unikam Cię, gdy jesteś; pragnę, gdyś odeszła.

— To też widzimy, synu mój, że upojenia miłości cielesnej silniej działają na samotników i zakonników, niż na ludzi, żyjących w świecie. Szatan zmysłowości kusił mnie przez całe życie moje w najróżniejszy sposób, najcięższe pokusy nie nachodziły mnie przy spotkaniu z niewiastą choćby piękną i wonną. Wywoływał je zawsze obraz kobiety nieobecnej. I teraz jeszcze, w tak podeszłym wieku, dochodząc dziewięćdziesiątego ósmego roku życia, nieraz przez Wroga pchnięty jestem w grzech przeciwko czystości, myślą przynajmniej. W nocy, gdy zimno mi w łóżku, gdy z głuchym chrzęstem drżą me zlodowaciałe członki, słyszę głosy, powtarzające drugą strofkę trzeciej księgi Królów: *Dixerunt ergo et servi sui: Quaeramus domino nostro regi adolescentulam virginem, et stet coram rege et foveat eum, dormiatque in sinu suo, et calefaciat dominum nostrum regem.* I szatan ukazuje mi dziewczę w kwiecie lat, które mówi: «Jestem twoją Abilag, jestem Sunamitką twoją. O panie mój, zrób mi miejsce w swem łóżku».

— Wierz mi — dodał starzec — bez szczególnej pomocy Niebios, mnich nie mógłby zachować czystości w czynach i w myśli.

Zabrał się natychmiast do przywrócenia niewinności i zgody w klasztorze, poprawił kalen-

darz według obrachunku chronologii i astronomji i przyjąć go kazał wszystkim zakonnikom; odeśłał upadłe córki świętej Brygidy do ich klasztoru, ale nie wypędził brutalnie, lecz odprowadzić je kazał na okręt przy śpiewie psalmów i litanji.

— Uszanujmy w nich—rzekł—córki Brygidy i oblubienice Pana. Nie naśladujmy tych faryzeuszów, udających pogardę dla grzesznic. Grzech tych niewiast, nie zaś ich osobę upokorzyć trzeba; należy je zawstydzić w tem, co uczyniły a nie w tem, czem są: bo są one istotami Bożemi.

I święty mąż prosił braci swych, by wiernie wypełniali regułę zakonu.

— Gdy okręt nie chce być posłuszny sterowi—rzekł im—posłusznym się staje rafie podwodnej.

ROZDZIAŁ III

KUSZENIE ŚWIĘTEGO MAËLA

Błogosławiony Maël za ledwie przywrócił był ład w klasztorze Yvern, gdy dowiedział się, że mieszkańcy wyspy Hoedic, pierwsi jego katechumeni i sercu jego najbliżsi, na nowo powrócili do bałwochwaltwa i zawieszają wieńce kwiatów i wełniane przepaski na gałęziach świętego drzewa figowego.

Przewoźnik, który przywiózł tę smutną wiadomość, wyraził obawę, by zbłąkani ci ludzie

żelazem i ogniem nie zniszczyli kaplicy, zbudowanej na wybrzeżu ich wyspy.

Świątobliwy mąż postanowił bez zwłoki udać się do niewiernych swych dzieci, aby nawrócić ich do wiary i nie dopuścić do spełnienia bluźnierczych gwałtów. Idąc do zatoki, gdzie wylądował był ze swego kamiennego koryta, spojrzal na warsztaty, które założył był w cichej przystani przed trzydziestu laty, a gdzie teraz rozlegał się zgrzyt pił i uderzenia młotów. W chwili tej Szatan, nigdy nie znużony, zbliżył się do świątobliwego męża pod postacią mnicha, imieniem Samson i kusić go począł:

— Ojczy mój, mieszkańcy wyspy Hoedic grzeszą bezustannie. Każda upływająca chwila oddala ich od Boga. Niedługo żelazem i ogniem zburzą kaplicę, którą czcigodnymi rękami twemi wzniosłeś na brzegu ich wyspy. Czas nagli. Czy nie sądzisz, że kamienne koryta twoje prędzej przywiodłoby cię do nich, gdyby zaopatrzone było jak czółno w ster, żagle i maszty, bo wtedy wiatr by je popychał? Ramiona twoje silne są jeszcze i zdolne kierować łodzią. Dobrze też byłoby umieścić ostry dziób na przodzie twego apostolskiego koryta. Zbyt mądry jesteś, aby ci to już nie miało być przyjść na myśl.

— Bezwątpienia, czas nagli — odrzekł świątobliwy mąż. — Ale postąpić, jak radzisz, synu mój, Samsonie, czy nie znaczyłoby to być podobnym do tych ludzi małej wiary, którzy nie

ufają Panu? Czy nie znaczyłoby to gardzić darami Tego, który zesłał mi tę kamienną kadź bez żagli i masztu?

Na zapytanie to Szatan, wielki teolog, odpowiedział innym zapytaniem.

— Ojciec mój, czyż chwalebne jest czekać z założonemi rękami, aż przyjdzie pomoc z góry i żądać wszystkiego od Tego, który wszystko może, zamiast postąpić z ludzką przezornością i radzić sobie samemu?

— Nie, bezwątpienia—odrzekł świętobliwy starzec Maël—byłoby kuszeniem Boga, gdybym zaniedbał postąpić zgodnie z przezornością ludzką.

— Otóż — nalegał Szatan — czy nie jest przezornie kadź tę zaopatrzyć w ster, maszt i żagle?

— Byłoby to przezornie, gdyby w inny sposób nie można było na czas przybyć.

— He, he, kadź twoja jestże tak szybka?

— Jest nią o tyle, ile się Bogu podoba.

— Cóż możesz wiedzieć o tem? Sunie ona jak pantofle ojca Budoc. Prawdziwy to żółw. Czyż wzbronionem ci jest powiększyć jej szybkość?

— Synu mój, jasność zdoła słowa twoje, są one jednak zbyt cięte. Zważ, że jest to koryto cudowne.

— Zaiste, ojciec mój. Koryto granitowe, pływające po wodzie jak korek, jest korytem cudownem. Niema co do tego żadnej wątpliwości. Cóż z tego wnioskujeś?

— Jestem mocno zakłopotany. Czyż stosowne jest ludzkiemi i naturalnemi środkami ulepszać maszynę tak cudowną?

— Ojczy mój, gdybyś utracił prawą nogę i Bóg ci ją zwrócił, czy byłaby to noga cudowna?

— Bezwątpienia, synu.

— Czy obulbyś ją?

— Oczywiście.

A zatem! Jeśli sądzisz, że zwykłym, naturalnym butem obuć można nogę cudowną, powinienś też sądzić, że można naturalnymi masztami i żaglami zaopatrzyć statek cudowny. Toć jasne. Niestety! Trzebaż, by najświętsze nawet osoby miały chwile słabości i ciemnoty? Jest się największym apostołem Bretanji, możnaby dokonać dzieł godnych wiekuistej chwały!.. Ale umysł ciężki jest, a ręka leniwa! Żegnam cię, ojczel! Jedź sobie pomaleńku, i gdy wreszcie zbliżysz się do wyspy Hoedic, ujrzysz dymiące zgłiszczą kaplicy, którą wzniosłeś i poświęciłeś własnymi rękami. Poganie spalą je wraz z djaczkim przez ciebie pozostawionym, który upiecze się, jak kielbasa.

— Wielkie jest zakłopotanie moje — rzekł sługa Boży, ocierając rękawem czoło, potem zroszone. — Ale powiedz mi, synu Samsonie, nielada to zadanie kamienne to koryto we wszystkie potrzebne zaopatrzyć przybory. I jeśli tę pracę przedsięwzięmiemy, czy nie więcej czasu stracimy, niżli na tem zyskamy?

— Ach! Mój ojczy — zawołał Szatan — zanim przesybie się klepsydra, rzecz będzie załatwiona. Znajdziemy wszystko, czego nam potrzeba w tych warsztatach przez ciebie wzniesionych

na wybrzeżu, w składach, twojem staraniem tak obficie zaopatrzonych. Sam przytwierdzę wszystkie części budowy okrętowej. Zanim zostałem mnichem, byłem marynarzem i cieślą; dużo innych jeszcze rzemiosł sprawowałem. Do roboty!

I natychmiast pociągnął świętego męża do szopy, pełnej przyborów potrzebnych do żeglugi.
— To dla ciebie, ojciec mój.

I rzuca mu na ramiona płótna, maszty, liny. Potem, sam biorąc belkę dzióba, ster i worek z narzędziami ciesielskimi, biegnie do brzegu, ciągnąc za suknię świętego męża, sapiącego i dyszącego pod brzemieniem drzewa i płótna.

ROZDZIAŁ IV

ŻEGLUGA ŚWIĘTEGO MAËLA PO OCEANIE LADOWATYM

Szatan, zakasawszy się po pachy, wyciągnął koryto na piasek wybrzeża i w niecałą godzinę przysposobił je do drogi.

Gdy święty Maël wsiadł, kadź z rozwiniętymi żaglami tak szybko prula wody, że wybrzeże niebawem znikło mu z oczów. Starzec sterował ku południowi, aby opłynąć przylądek Land's End. Ale nieprzeparty prąd parł go na południowy zachód. Opłynął południowe wybrzeże Irlandji i nagle zakręcił na północ. Wieczorem wiatr wzmógł się. Maël daremnie usiłował zwinąć żagle. Kadź mknęła w szalonym pędzie

ku morzom bajecznym. W blasku księżycy ujrzał Maël syreny ciemnowłose Północne, jak wynurzały z fal morskich białe swe piersi i różowe biodra; czas jakiś płynęły za nim, bijąc fale szmaragdowymi ogonami i śpiewając zgodnie:

*Dokąd, miły Maëlu
Mknie łódź twa szalona?
Wszystkie żagle jej wzdęte
Jak Junony piersi,
Gdy trysnęła z nich Mleczna droga.*

Przez chwilę pod gwiazdzistym niebem siedł za nim ich dźwięczny śmiech srebrzysty. Lecz kadź biegła stokroć szybciej niż czerwone okręty Wikingów. I mewy w locie swym zaskoczone, płątały się łapkami we włosach świętobliwego męża.

Wkrótce zerwała się burza pełna mroków i jęków i koryto, pędzone szalonym wichrem, mknęło, jak mewa w ciemność i odmęty.

Po trzykroć dwudziestoczwierogodzinnej nocy, ciemności rozdarły się nagle. Świętobliwy mąż ujrzał na widnokręgu wybrzeże, błyszczące silniej od djamentów. Wybrzeże to powiększało się szybko. W zimnym blasku martwego i nisko stojącego słońca Maël ujrzał wypływające z fal białe miasto, o cichych ulicach, które większe niż stubramne Teby, rozpościerało jak okiem sięgnąć ruiny swego śnieżnego forum, swych pałaców lodowych, swych łuków kryształowych i tęczowych obelisków.

Ocean pokryty był ruchomemi lodami, w około których płynęli ludzie morscy o dzikiem lub łagodnem spojrzeniu. Lewiatan przepłynął, ciskając słup wody w niebiosa. Na krze lodowej, płynącej opodal kamiennej barki Maëla, siedziała biała niedźwiedzica, trzymając swoje male na kolanach. Maël usłyszał, jak szeptała cichutko wiersz Wirgiljusza: *Incipe parve puer.*

Starzec smutny i zmęczony, zapłakał. Słodka woda, zamarzając, rozsadziła barylkę, więc Maël, by ugasić pragnienie, ssal lód, a chleb swój maczał w słonej wodzie. Włosy i broda jego kruszyły się, jak szkło. Szata, warstwą lodu pokryta, za każdym poruszeniem rznąła mu stawy. Olbrzymie fale otwierały na starca pienne swe paszcze, jakby go pochłonać miały. Dwadzieścia razy całe masy wody morskiej napelniały statek. Księgę świętej Ewangelji, starannie strzeżoną przez apostoła pod pokrowcem z purpurowym, złotym krzyżem pochłonał ocean.

Trzydziestego dnia morze uspokoiło się. I oto z okrutnym wrzaskiem wód i nieba, góra olśniewającej białości, na trzysta metrów wysoka, zbliża się do kamiennego koryta, Maël steruje, by jej uniknąć, ster pryska mu w rękę. By zwolnić spotkanie się z groźną zaporą, Maël próbuje jeszcze zwinąć żagiel. Ale gdy związać chce liny, wiatr mu je wyrywa i szarpnięty sznur pali mu ręce. Widzi teraz, jak trzech czartów o skrzydłach z czarnej skóry, haczykowato zakończonych uczepiło się masztu i wściekle dmie w płótna.

Zrozumiał, że dotąd wszystkiem Wróg kierował, więc uzbroił się w Krzyż święty. Natychmiast gwałtowny wicher, pełen jęków i wycia podrzuca kadź, zrywa żagle i maszty, unosi ster.

Koryto na los fal płynie po uspokojonem morzu. Świętobliwy mąż ukląkł i złożył dzięki Panu, że wybawił go od zasadzki Szatana. Wtedy ujrzał siedzącą na bryle lodu niedźwiedzicę, która przemówiła była podczas burzy. Przyciskała do łona ukochane swe dziecię, w rękę trzymała książkę w czerwonej oprawie ze złotym krzyżem. Zbliżywszy się do kamiennego koryta, powitała świętobliwego męża słowami:

— *Pax tibi, Maël.*

I podała mu książkę.

Święty mąż poznał swą ewangelję i pełen zdziwienia zaśpiewał w ocieplonym powietrzu hymn Stwórcy i stworzeniu.

ROZDZIAŁ V

CHRZEST PINGWINÓW

Po godzinie żeglugi na los fal, Maël przybił do wąskiego wybrzeża, zamkniętego ostro sterzczącymi górami. Szedł wzdłuż wybrzeża przez dzień jeden i jedną noc, okrążając skały, tworzące nieprzebytą ścianę. Przekonał się w ten sposób, że była to wyspa okrągła, na środku której wznosi się góra, uwieńczona chmurami. Z rozkoszą wdychał świeże tchnienie wilgotnego po-

wietrza. Deszcz padał, a deszcz ten był tak miły, że święty mąż rzekł Panu:

— Panie, oto wyspa łez, wyspa skruchy.

Wybrzeże było puste. Wyczerpany znużeniem i głodem, Maël usiadł na glazie, w którego wgłębieniu leżały żółte, czarno kropkowane jaja, wielkości jaj łabędzich. Ale nie tknął ich, mówiąc:

— Ptaki są żywą chwałą Boga. Nie chcę, by przeze mnie brakowała choć jedna z tych chwał.

I jadł korzonki, wyrywane ze szczelin skal.

Świątobliwy mąż obszedł już całą wyspę dookoła, nie spotkawszy mieszkańców, gdy dotarł do obszernego półkola, pełnego szumiących kaskad, utworzonego z płowych i czerwonych skal, których szczyty błękitniały w chmurach.

Odblask lodów biegunowych zepsuł był oczy staruszka, słabe jednak światło przeciskało się jeszcze przez jego opuchłe powieki. Rozróżnił żywe kształty, które cieśniały się coraz wyżej i wyżej, naksztalt tłumy ludzi na stopniach amfiteatru. Jednocześnie uszy jego, ogłuchłe od długiego loskotu morza, dosłyszały słabe głosy. Sądząc, że są to ludzie, żyjący według praw przyrodzonych i że Pan wysłał go do nich, by ich nauczył praw boskich, począł głosić im nauki wiary świętej.

Wszedłszy na kamień w pośrodku tego olbrzymiego dzikiego cyrku, rzekł:

— Mieszkańcy wyspy tej, choć jesteście małego wzrostu, wydajecie się nie tyle rybakami

i marynarzami, ile senatem mądrej republiki. Przez swą powagę, milczenie, spokojne zachowanie, stanowicie na tych dzikich skalach zgromadzenie, które porównać można do senatorów rzymskich, radzących w świątyni Zwycięstwa lub raczej do filozofów Ateńskich, dysputujących na ławach Areopagu. Bezwątpienia, nie posiadacie ani wiedzy ich ani genjuszu; ale być może, że w obliczu Boga macie nad nimi pierwszeństwo. Domyślam się, że jesteście prości i dobrzy. Przebiegając wyspę waszą, nie dostrzegłem znaków mordu ani śladów rzezi: ani głowy, ani oskalpowane czaszki nieprzyjaciół nie tkwią na wysokich żerdziach i nie są przybite do drzwi w waszych wioskach. Zdaje mi się, że nie wiecie, co jest sztuka i nie obrabiacie metali. Ale serca wasze czyste są i ręce niewinne. Prawdy wiekuiste łatwo przenikną do dusz waszych.

Otóż to, co Maël wziął za ludzi małego wzrostu lecz poważnych ruchów, były to pingwiny, które zgromadzała wiosna i które parami łączyły się na naturalnych stopniach skały, stojąc w majestacie swych grubych, białych brzuchów. Chwilami, poruszały lotkami swemi niby ramionami i wydawały pokojowe okrzyki. Nie obawiały się ludzi, gdyż ich nie znały i nigdy od nich krzywdy nie doznały; w tym mnichu była też łagodność, która najłękliwsze zwierzęta ufnością napelnić mogła, i która bardzo podobała się pingwinom. Z przyjazną ciekawością zwracały ku niemu małe okrągłe oczy, otoczone białą

owalną plamą, co nadawało spojrzeniu ich coś dziwnego, ludzkiego.

Wzruszony ich skupieniem, świętobliwy mąż głosił im Ewangelię.

— Mieszkańcy tej wyspy, dzień ziemski, który wstał nad skalami waszemi, jest obrazem duchowego świtu, który wstaje w duszach waszych. Bo przynoszę wam światło wewnętrzne, przynoszę wam światłość i ciepło duszy. Jak słońce roztapia lody gór waszych, tak Jezus Chrystus stopi lody serc waszych.

Tak przemówił starzec. A że zawsze w przyrodzie głos głośy przyzywa i że wszystko, co żyje w światłości dnia, lubi śpiewy, pingwiny odpowiedziały mu krzykami swych gardzieli. I głos ich stawał się słodki, byli bowiem w porze miłości.

Świętobliwy mąż, przekonany, że należą oni do jakiegoś balwochwalczego narodu i że w swoim języku głoszą przystąpienie do wiary chrześcijańskiej, zalecił im przyjęcie chrztu.

— Myślę — rzekł — że kąpiecie się często. Bo wszystkie zagłębienia skał pełne są przeczystej wody i przed chwilą, udając się na wasze zgromadzenie, widziałem kilku z was zanurzonych w tych naturalnych wannach. A czystość ciała jest obrazem czystości duchowej.

I wyłożył im pochodzenie, istotę i skutki chrztu.

— Chrzt — rzekł — jest Adoptacją, Odnowieniem, Odrodzeniem, Objawieniem.

I pokolei wytłumaczył im każdy z tych punktów.

Potem, uprzednio poświęciwszy wodę, spływającą z kaskad i wypowiedziawszy egzorcyzmy, ochrzcił tych, których był nauczał, lejąc krople wody na głowę każdego i wymawiając przepisane słowa.

Chrzcił tak ptaki przez trzy dni i trzy noce.

ROZDZIAŁ VI

NARADA W RAJU

Gdy o chrzcie pingwinów dowiedziano się w Raju, nie wywołało to ani smutku ani radości, lecz niezmierne zdziwienie. Pan sam był w kłopotcie. Zebrał zgromadzenie uczonych i doktorów i zapytał ich, czy sądzą, że chrzest ten jest ważny.

— Jest nieważny — rzekł święty Patryk.

— Dlaczego jest nieważny? — zapytał święty Gal, który nawracał w Cornouailles i przygotował był świętobliwego męża Maëla do prac apostołskich.

— Sakrament chrztu — odrzekł święty Patryk — nie jest ważny, gdy udzielony jest ptakom, tak jak nieważny jest sakrament małżeństwa dany eunuchowi.

Na to święty Gal:

— Jakiż związek upatrujesz między chrztem ptaka, a małżeństwem eunucha. Niema żadnego pomiędzy tem związku. Małżeństwo jest, śmiem

rzec, sakramentem warunkowym, ewentualnym. Ksiądz zgóry błogosławi akt; oczywiście jest, że jeśli akt nie jest dopełniony, błogosławieństwo pozostaje bez skutku. To rzuca się w oczy. Znałem na świecie w mieście Atrim bogacza imieniem Sadoc, który, żyjąc z nałożnicą, uczynił ją matką dziewięciorga dzieci. Na stare lata, na skutek moich napomnień, zgodził się poślubić ją; pobłogosławiłem ich związek. Na nieszczęście podeszły wiek Sadoc'a nie pozwolił mu dopełnić małżeństwa. Wkrótce potem stracił cały swój majątek, a Herminga (tak nazywała się niewiasta) nie mogąc znieść niedostatku, zażądała unieważnienia małżeństwa, które nie było dokonane. Papież przychylił się do jej słusznego żądania. Tyle co do małżeństwa. Ale chrzest dawany jest bez ograniczeń i zastrzeżeń jakiegokolwiek rodzaju. Niema tu żadnej wątpliwości; pingwiny otrzymały ten sakrament.

Wezwany o zdanie święty Damazy, papież, rzekł:

— By wiedzieć, czy chrzest ważny jest i sprowadzi swe skutki t. j. uświęcenie, zważyć trzeba, kto go daje, a nie kto go otrzymuje. Istotnie uświęcająca wartość tego sakramentu wynika z zewnętrznego aktu, przez który jest nadany, bez jakiegokolwiek osobistego udziału ochrzczonego. Gdyby było inaczej, nie dawano by chrztu noworodkom. I aby chrzczyć, nie potrzeba być w stanie łaski; dość jest uczynić to, co czyni Kościół, wyrzec uświęcone słowa i zachować przepisane

formy. Otóż wątpić nie możemy, że czcigodny Maël operował jak należy. Pingwiny zatem są ochrzczone.

— Jak można coś podobnego myśleć? — zapytał święty Guenolé.—I za cóż uważasz chrzest? Chrzest jest czynem odnawiającym, przez który człowiek rodzi się z wody i ducha, bo, wszedłszy do wody obarczony zbrodniami, wychodzi z niej neofitą, istotą nową, pełną owoców sprawiedliwości; chrzest jest zadatkiem zmartwychwstania; chrzest to jest pogrzebanie z Chrystusem w zgonie i jedność z nim przy wyjściu z grobu. To nie jest dar właściwy dla ptaków. Chrzest zmazuje grzech pierworodny; a pingwiny nie były w grzechu poczęte; odpuszcza wszystkie kary za grzechy, a pingwiny nie zgrzeszyły; daje stan łaski i dar cnót, łącząc chrześcijan z Jezusem Chrystusem, jak członki z głową, a wszak jasnym jest, że pingwiny nie mogłyby osiągnąć cnót wyznawców, cnót dziewic, wdów, otrzymać łaskę i połączyć się...

Święty Damazy nie dał mu dokończyć:

— To dowodzi—przerwał żywo—że chrzest był niepotrzebny; nie dowodzi, że nie był istotny.

— W taki sposób — rzekł święty Guenolé—możnaby w Imię Ojca, Syna i Ducha przez pokropienie lub zanurzenie chrzcić nietylko ptaka lub czworonoga, ale i przedmiot martwy: posąg, stół, krzesło i t. d. Zwierzę byłoby chrześcijaninem, to bożyszczę, ten stół byłyby chrześcijanami! To nonsens!

Tu zabrał głos święty Augustyn. Nastala wielka cisza.

— Chcę na przykładzie — rzekł żarliwy biskup z Hippony — pokazać wam moc formuł. Tyczy się to co prawda operacji djabelskiej. Ale jeśli dowiedzionem jest, że formuły, których nauczył Djabel, mają moc nad zwierzętami pozbawionemi rozumu, a nawet nad rzeczami martwemi, jakżeby wątpić jeszcze można, by formuły sakramentów nie rozciągały się na umysł bydła i nawet na przedmioty martwe? Oto ów przykład:

— Za życia mego, w mieście Madaura w ojczyźnie filozofa Apulejusa, była czarownica, która, by sprowadzić jakiegoś młodzieńca do łoża swego, paliła na trójnogu, wraz z ziołami, włosy młodzieńca, którego pożądała, i wymawiała przytem odpowiednie zaklęcia; skutek był zawsze niezawodny. Otóż pewnego dnia, gdy chciała osiągnąć w ten sposób miłość młodego chłopca, spaliła, oszukana przez swą służącą, zamiast włosów młodzieniaszka, pęk sierści, wyrwanej ze sakwy z kozłej skóry, wiszącej przed drzwiami szynkarza. W nocy, sakwa pełna wina toczyła się przez miasto, aż do progu domu czarownicy. Fakt jest prawdziwy. W sakramentach, jak w czarowaniu działa forma. Skutek formuły boskiej nie może być mniejszym co do siły i rozciągłości, niż skutek formuły piekielnej.

Tak przemówiwszy, wielki święty usiadł wśród oklasków. Jakiś świątobliwy starzec o me-

lancholijnej twarzy poprosił o głos. Nikt go nie znał. Nazywał się Probus i nie był kanonizowanym świętym.

— Prześwietne zgromadzenie wybaczyć raczy — rzekł. — Nie mam aureoli i bez blasku zasłużyłem na wiekuistą szczęśliwość. Po tem co powiedział wam wielki święty Augustyn, uważam za stosowne zawiadomić was o okrutnem doświadczeniu, jakie uczyniłem, co do warunków potrzebnych dla ważności sakramentu. Słusznie mówi biskup Hippony: sakrament zależy od formy. Moc i słabość jego zarówno polega na formie. Posłuchajcie, wyznawcy i prałaci, smutnej mej opowieści. Byłem księdzem w Rzymie, za rządów cesarza Gordjana. Nie mając, w przeciwieństwie do was, żadnych szczególnych zasług, spełniałem jednak pobożnie obowiązki kapłańskie. Służyłem przez czterdzieści lat przy kościele świętej Modesty za Murami. Prowadziłem życie uregulowane. Co sobotę szedłem do karczmarza imieniem Barjas, wraz z amforami swemi mieszkającego za bramą Kapuańską i kupowałem u niego wino, które święciłem każdego dnia w tygodniu. Ani razu przez tak długi przeciąg czasu nie zaniedbałem odprawić świętej ofiary mszy świętej. Nie było jednak radości we mnie i z sercem ściśniętem przez niepokój zapytywałem na stopniach ołtarza: «Dlaczego smutną jesteś, duszo moja, i czemu mnie niepokoisz?» Wierni, których wzywałem do stołu Pańskiego, byli dla mnie powodem smutku i zmartwienia. Mając jeszcze na języku,

że tak powiem, hostję, memi rękami podaną, popadali natychmiast w grzech, jakgdyby ten sakrament był nad nimi bezsilny i bezskuteczny. Dobięciem wreszcie kresu mych prób ziemskich i zasnawszy w Panu, przebudziłem się w siedzibie wybranych. Dowiedziałem się wtedy z ust anioła, który mnie tu przeniósł, że karczmarz Barjas u bramy Kapuańskiej, zamiast wina sprzedawał wyciąg z kory i korzeni, w którym nie było ani kropli soku winnej jagody, że zatem nie mogłem przemieniać w krew tego ohydneho napoju, skoro nie było to wino, a wino jedynie zamienia się w krew Chrystusa, a więc wszystkie święcenia moje były bez wartości i bez naszej wiedzy, ja i wierni moi, przez lat czterdzieści pozbawieni byliśmy chleba aniołów, a tem samem byliśmy wyklęci. Ta wiadomość przejęła mnie zdumieniem, które trapi mnie dziś jeszcze w tym przybytku szczęśliwości. Przebiegam go nieustannie w całym jego obszarze i nie spotkałem żadnego z chrześcijan, których powołałem był do stołu Pańskiego w bazylice świętej Modesty.

— Pozbawieni chleba aniołów popadli bezsilni w najstraszniejsze występki i wszyscy poszli do piekieł. Mam nadzieję, że karczmarz Barjas jest potępiony. Jest w tych rzeczach logika, godna autora wszelkiej logiki. Niemniej smutny mój przykład dowodzi, że niekiedy przykro jest, iż w sakramentach forma góruje nad treścią. I zapytuję pokornie, czy wiekuista mądrość nie mogłaby temu zaradzić?

— Nie — odrzekł Pan. — Lekarstwo byłoby gorsze od choroby. Gdyby w regułach zbawienia treść przeważała nad formą, byłoby to ruiną kapłaństwa.

— Niestety, o Boże mój — westchnął pokorny Probus — trzeba uwierzyć memu smutnemu doświadczeniu; póki sakramenta ograniczone będą do formuł, sprawiedliwość wiekuista napotykać będzie straszne przeszkody.

— Wiem to lepiej od ciebie — odrzekł Pan. — Spoglądam jednakiem okiem na zagadnienia obecne, które są bardzo trudne, jak i na zagadnienia przyszłe, które zaiste nie są łatwiejsze. I tak mogę wam oznajmić, że gdy słońce jeszcze dwieście czterdzieści razy okrąży ziemię...

— Wzniosłe słowa! — zawołali aniołowie.

— I godne stwórcy świata — odrzekli prałaci.

— Jest to — rzekł dalej Pan — sposób mówienia zgodny z moją starą kosmogonją, której, bez narażenia swej niezmienności, pozbyć bym się nie mógł. Kiedy więc słońce dwieście czterdzieści razy okrąży ziemię, nie znajdzie się już w Rzymie ani jeden kleryk, znający łacinę. Przy śpiewie litanji w kościołach, wzywani będą święci Orichel, Roguel i Totichel, którzy, jak wiecie, są djablami, nie aniołami. Wielu złodziei, mając zamiar przystąpić do komunji, a lękając się, by dla odpuszczenia nie byli zmuszeni oddać Kościołowi zrabowane bogactwa, spowiadać się będzie u księży wędrownych, którzy, nie znając

ani łaciny, ani języka włoskiego, lecz jedynie narzeczce swej wioski, chodzić będą po miastach i siolach, i za marne pieniądze, czasem za butelkę wina, sprzedawać będą odpuszczenie grzechów. Prawdopodobnie nie będziemy potrzebowali troszczyć się o takie rozgrzeszenia, którym, aby były ważnemi, brak będzie skruchy, ale zdarzyć się może, że chrzty przyczynią nam jeszcze wiele kłopotu. Księża będą do tego stopnia ignorantami, że chrzcic będą dzieci *in nomine patris et filii et spiritus sancti*, jak o tem z przyjemnością wspomni Ludwik de Potter w tomie III swych: «Filozoficznych, politycznych i krytycznych dziejach chrześcijaństwa». Orzekanie o ważności takich chrztów będzie ciężką sprawą, bo jeśli już zadawałniam się dla swych świętych tekstów greczyzną mniej wykwinną niż greczyzna Platona, i łaciną bynajmniej nie cycerońską, nie mogę jednak jako formuły liturgicznej przyjąć podobnego żargonu. I dreszcz przejmuję, gdy się pomyśli, że tak niedokładnie postępować się będzie z milionami nowonarodzonych. Ale powróćmy do naszych pingwinów.

— Boskie twe słowa, Panie, już nas do nich przywiodły — rzekł święty Gal. — W oznakach religji i zasadach zbawienia, forma z konieczności przeważa nad treścią i ważność sakramentu zależy od jego, formy. Całe pytanie sprowadza się do tego czy pingwiny zostały ochrzczone według form, czy też nie. Odpowiedź nie nastrocza żadnej wątpliwości.

Ojcowie i uczeni zgodzili się na to, co jeszcze wzmogło ich zakłopotanie.

— Dla pingwina być chrześcijaninem—rzekł święty Corneille — rzecz to wielce niedogodna. Oto ptaki te obowiązane są zapewnić sobie zbawienie. Jakże im się uda to wykonać? Obyczaje ptaków są w wielu punktach sprzeczne z przykazaniami Kościoła. I pingwiny nie mają powodu ich zmieniać. Chcę powiedzieć, że nie są na tyle rozumne, by chciały mieć lepsze obyczaje.

— Nie potrafią tego — rzekł Pan — wyroki moje nie pozwalają im na to.

— Jednakowoż — rzekł święty Corneille — z mocy chrztu, czyny ich przestają być obojętne. Odtąd są one złe lub dobre, godne nagany lub pochwały.

— Istotnie tak przedstawia się sprawa — rzekł Pan.

— Widzę jedno tylko rozwiązanie — rzekł święty Augustyn — pingwiny pójdą do piekła.

— Ależ one nie mają duszy—zauważył święty Ireneusz.

— To przykre — westchnął Tertuljan.

— Bezwątpienia — rzekł święty Gal. Przyznaję, że świątobliwy mąż Maël, uczeń mój, w ślepej swej gorliwości stworzył Duchowi Świętemu wielkie trudności teologiczne i wniósł nielad do skarbnicy świętych Tajemnic.

— To stary roztrzępaniec — zawołał, wzruszając ramionami, święty Adjutor Alzacki.

Ale Pan, patrząc na Adjutora, z wyrzutem rzekł:

— Pozwól, świętobliwy mąż Maël nie ma jak ty, mój błogosławiony, wiedzy wrodzonej. On mnie nie widzi. Jest to starzec, kalectwami obarczony. Jest nawpół głuchy i prawie ślepy. Jesteś dlań zbyt surowym. Przyznaję jednak, że położenie jest kłopotliwe.

— Na szczęście jest to kłopot przejściowy— rzekł święty Ireneusz. — Pingwiny są ochrzczone, ich jaja jednak nie są ochrzczone i zło ograniczy się do obecnego pokolenia.

— Nie mów tak, synu mój Ireneuszu— rzekł Pan. — Reguły, ustanawiane na ziemi przez fizyków, znoszą wyjątki, bo nie są doskonale i nie stosują się ściśle do przyrody. Ale reguły, które ja ustanawiam, są doskonale i żadnych wyjątków nie mają. Trzeba zadecydować o losie ochrzczonego pingwinów, nie przekraczając boskiego prawa i zgodnie z dziesięcioma przykazaniami jako też z przykazaniami mego Kościoła.

— Panie — rzekł święty Grzegorz z Naziancy — daj im duszę nieśmiertelną.

— Niestety! Cóżby uczynili z nią, Panie? — westchnął Lactancjusz. — Nie mają harmonijnego głosu, by śpiewać chwałę twoją. Nie umieliby obchodzić świętych tajni.

— Bez wątpienia — rzekł święty Augustyn — nie będą obserwować praw boskich.

— Nie będą mogli — rzekł Pan.

— Nie będą mogli — powtórzył święty Augustyn. — I jeśli w mądrości swej, Panie, dasz im duszę nieśmiertelną, będą wiekuiście płonąć

w piekle z mocy twych cudownych wyroków. Tak przywrócony będzie dostojny ład, zmacony przez tego starego Kambryjczyka.

— Proponujesz mi, synu Moniki, rozwiązanie prawidłowe—rzekł Pan—i zgodnie z mądrością moją. Ale nie zadawalnia ono mego miłosierdzia. Choć z istoty mej niewzruszony, im dłużej trwam, tem bardziej kłonię się ku łagodności. Ta zmiana charakteru widoczna jest dla czytających oba moje testamenty.

Ponieważ dyskusja przeciągała się, nie rozjaśniając sprawy i święci ciągle powtarzali to samo, zdecydowano, zasięgnąć zdania świętej Katarzyny z Aleksandrji. Czyniono to zawsze w trudnych wypadkach. Święta Katarzyna zawstydzila była na ziemi swą wiedzą pięćdziesięciu uczonych. Znała filozofję Platona równie dobrze, jak Pismo święte, nieobcą też jej była retoryka.

ROZDZIAŁ VII

NARADA W RAJU

(Ciąg dalszy i dokończenie)

Święta Katarzyna udała się na zgromadzenie w koronie ze szmaragdów, szafirów, perel i w szacie ze złotogłowiu. U boku miała płomienne koło, obraz koła, którego odłamki pobiły jej prześladowców.

Na przedłożone pytanie, przemówiła w te słowa:

— Panie, by rozwiązać zagadnienie, które mi przedłożyć raczyłeś, nie będę badać obyczajów

ptaków w szczególności. Pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę zgromadzonych tu uczonych, wyznawców i prałatów, że rozdział między człowiekiem, a zwierzęciem nie jest zupełny, skoro istnieją potwory, pochodzące jednocześnie od obojga. Tu należą chimery: półnimfy i półwęże; trzy gorgony, koźlonogi, takimi są scylle i syreny, śpiewające w morzu. Mają one popiersie kobiety, a ogon rybi. Takimi są centaury: mężczyźni do pasa, poniżej konie. Szlachetna to rasa potworów. Jeden z nich, jak o tem wiecie, wiedziony jedynie światłem rozumu, potrafił dostać się do wiekuistej szczęśliwości i niekiedy widzieć możecie jak na złotych obłokach unosi swą pierś bohaterską. Centaur Chiron ziemskimi pracami swemi zasłużył na to, by przebywał w siedzibie błogosławionych; on wychował Achillesa i młody ten bohater przez dwa lata w szatach dziewicy przebywał pośród córek króla Likomedesa. Dzielił z nimi zabawy i łoże i ani chwili nie pozwolił im domyśleć się, że nie jest, jak one, młodą dziewicą. Chiron, który nauczył go tak dobrych obyczajów, jest wraz z cesarzem Trajanem jedynym sprawiedliwym, który przez zachowanie praw przyrodzonych dostąpił chwały niebieskiej. A jednak był to tylko pół-człowiek.

— Tym przykładem dowiodłam, jak sądzę, że dosyć mieć niektóre części ludzkie, byle były szlachetne, ażeby dojść do wiekuistej szczęśliwości. Co otrzymać mógł centaur Chiron nie odrodzony przez chrzest, tem bardziej stać się może

po ochrzczeniu, udziałem pingwinów, jeśli zostaną półpingwinami i pół-ludźmi. Dlatego błagam cię, Panie, daj pingwinom starca Maëla, głowę i popiersie ludzkie, by mogli chwalić cię godnie, i użyz im duszy nieśmiertelnej, lecz małej.

Tak rzekła Katarzyna, a ojcowie, uczeni, wyznawcy i prałaci przytakiwali szmerem uwielbienia.

Ale święty Antoni pustelnik wstał i wznosząc ku Najwyższemu czerwone, sękatę ręce, zawołał:

— Nie czyn tego, Panie Boże mój — w imię świętego Parakleta, nie czyn tego!

Mówił z taką gwałtownością, że jego wielka, siwa broda trzęsła mu się u podbródka, jak pusty worek u szyi głodniałego konia.

— Panie, nie czyn tego. Ptaki o ludzkiej głowie istnieją już. Święta Katarzyna nic nowego nie wymyśliła.

— Wyobraźnia gromadzi i porównywa, nie tworzy nigdy — sucho odpowiedziała święta Katarzyna.

— ...To już istnieje — ciągnął dalej święty Antoni, nie chcąc nic słyszeć. — Te potwory zwą się harpiami, i są to najnieprzyzwoitsze zwierzęta ze wszystkich tworów świata. Pewnego dnia, gdy przyjmowałem na puszczy świętego Pawła opata, ustawiłem stół u progu chaty w cieniu rozłożystego jesionu. Harpie obsiadły gałęzie drzewa; zagłuszyły nas ostrym swym krzykiem

i zanieczyszczaly potrawy odchodami. Natręctwo tych potworów nie dało mi wysłuchać nauk świętego Pawła opata, z chlebem i sałatą spożywaliśmy ptasie odchody. Jakże przypuścić można, że harpie godnie chwalić cię będą, Panie?

— Bezwątpienia, w kuszeniach moich nie mało widziałem istot mieszańców, nie tylko kobiety-węże i kobiety-ryby, ale istoty złożone jeszcze bezładniej, jak np. ludzi, których ciało było kotłem, dzwonem, zegarem, kredensem pełnym jedzenia i talerzy, a nawet domem z drzwiami i oknami, przez które widać było osoby zajęte pracami gospodarskimi. Wieczności nie starczyłoby na opisanie wszystkich potworów, jakie napastowały mnie w samotności; począwszy od wielorybów z masztami okrętowemi, aż do drobnych, czerwonych owadów, które w krew zamieniały wodę mojej studni. Ale żaden nie był tak wstrętny, jak te harpie, które odchodami swemi spopielily liście mego pięknego jesionu.

— Harpie—zauważył Laktancjusz—są potworami żeńskimi o ciele ptasiem. Mają głowę i piersi kobiece. Ich natręctwo, czelność i sprośność wynika z ich natury kobiecej, jak to wykazał poeta Wirgiljusz w Eneidzie. Dotknięte są przekleństwem Ewy.

— Nie mówmy już o przekleństwie Ewy. Druga Ewa odkupiła pierwszą.

Paweł Oracjusz, autor historii powszechnej, którą potem naśladować miał Bossuet, wstał i zwracając się do Pana, rzekł:

— Panie, wysłuchaj prośby mojej i prośby Antoniego. Nie stwarzaj już potworów w rodzaju centaurów, syren i faunów, miłych Grekom, zbieraczom baśni. Nie będziesz miał z nich radości. Takie potwory mają skłonności pogańskie i podwójna ich natura nie usposabia ich do czystości obyczajów.

Słodki Laktacjusz odrzekł:

— Ten, którego przemowy wysłuchaliśmy, jest bezwątpienia najlepszym historykiem w Raju, skoro Herodot, Tucydydes, Polibios, Titus-Livius, Velleius Paterculus, Cornelius Nepos, Swetonjusz, Manethon, Diodor Sycylijski, Dion Cassius, Camprides pozbawieni są widoku Boga, a Tacyt cierpi w piekle męki należne bluźniercom. Ale Paweł Oracjusz nierównie lepiej zna ziemię niż niebiosą. Bo nie pomyślał o tem, że aniołowie, choć wywodzą się od człowieka i ptaka, są uosobieniem czystości.

— Schodzimy na manowce — rzekł Przedwieczny. — Co nas obchodzą te centaury, harpie, anioły? Mowa jest o pingwinach.

— Rzekłeś, Panie; idzie o pingwinów — oświadczył dziekan pięćdziesięciu uczonych, pognębionych w ziemskim życiu przez dziewicę z Aleksandrji. — Ażeby położyć kres zgorzeniu, niepokojącemu niebiosą, trzeba, jak proponuje święta Katarzyna, która nas pognębiła, dać pingwinom starca Maëla, pół ciała ludzkiego z duszą nieśmiertelną, odpowiednią do tej polowy.

Na te słowa powstała wielka wrzawa uczonych sporów i rozmów poszczególnych. Ojcowie greccy gwałtownie sprzeczekali się z ojcami łacińskimi, co do substancji, istoty i rozmiarów duszy, jaką należy dać pingwinom.

— Wyznawcy i prałaci — zawołał Pan — nie naśladowcie soborów i synodów ziemskich. Do Kościoła triumfującego nie wnoście gwałtów, mącących Kościół wojujący. Bo aż nazbyt prawdą jest, że na wszystkich soborach odbywanych pod wezwaniem Ducha mego, czy to w Europie, czy w Azji lub Afryce, ojcowie kościoła wyrywali sobie brody i oczy. Mimo to, byli nieomylni, bo byłem z nimi.

Gdy spokój przywrócono, starzec Hermas wstał i rzekł wolno:

— Wielbić cię będę, Panie, żeś dał narodzić się matce mej Safirze, wśród twego ludu, w dniach, gdy rosa niebiańska odświeżała świat rodzący Zbawiciela swego. I wielbić cię będę, żeś mi pozwolił śmiertelnemi oczyma widzieć apostołów twego boskiego Syna. I przemówię w tem świetnem zgromadzeniu, albowiem chciałeś, by prawdę głosili usta maluczkich i rzekę: Przemień tych pingwinów na ludzi. Jest to jedyne postanowienie zgodne z twą sprawiedliwością i z miłosierdziem twojem.

Kilku uczonych prosiło o głos, inni go zabierali. Nikt nie słuchał i wyznawcy zgiełkliwie potrząsali palmami i wieńcami swemi.

Pan ruchem prawicy uspokoił spory swych wybrańców.

— Nie radźmy już dłużej — rzekl. — Rada wypowiedziana przez milego starca Hermesa jest jedynie zgodna z wiekuistemi memi zamiarami. Ptaki te w ludzi przemienię. Przewiduję stąd kilka niedogodności. Wielu z tych ludzi przypisze sobie grzechy, których nie mieliby jako pingwiny. Zaiste, skutkiem tej zmiany los ich będzie mniej zazdrości godny, niżby nim był bez chrztu i bez wcielenia do rodu Abrahama. Ale nie trzeba, by moje przewidywania wpływały na ich wolną wolę. Aby nie krępować ich ludzkiej wolności, nie ujawniam tego, co wiem, okrywam oczy szczelniej zasłonami, które przeniknąłem i w ślepem jasnowidzeniu daję zaskoczyć się tem, co przewidziałem.

I wezwawszy archaniola Rafaela, rzekl:

— Idź do świątobliwego męża Maëla, zawiadom go o jego omyłce i powiedz mu, by zbrojny mem Imieniem zamienił pingwinów na ludzi.

ROZDZIAŁ VIII

METAMORFOZA PINGWINÓW

Archaniol, spuściwszy się na wyspę pingwinów, zastał męża świątobliwego, śpiącego w zagłębieniu skały, wśród nowych swych uczniów. Położył mu rękę na ramieniu i zbudziwszy go, rzekl łagodnym głosem:

— Maëlu, nie lękaj się!

I mąż świątobliwy olśniony żywą światłością, upojony wonią cudowną, poznał, że stoi przed nim anioł Pański i padł czołem w proch.

Anioł rzekł jeszcze:

— Poznaj omyłkę swą, Maëlu: sądząc, że chrzczisz dzieci Adama, ochrzciłeś ptaki, i oto przez ciebie ptaki weszły do Kościoła Bożego.

Na te słowa starzec się zdumiał.

Anioł mówił dalej:

— Wstań, Maëlu, uzbroj się władnem Imieniem Pana i powiedz tym ptakom: «Bądźcie ludźmi!»

I świętobliwy mąż Maël, wyplakawszy się i pomodliwszy, uzbroił się Imieniem Pana i rzekł ptakom:

— Bądźcie ludźmi!

Natychmiast pingwiny przemieniły się. Ciało ich rozszerzyło się i głowa zaokrągliła naksztalt kopuły Santa Maria Retonda w Rzymie. Owalne ich oczy szerzej na świat się otwarły; mięsisty nos wyrósł nad dwiema szczelinami nozdrzy, dziób przemienił się w usta i z ust tych wyszło słowo; szyja skróciła się i zgrubiała; skrzydła stały się ramionami, łapki — nogami, niespokojna dusza zamieszkała w ich piersi.

Pozostały im jednak niektóre ślady ich pierwotnej natury. Skłonni byli do patrzenia z boku, kołysali się na swych biodrach za krótkich; ciało ich było jeszcze lekkim puszkiem pokryte.

I Maël złożył dzięki Panu za to, że wcielił pingwinów do rodziny Abrahama. Ale martwiła go myśl, że niedługo opuści tę wyspę, by nigdy do niej nie powrócić, a w nieobecności jego, z braku starań, zniknąć może wiara pingwinów, jak

roślina za młoda i wątła. I powziął zamiar przenieść wyspę do brzegów Armoriki.

— Obce mi są zamiary Mądrości wiekui-
stej — pomyślał. — Ale jeśli Bóg zechce, by wy-
spę tę przenieść, któż mógłby mu w tem prze-
szkodzić?

I świętobliwy mąż ze lnu swej stuly upłótl
cienki sznureczek, długi na stóp czterdzieści. Jeden
koniec tego sznura uwiązał do skały, wystającej
z piasków wybrzeża; trzymając drugi w ręku,
wsiadł do kamiennego koryta.

Koryto sunęło po morzu, wlokąc za sobą wy-
spę pingwinów i po dziewięciu dniach żeglugi
przybiło do wybrzeża Bretanji, przywodząc wy-
spę ze sobą.

ROZDZIAŁ I

PIERWSZE SZATY

Dnia tego święty Maël usiadł nad brzegiem oceanu, na rozpalonym kamieniu. Myślał, że rozgrzało go słońce i złożył za to dzięki Stwórcy świata, nie wiedział bowiem, że niedawno Szatan na tym glazie odpoczywał.

Apostoł czekał na mnichów z Yvern, którzy mieli przywieźć ładunek tkanin i skór dla przyodziania mieszkańców wyspy Alca. Wkrótce ujrzał wylądowującego zakonnika Magisa, z kufrem na plecach. Mnich ten uchodził za wielce świętobliwego.

Gdy zbliżył się był do starca, postawił kufer na ziemi i rzekł, rękawem ocierając pot z czoła:

— No i cóż mój ojcze, chcesz odziać tych pingwinów.

— Jest to konieczne, mój synu — odrzekł starzec. — Odkąd wcieleni zostali do rodziny Abrahama, pingwini uczestniczą w klątwie Ewy i wiedzą, że są nadzy, czego nie wiedzieli wprzód. Czas już najwyższy, by ich odziać, bo oto tracą puszek pozostały im po metamorfozie.

— Prawda — rzekł Magis, wodząc wzrokiem po wybrzeżu, na którym pingwini zajęci byli polowaniem krewetek, zbieraniem mięczaków, śpiewaniem i spaniem — są nadzy. Ale czy nie sądzisz, ojcze, że lepiej może pozostawić ich nagimi? Poco ich odziewać? Gdy nosić będą suknie, poddani będą prawom moralnym, da to im niezmierną dumę, niską obłudę i niepotrzebne okrucieństwo.

— Czyż być może, synu mój — westchnął starzec — byś tak źle pojmował skutki praw moralnych, którym poddają się nawet poganie?

— Prawo moralne — odrzekł Magis — zmusza ludzi, którzy są zwierzętami, by żyli odmiennie niż zwierzęta, co im zapewne nie jest przyjemne, ale pochlebia im i uspakaja ich; a że są dumni, tchórzliwi i rozkoszy chciwi, chętnie poddają się przymusom, z których pysznić się mogą i na których zasadzają obecne swe bezpieczeństwo i nadzieję przyszłego swego szczęścia. Taką jest zasada każdej moralności... Ale nie zbaczajmy od przedmiotu. Towarzysze moi składają na wyspie ładunek skór i tkanin. Pomyśl nad tem, mój ojcze, póki czas jeszcze! Przyodzianie pingwinów jest sprawą bardzo doniosłą. Teraz, gdy pingwin pożąda pingwinki, wie dokładnie czego pragnie, pożądanego jego są ściśle ograniczone wskutek dokładnej znajomości przedmiotu pożądanego. W tej chwili na wybrzeżu dwie czy trzy pary pingwinów oddają się miłości w blasku słońca. Patrz, z jaką prostotą! Nikt

na to nie zważa, a nawet ci, co to robią, nie zdają się zbytńio tem przejęci. Ale gdy pingwinki będą ubrane, pingwin nie zda sobie tak dobrze sprawy z tego, co go do nich pociąga. Nieokreślone požądania jego rozpierzchną się na różne marzenia i złudzenia; wreszcie, mój ojczę, pozna on miłość i jej szalone cierpienia. A przez ten czas pingwinki, spuszcżając oczy i sznurując usta, przybierać będą miny, jakby skarb chronily pod swemi osłonami! Co za szkoda! Zło będzie znośne, póki ludy te będą biedne i surowe; ale poczekaj tylko jakie tysiąc lat, a zobaczysz mój ojczę, jak groźną broń dał się w ręce cór Alca. Jeśli pozwolisz, mogę zawczasu dać ci o tem pojęcie. Mam trochę odzieży w tej skrzyni. Weźmy pierwszą lepszą pingwinę, z której pingwini tak mało sobie robią i ubierzmy ją, o ile można nienajgorzej.

— Oto właśnie idzie jedna ku nam. Nie jest ani brzydsza ani ładniejsza od innych; jest młoda. Nikt na nią nie patrzy. Idzie leniwie po wybrzeżu, dłuńiac palcem w nosie i drapiąc się wzduż pleców aż do łydek. Zauważył się pewnie, mój ojczę, że ma wąskie ramiona, pierś obwisła, brzuch duży i żółty, nogi krótkie. Czerwone kolana wykrzywiają się za każdym jej krokiem i wydaje się, jakgdyby w każdym stawie nóg miała małą główkę małpią. Nogi jej, rozrosłe i żylaste, wpiją się w skałę czterema haczykowatemi palcami, podczas gdy duże palce wznoszą się na drodze, jak głowy przezornych węzów.

Chodzi teraz, wszystkie mięśnie jej są przytem czynne i przez to, że widzimy ją dobrze w tej czynności, wydaje się nam raczej maszyną do chodzenia, niż maszyną do miłości, chociaż widocznie jest jedną i drugą i mieści w sobie jeszcze wiele innych mechanizmów. A jednak zobaczysz, czcigodny ojcze, co z niej [zrobię.

Mówiąc to, mnich Magis w trzech susach dopędził pingwinkę, objął ją, uniósł i przez ramię przegiętą, z rozwianym włosiem rzucił ją do nóg świątobliwego męża Maëla.

I podczas, gdy ona, płacząc, błagała, by nie czynił jej krzywdy, mnich wyjmując ze skrzyni parę sandałów i rozkazuje, by je obuła.

— Mocno zasznurowane nogi jej — rzekł do starca — mniejsze się wydadzą. Podeszwy na dwa palce wysokie zręcznie przydłużą jej łydki, na czem zyska wspierający się na nich ciężar.

Zawiązując buciki, pingwinka zapuściła ciekawy wzrok do kufraj a widząc, że pelen jest klejnotów i ozdób, uśmiechnęła się przez łzy. Mnich zwinął jej włosy nad karkiem i nakrył je kapeluszem z kwiatami, na ręce włożył jej złote obręcze i kazawszy stanąć, założył pod piersi i na brzuch płócienną opaskę, zapewniając, że godniej podniesie to piersi i ściśnie łono na większą chwałę bioder. Zapomocą szpilek, które po jednej z ust wyjmował, umocowywał tę opaskę.

— Można jeszcze ścisnąć — rzekła pingwinka.

Gdy tak z wielkim nakładem umiejętności i starania podtrzymał już był miękkie części biu-

stu, przyoblekł resztę ciała różową tuniką, miękko uwydatniającą linje.

— Czy dobrze się uklada? — zapytała pingwinka. I przegięta, z głową na bok przechyloną, z brodą na ramieniu, ciekawie przyglądała się swemu strojowi.

Magis zapytał jej, czy suknia nie za długa; pingwinka, pewna siebie, odrzekła, że nie, że ją uniesie.

I natychmiast, lewą ręką chwytając ją z tyłu, przyciągnęła ją skośnie nad łydkami, uważając, by tylko obcasy były widoczne. Poczem oddała się, zwolna kołysząc się w biodrach. Nie odwracała głowy ale, przechodząc mimo strumyka, przejrzała się w nim ukradkiem. Pingwin, który spotkał ją wypadkowo, stanął zdumiony i zawróciwszy z drogi, poszedł za nią. Gdy szła wzdłuż wybrzeża, wracający z połowu ryb pingwini, przypatrzywszy się jej, poszli jej śladem. Leżący na piasku wstali i przyłączyli się do tamtych.

Za jej zbliżeniem, bez przerwy, z wszystkich ścieżek górskich, ze szczelin skalnych, z głębi wód wynurzali się nowi pingwini i powiększali orszak. I wszyscy, ludzie dojrzały o barczystych ramionach i obrosłych piersiach, wątle młodzieniaszki, starcy zmarszczkami poorani, o siwych brodach, ledwie powłóczyli nogi cieńsze i suchsze niż jałowcowy kij, który im za trzecią nogę służył — wszyscy tłoczyli się zdyszani, wydzielając ostrą woń i chrapliwe rze-

zenia. Ona tymczasem szła spokojna i zdawała się nic nie widzieć.

— Mój ojciec — zawołał Magis — przy-
patrz się, jak kroczą wszyscy z nosem w le-
pionym w środek krągłości tej młodej panny te-
raz, gdy środek ten kryje się pod różową osło-
ną. Kształt kulisty liczbą swych własności po-
budza medytacje geometrów; gdy kształt ten jest
fizyczny, a żywy — nowych nabiera jeszcze zalet.
Aby się tą figurą geometryczną w pełni zainte-
resować, trzeba było, by pingwini nie widzieli
jej już wyraźnie oczami, lecz zmuszeni byli wy-
obrażać ją sobie w myśli. Ja sam czuję się
w tej chwili nieprzepracie pociągniętym ku tej
pingwinie. Byłoby to dlatego, że spódnica czy-
ni jej zad wydatniejszym i podkreślając go wspa-
niale, nadaje mu charakter syntetyczny i ogólny,
wykazuje tylko jego ideę czystą, pierwiastek bo-
ski? Nie umiem na to odpowiedzieć, ale zdaje
mi się, że gdybym ją teraz ścisnął, trzymałbym
w objęciach szczyt ludzkich rozkoszy. Jest rze-
czą pewną, że wstydlivość daje kobietom czar
niepokonany. Wzburzenie moje jest tak silne,
że daremnie próbowałbym je ukryć.

Rzekł, i wysoko podkasując suknię, pędzi
za gromadą pingwinów, naciera na nich, prze-
wraca, wyprzedza, trąca nogami, dusi, dopada
córy Alca, całą garścią chwyta ją za różową
kulistość, którą naród cały przeszywa spojrze-
niami i pożądaniem, a która teraz znika w obję-
ciach mnicha w jednej ze skał nadbrzeżnych.

Pingwini myśleli, że słońce zagasło. A świętobliwy mąż Maël pojął, że Szatan przybrał postać mnicha Magisa, by dać osłony córce Alca. Niepokój był w ciele jego, a smutek w duszy. Wracając powolnym krokiem do swej pustelni, widział sześć, siedmioletnie pingwinki z płaską piersią i chudymi biodrami, jak opasywały swą kibić wodorostami i trawą morską, jak szły wolno po wybrzeżu, oglądając się, czy mężczyźni nie idą za nimi.

ROZDZIAŁ II

PIERWSZE OSŁONY

(Część druga i koniec).

Świątobliwy mąż Maël głęboko zmartwiony był tem, że pierwsze szaty dane córce ziemi Alca zdradziły wstydlivość pingwińską, zamiast wyjść jej na dobre. Nie mniej jednak trwał w zamiarze, by przyodziać mieszkańców wyspy cudownej. Wezwawszy ich na wybrzeże, rozdzielił ubrania przywiezione przez mnichów z Yvern. Pingwini otrzymali krótkie tuniki i spodnie, pingwinki — suknie długie. Ale szaty te nie wywołały już takiego wrażenia, jak pierwsza. Nie były tak piękne, krój ich był prosty, mniej kunsztowny i nie zwracano już na nie uwagi, bo nosiły je wszystkie kobiety. Ponieważ pracowały w polu i przy kuchni, wkrótce miały już tylko wytłuszczone staniki i brudne kiecki. Pingwini obarczali pracę biedne swe towarzyszki, to też były

one podobne do jucnych zwierząt. Obce im były niepokoje serca i burzliwe namiętności. Obyczaje ich były niewinne. Kazirodztwo, bardzo pospolite, traktowane było z sielską prostotą i jeśli po pijanemu młody chłopiec zgwałcił swą babkę, nazajutrz nie myślał już o tem.

ROZDZIAŁ III

ROZGRANICZENIE PÓL I POCZĄTEK WŁASNOŚCI

Wyspa nie zachowywała już swego dawnego, dzikiego pozoru, gdy wśród ruchomych lodów, w amfiteatrze skał żywiła naród ptaków. Jej śnieżysty szczyt zapadł się i pozostał zeń zaledwie pagórek, z którego widać było, wieczną mgłą okryte, wybrzeże Armoryki i ocean usiany podwodnemi skałami, podobnemi do potworów, nawpół unoszących się z otchłani.

Brzegi jej były teraz rozległe i głęboko pocięte, kształt jej podobnym był do liścia morwowego. Nagle pokryła się ona soczystą trawą, smaczną dla trzód, wierzbami, drzewami figowemi i dostojnemi dębami. Fakt stwierdzony jest przez Czcigodnego Będę i przez wielu innych, wiarygodnych autorów.

Na północy brzeg tworzył głęboką zatokę, która stała się potem jednym z najznakomitszych portów świata.

Na zachodzie, wzdłuż skalistego brzegu, o który z szumem było spienione morze, rozciągała się

pusta i pachnąca łąka. Było to wybrzeże Cieniów. Mieszkańcy wyspy nie zapuszczali się tam nigdy z obawy przed węzami, gnieźdzącymi się w skalach i przed duszami zmarłych, podobnymi do białych płomyków. Na południu ogrody i lasy otaczały ciepłą zatokę Nurków. Na tem błogosławionem wybrzeżu, starzec Maël pobudował kościół i drewnianą pustelnię. Na wschód dwa strumienie le Clange i la Surelle, płynęły przez żyzne doliny Dalles i Dombes.

Pewnego ranka jesiennego, świątobliwy Maël przechadzał się w dolinie Clange w towarzystwie mnicha z Yvern, imieniem Bulloch, gdy ujrzał na drodze gromadę ludzi, niosących kamienie. Równocześnie usłyszał zewsząd krzyki i skargi, wznoszące się z doliny ku cichemu niebu.

I rzekł do Bullocha:

— Ze smutkiem spostrzegam, synu, że mieszkańcy tej wyspy, odkąd ludźmi się stali, zachowują się mniej rozumnie niż dawniej. Gdy byli ptakami, klócili się tylko w porze miłości. Teraz sprzecniają się o każdej porze i szukają klótni latem i zimą. Jakże wiele stracili z tego cichego majestatu, który zgromadzenie pingwinów podobnym czynił do senatu mądrej rzeczypospolitej!

— Spójrz, synu Bullochu, w stronę la Surelle. Widzę tam tuzin pingwinów mężczyzn; biją się wzajem łopatami i motykami, którymi powinni by raczej uprawiać ziemię. Tymczasem kobiety od mężczyzn okrutniejsze, paznogciami rozdra-

pują twarze swych wrogów. Niestety, mój synu, dlaczegoż tak mordują się wzajemnie?

— To w myśl zrzeczenia, ojcze, w przewidywaniu przyszłości—rzekł Bulloch.— Człowiek, z natury swej, jest istotą przezorną i społeczną. Takim już jest charakter jego. Nie może obrazić siebie, by czegoś nie przywłaszczył. Pingwini, których widzisz, o mistrzu, przywłaszczają sobie grunty.

— Czyż nie mogliby przywłaszczać je mniej gwałtownie?—zapytał starzec.— Walcząc, obrzucają się zlorzeczeniami i groźbami. Nie rozróżniam ich słów. Ale gwałtowne być muszą, sądząc po ich tonie.

— Oskarżają się wzajemnie o kradzież i przywłaszczenie. Taki jest ogólny sens ich rozmowy—odrzekł Bulloch.

W tejże chwili, świątobliwy mąż Maël, składając ręce, westchnął głęboko.

— Czy widzisz, mój synu—zawołał—tego oszalałego ze złości człowieka! Odgryza nos swemu przeciwnikowi, a tamten wielkim kamieniem miażdży głowę kobiecie.

— Widzę, ojcze—odparł Bulloch.— Stwarzają prawo, gruntują własność, ustanawiają zasady cywilizacji, podstawy społeczeństw, fundament państwa.

— Jakto?—zapytał starzec Maël.

— Tak czynią, bo rozgraniczają grunta. To początek wszelkiego ładu. Twój pingwini, o mistrzu, spełniają najdosłojniejszą czynność. Dzieło

ich, poprzez wieki uświęcane, będzie przez prawodawców protegowane i stwierdzone przez sądy.

Gdy to mówił mnich Bulloch, wielki pingwin o białej skórze i rudej sierści schodził do doliny, z pniem drzewa na ramieniu. Zbliżył się do małego pingwina, spalonego od żaru słońca i spokojnie właśnie polewającego swe warzywa, i krzyknął doń:

— Twoje pole należy do mnie.

I wyrzekłszy te potężne słowa, uderzeniem olbrzymiej swej maczugi rozplatał głowę małego pingwina, który padł martwy na ziemię, uprawianą jego rękami.

Na ten widok świątobliwy mąż Maël zadrzał ze wstrętu i zapłakał.

Głosem, drżącym z lęku i zgrozy taką modlitwę zwrócił ku niebu.

— Boże mój, Panie, ty, coś przyjął ofiarę Abla, ty, co przekląłeś Kaina, pomścij, Panie, tego niewinnego pingwina, zamordowanego na swoim polu, i daj uczuć mordercy ciężar twego ramienia. Czyż może być zbrodnia straszniejsza, obelga sprawiedliwości twojej większa, o Panie, niż ten mord i ta kradzież?

— Uważaj, mój ojczy — rzekł łagodnie Bulloch — to, co nazywasz mordem i kradzieżą jest istotnie wojną i zdobyczą, świętą podstawą państw i źródłem wszystkich cnót i wszelkiej wzniosłości ludzkiej. Zważ głównie, że, potępiając wielkiego pingwina, uderzasz w podstawę i samą zasadę własności. Z łatwością wykazać

ci to mogę. Uprawiać ziemię rzecz inna, posiadać ziemię też rzecz inna. Te dwie rzeczy nie powinny być razem łączone. Co do własności, prawo pierwszego używającego jest niepewne i źle ugruntowane. Prawo zdobywcy, przeciwnie, spoczywa na silnych podstawach. Ono jest jedynie szacunku godne, bo jest jedynem, które szanować się każe. Jedynem i zaszczytnem źródłem własności jest siła. Z siły się własność rodzi, i przez siłę się zachowuje. Tem jest dostojna, że ustępuje tylko przed większą siłą. Dlatego słusznie się mówi, że, kto posiada, jest szlachetny. Ten rudy olbrzym, zabijając rolnika, by zabrać mu jego pole, dał w tej chwili początek możnemu rodowi na ziemi. Chcę mu tego powinszować.

To rzekłszy, Bulloch zbliżył się do wielkiego pingwina, wspartego na maczudze, u skraju zakrwawionego zagonu.

I pokłoniwszy się do ziemi, rzekł:

— Przemozny Greatauk, księżę wielce groźny, przychodzę złożyć ci cześć, jako twórcy prawej potęgi i dóbr dziedzicznych. Czaszka tego marnego, ubitego pingwina, zagrzebana na twym polu, na zawsze świadczyć będzie o świętych prawach twych spadkobierców do tej ziemi, przez ciebie uszlachetnionej. Szczęśni synowie twoi, i synowie twych synów! Będą oni Greatauk, księżętami na Skull'u i przewodzić będą na wyspie Alca.

Potem, podnosząc głos, i zwracając się do świątobliwego starca Maël'a, rzekł:

— Ojczy, poblogosław Greatauka, bo wszelka władza pochodzi od Boga.

Maël stał bez słowa, nieruchomy, z oczyma w niebo wzniesionemi; czuł się niepewnym, co sądzić o doktrynach mnicha Bullocha. A jednak doktryna ta przeważać miała w epoce wysokiej cywilizacji. Bullocha uważać można za twórcę prawa cywilnego w Pingwinji.

ROZDZIAŁ IV

PIERWSZE ZGROMADZENIE STANÓW PINGWIŃSKICH

— Synu mój, Bullochu—rzekł starzec Maël— musimy obliczyć pingwinów i imię każdego z nich zapisać do księgi.

— Jest to konieczne — odrzekł Bulloch — bez tego zgoła porządku być nie może.

Natychmiast, przy pomocy dwunastu mnichów, apostoł przystąpił do spisu ludności. Co gdy dokonano, starzec Maël rzekł:

— Teraz, gdy mamy już spis wszystkich mieszkańców, stosownem jest, mój synu, by pobierać od nich sprawiedliwy podatek na wydatki publiczne i na utrzymanie klasztoru. Każdy do tego przyczynić się winien w miarę swych środków. W tym celu, mój synu, wezwij starszych w narodzie i zgodnie z nimi ustanowimy podatek.

Zawezwano trzydziestu Starszych, ci zgromadzili się na podwórzu klasztoru, pod cieniem roz-

łożystego klonu. Były to pierwsze Stany Pingwinji. Składały się w trzech czwartych z zamożnych wieśniaków z la Surelle i z le Clange. Greatauk, jako człek najszlachetniejszego rodu ze wszystkich Pingwinów, zasiadł na najwyższym kamieniu.

Starzec Maël zajął miejsce wśród mnichów swoich i rzekł:

— Moje dzieci, Pan, gdy taką jest wola jego, daje i odbiera ludziom bogactwa. Zgromadziłem was tutaj, aby ustanowić opłatę, którą uiszczają ma ludność na pokrycie wydatków publicznych i na utrzymanie mnichów. Uważam, że opłata ta winna być w stosunku do bogactwa każdego z was. Tak, więc kto ma sto wołów, da dziesięć, kto ma ich dziesięć, da jednego.

Gdy świątobliwy mąż skończył, Morio, ziemianin z Anis nad Clange, jeden z ludzi najbogatszych wśród Pingwinów, wstał i rzekł:

— O Maëlu, ojczy mój, uważam, że słuszne jest, by każdy przyczyniał się do wydatków publicznych i do kosztów Kościoła. Co się mnie tyczy, gotów jestem oddać wszystko, co posiadam dla dobra mych braci pingwinów, i gdyby trzeba było, oddałbym ostatnią koszulę. Wszyscy starsi w narodzie gotowi są, jak ja, uczynić ofiarę ze swego dobra i wątpić nie można o absolutnem ich poświęceniu dla kraju i religji. Trzeba więc jedynie zważać na interes publiczny i czynić, co on nakazuje. A nakazuje on, mój ojczy, i wymaga, aby nie żądać dużo od tych, co mają dużo, bo wtedy bogaci byłiby mniej bogatymi, ubo-

dzy — uboższymi. Biedni żyją z dobra bogatych; dlatego dobro to jest święte. Nie tykaj go, byłoby to niepotrzebne okrucieństwo. Odbierając bogatym, nie osiągnąłbyś wielkich korzyści, są oni nieliczni; przeciwnie, pozbawiłbyś się wszelkich dochodów, pogrążając kraj w nędzy. Jeśli zaś drobną pomoc zażadasz od każdego, bez względu na to, co on posiada, zbierzesz z łatwością tyle, ile ci potrzeba na cele publiczne i nie będziesz musiał się pytać co i wiele posiadają obywatele, którzy tego rodzaju poszukiwania uważać będą za przykrość, niesłusznie im wyrządzoną. Obciążając wszystkich umiarkowanie i jednakowo, oszczędzasz ubogich, skoro pozostawiasz im majątek bogatych. I w jakiż sposób możnaby ustosunkować podatek podług bogactwa? Wczoraj miałem dwieście wołów, dziś mam ich sześćdziesiąt, jutro będę ich miał sto. Clunic ma trzy krowy, ale chude; Nicclu ma tylko dwie, lecz są tłuste. Któż jest bogatszy Clunic czy Nicclu? Oznaki zamożności są zwodnicze. Pewnem jest natomiast, że wszyscy jedzą i piją. Opodatkuj ludzi za to, co spożywają. Będzie to rozumne i sprawiedliwe.

Tak przemówił Morio wśród oklasków wszystkich Starszych.

— Wnoszę, by słowa te wyryć na spiżowych tablicach — zawołał mnich Bulloch. — Wyrzuczone są dla przyszłości; nawet za tysiąc pięćset lat, najpierwsi wśród Pingwinów nie przemówią inaczej.

Starsi w narodzie przyklaskiwali jeszcze, gdy Greatauk, z dłonią na rękojeści szabli, wyrzekł krótko:

— Jestem szlachcicem, a więc podatku płacić nie będę. Płacić to hańba. Płacić winien mołoch.

Na to zdanie Starsi rozeszli się w milczeniu. Tak jak w Rzymie, censusu dokonywano co lat pięć i w ten sposób przekonywano się, że ludność szybko wzrasta. Chociaż dzieci umierały zadziwiająco obficie, a głody i zarazy wyludniały wsie całe, nowi Pingwini, coraz liczniejsi, swą nędzą prywatną przyczyniali się do ogólnego dobrobytu.

ROZDZIAŁ V

ŚLUBY KRAKENA I ORBEROZY

W owym czasie żył na wyspie Alca Pingwin, o silnem ramieniu i umyśle przebiegłym. Nazywał się Kraken i mieszkał na wybrzeżu Cieniów, dokąd mieszkańcy wyspy nie zapuszczali się nigdy, z obawy przed węzami, gnieźdzącemi się w szczelinach skał i ze strachu, by nie spotkać się z duszami pingwinów, zmarłych bez chrztu, które jak blade płomyki jęcząc, błędziły nocą po smutnem wybrzeżu. Bo wierzono powszechnie, choć nie było na to dowodów, że między Pingwinami, na prośbę świętobliwego Maëla w ludzi przemienionymi, było kilku takich, którzy chrztu nie otrzymali i ci przychodzili po śmierci zaliczyć się wśród nawałnicy. Kraken

na dzikim wybrzeżu zamieszkiwał niedostępną jaskinię. Wchodziło się do niej przez naturalne podziemie na sto stóp długie, którego wejście kryło się w gęstym lesie.

Otóż pewnego wieczoru Kraken, przechodząc przez ową pustą okolicę, spotkał młodą, wdzięczną pingwinę. Była to właśnie ta, którą niegdyś mnich Magis odział własnymi rękami i która pierwsza przyoblekła była wstydlive zasłony. Na pamiątkę dnia, w którym zachwycony tłum pingwinów widział ją był w jej wspnialej sukni koloru jutrzenki, dziewica ta otrzymała była imię Orberoza.

Na widok Krakena wydała okrzyk przerażenia i poczęła uciekać. Lecz bohater uchwycił ją za powiewające za nią welony i rzekł:

— Dziewczyno, powiedz mi imię twe, nazwisko, i z jakiego kraju jesteś rodem.

Tymczasem Orberoza ze strachem patrzyła na Krakena.

— Czy was to widzę, panie—zapytała go z drżeniem, czy nie jest to raczej wasz duch gniewny?

Mówiła tak, bo mieszkańcy Alca, nie mając wiadomości o Krakenie odkąd zamieszkiwał wybrzeże Cieniów, sądzili, że umarł dawno i zstąpił do duchów ciemności.

— Przestań lękać się, córo Alca — odrzekł Kraken. Ten, co mówi do ciebie, nie jest duszą błądzącą, lecz człowiekiem pełnym sił i mocy. Niedługo wielkie bogactwa posiadać będą.

Młoda Orberoza zapytała:

— W jaki sposób myślisz osiągnąć wielkie bogactwa, o Krakenie, będąc synem pingwinów?

— Przez rozum mój — odrzekł Kraken.

— Wiem — rzekła Orberoza — że w czasach, gdy żyłeś między nami, słyngałeś ze zręczności w lowach i rybołówstwie. Nikt nie mógł dorównać ci w sztuce chwytania ryb w sieci i w strzelaniu z łuku do chyżych ptaków.

— Był to tylko przemyśl pospolity i pracowity, dziewczyno. Znalazłem sposób, by bez trudu wielkie zdobyć mienie. Ale powiedz mi, kim jesteś?

— Nazywam się Orberoza — odrzekła dziewczyna.

— Skąd znalazłaś się w nocy tak daleko od domu twego?

— Nie stało to się bez woli Nieba, Krakenie.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Orberozo?

— Że Niebo, o Krakenie, nie wiem z jakiego powodu, postawiło mnie na twej drodze.

Kraken przyglądał jej się długo w ponurem milczeniu.

Poczem rzekł łagodnie:

— Orberozo, chodź do domu mego, jest to dom najsprytniejszego i najwaleczniejszego syna Pingwinów. Jeśli zgodzisz się iść ze mną, uczynię z ciebie moją małżonkę.

Spuszczając oczy, szepnęła:

— Pójdę za wami, panie.

Tak piękna Orberoza została małżonką Krakena. Hymen ten nie był obchodzony przy śpie-

wie i pochodniach, bo Kraken nie chciał pokazać się ludowi Pingwinów; lecz ukryty w swej jaskini tworzył wielkie zamysły.

ROZDZIAŁ VI

SMOK Z ALCA

«Poszliśmy następnie zwiedzić gabinet zoologiczny... Zarządzający pokazał nam paczkę wypchaną, w której, jak mówił nam, jest sakiel smoka; dowód to, dodał, że smok nie jest zwierzęciem bajecznym».

(Pamiętniki Jakóba Casanovy,
Paryż, t. IV. str. 404, 405).

Mieszkańcy Alca oddawali się pracom i zajęciom pokojowym. Ci z wybrzeża północnego puszczali się w łodziach na połów ryb i skorupiaków. Rolnicy des Dombes uprawiali żyto, pszenicę, owies. Bogaci Pingwini z doliny des Dalles hodowali stada zwierząt domowych i trzody chlewnej, a mieszkańcy zatoki Nurków uprawiali swe ogrody owocowe i warzywne. Kupcy z Port-Alca prowadzili z Armoriką handel solnemi rybami. A złoto obydwóch Brytanji zaczynało napływać do wyspy i ułatwiało wymiany. Naród pingwiński w głębokim spokoju korzystał z owoców swej pracy, gdy nagle wieść złowroga rozbiegła się po wsiach. Dowiedziano się wszędzie równocześnie, że straszny smok spustoszył dwie fermy w zatoce Nurków.

Kilka dni przedtem zniknęła była dziewczyna Orberoza. Nie odrazu zaniepokojono się jej nieobecnością, bo kilkakroć zdarzało się już, że porywali ją gwałtowni, miłością palający ludzie.

Czemu mędracy nie dziwili się, zważywszy, że była ona najpiękniejsza z Pingwinek. Zauważono, że niekiedy uprzedza nawet chęci swych uwodzicieli, bo nikt nie może uniknąć losu swego. Ale tym razem, gdy nie powracała dość długo, obawiano się, czy nie pożarł jej smok.

Niezadługo i mieszkańcy doliny des Dalles przekonali się, że smok nie jest bajką, opowiadaną przez baby około studzień. Bo pewnej nocy, potwór pożarł w wiosce Anis sześć kur, owcę, i chłopczyka — sierotę, imieniem Elo. Z dziecka i zwierząt nazajutrz nie znaleziono ani śladu.

Natychmiast starszyzna wioski zgromadziła się na placu publicznym i obsiadła ławę kamienną, aby obmyślić, co czynić wypada w tak strasznych okolicznościach.

I zwoławszy wszystkich Pingwinów, którzy widzieli byli smoka tej strasznej nocy, zapytali ich.

— Czy nie zauważyliście kształtu jego i nawyknień?

A każdy odpowiadał pokolei:

— Ma lwie pazury, skrzydła orle i ogon węża.

— Grzbiet jego najeżony jest kolcami.

— Całe ciało pokryte żółtą łuską.

— Wzrok jego obezwładnia i zabija. Z ust buchają mu płomienie.

— Zatrzuwa powietrze swym oddechem.

— Ma głowę smoka, pazury lwa, ogon rybi.

Pewna kobieta z Anis, która uchodziła za rozumną i zdrową na umyśle, a której smok porwał był trzy kury, zeznała:

— Podobny jest do człowieka, i to tak dalece, że myślałam, że to mój chłop i powiedziałam mu: «Chodź-że położyć się, niezdaro».

Inni mówili:

— Wygląda, jak chmura.

— Podobny jest do góry.

Dziecko jakieś przyszło i rzekło:

— Smoka widziałem, jak zdejmował sobie głowę w stodole, żeby pocałować siostrę Minnę.

I starszyzna pytała jeszcze mieszkańców:

— Jak duży jest ten smok?

Odpowiadano:

— Wielki, jak wół.

— Jak duże handlowe okręty Bretonów.

— Jest wzrostu człowieka.

— Wyższym jest od drzewa, pod którym siedzicie.

— Jest tak duży, jak pies.

Zapytani o kolor jego, mieszkańcy odrzekli:

— Czerwony.

— Zielony.

— Niebieski.

— Żółty.

— Głowę ma pięknej zielonej barwy; skrzydła pomarańczowe przechodzą w różowe; obramowane są srebrzysto szarym kolorem; tył i ogon w poprzeczne brązowe i różowe pasy, brzuch żółty, czarno nakrapiany.

— Kolor? On nie ma koloru.

— Jest koloru smoka.

— Wysłuchawszy zeznań: starszyzna pozostała dalej niepewna, co czynić należy. Jedni proponowali, by zacząć się na smoka, zaskoczyć go i przeszyć mnóstwem strzał. Inni uważali, że daremna walczyć z tak potężnym potworem i radzili ulaskawić go darami.

— Zapłaćmy mu daninę — rzekł jeden z Pingwinów, uchodzący za mądrego. Możemy uczynić go życzliwym dla nas, dając mu miłe dlań podarki, owoce, wina, jagnięta, młodą dziewicę.

Inni chcieli zatruć studnie, z których piją lub uwędzić go w jaskini. Ale żadna z tych rad nie przeważała. Spierano się długo i starszyzna rozeszła się, nie powziąwszy postanowienia.

ROZDZIAŁ VII

SMOK Z ALCA

(Ciąg dalszy)

Przez cały miesiąc, poświęcony przez Rzymian fałszywemu ich bogowi Marsowi czy Mavor-sowi, smok pustoszył farmy w Dalles i w Dombes, porwał pięćdziesiąt owiec, dwanaście wieprzków i trzech młodych chłopców. Wszystkie rodziny były w żałobie, wyspa napelniała się jękiem i żalem.

By zażegnać klęskę, starszyzna nieszczęsnych wiosek położonych nad brzegami le Clange i la Surelle zgromadziła się i postanowiła wspólnie udać się o pomoc do świątobliwego Maëla.

Piątego dnia miesiąca, którego nazwa u Latinów znaczy otwarcie, gdyż otwiera rok, udali

się oni w uroczystym pochodzie do klasztoru, wznoszącego się na południowym wybrzeżu wyspy. Wprowadzeni do klasztoru wybuchli jękiem i łkaniem. Wzruszony temi skargami starzec Maël opuścił salę, w której zajęty był studjowaniem astronomji i rozważaniem Pism i zeszedł do nich, wsparty na swej lasce pasterskiej. Za jego ukazaniem się, starszyzna w pokłonie pochylili przed nim zielone palmy. Kilku z nich zapaliło ziola aromatyczne.

I świętobliwy mąż, zasiadłszy u studni klasztornej pod starem drzewem figowem, ozwał się w te słowa:

— O syny moje, potomstwo pingwinów, czemu płaczecie i jęczycie? Dlaczego wyciągacie ku mnie te błagalne palmy? Dlaczego dym kadzidła ślecie ku niebu? Pragniecie, bym jakąś klęskę odwrócił od was? O co mnie błagacie? Gotów jestem życie dać za was. Powiedzcie tylko, czego spodziewacie się od ojca waszego!

Na te pytania przywódca starszyzny odrzekł:

— Ojcze dzieci Alca, Maëlu, przemówię za wszystkich. Straszny smok pustoszy nasze pola, wyludnia obory, porywa do swej pieczary kwiat naszej młodzieży. Pożarł dziecię Elo i siedmiu młodych chłopców; zmiążdżył zgłodniałemi kłami dziewicę Orberozę, najpiękniejszą z Pingwinek. Niema wioski, którejby nie owiał swem za-trutem tchnieniem i nie napelnił rozpaczą.

— Oddani na pastwę tej straszhwej klęski, przychodzimy prosić cię, o Maëlu, jako najro-

zumniejszego, byś pomyślał, co czynić należy dla ratowania mieszkańców tej wyspy, aby nie wyginęła rasa Pingwinów.

— Przywódco starszyny Alca — odrzekł Maël — słowa twe przejmują mnie głębokim smutkiem i płaczę na myśl, że wyspa ta wydana jest na łup wściekłości straszliwego smoka. Fakt ten nie jest faktem jedynym i znaleźć można w księgach niejedną historję o strasznych smokach. Potwory te spotyka się przeważnie w jaskiniach, nad brzegami wód, a najczęściej u ludów pogańskich. Może być, że między wami są tacy, którzy chociaż otrzymali chrzest i wcieleni zostali do rodu Abrahama, mimo tego oddawali cześć bałwanom, jak starożytni Rzymianie, lub zawieszali posążki, tabliczki, przepaski wełniane i wieńce kwiecica na gałęziach święconego drzewa. Może Pingwinki płały naokoło jakiego czarodziejskiego kamienia i piły wodę ze źródła zamieszkanego przez nimfy. Gdyby tak było, wierzyłbym, że Pan zesłał tego smoka, by wszystkich pokarać za nieprawość kilku, by skłonić was, o syny Pingwinów, do wygładzenia bluźnierstwa, zaboronu, bezbożności. Dla tego jako lek na wielką niedolę, którą cierpicie, radzę wam, byście starannie tropili bałwochwalstwo w siedzibach waszych i wyrwali je z pośród siebie. Sądzę, że skuteczną będzie też modlitwa i pokuta.

Tak przemówił świętobliwy starzec Maël. A starszyna ludu Pingwinów, ucałowawszy mu stopy, z lepszą nadzieją powróciła do swych wiosek.

SMOK Z ALCA

(Ciąg dalszy)

Stosując się do rady świętobliwego Maëla, mieszkańcy Alca starali się usilnie wykorzenić zabobony, które zakielkowały były wśród ludu. Baczyli pilnie, by dziewczęta nie pęsały przy wtórze zakłęć około drzewa wieszczek. Zakazali surowo młodym matkom pocierać niemowlęta o stojące wśród pól glazy, co rzekomo miało uczynić je silnemi. Starca z Dombes, który wróżył przyszłość, potrząsając na sicie ziarna jęczmienia, wrzucono do studni.

Potwór jednak w dalszym ciągu co noc pustoszył kurniki i obory. Wystraszeni chłopcy zatarasowywali się w swych domostwach. Ciężarna kobieta, która przez okienko w dachu, widziała była przy świetle księżycy cień smoka na błękitniejącej drodze, tak się przeraziła, że natychmiast poroniła przedwcześnie.

Przez te dni ciężkich prób, świętobliwy mąż Maël rozmyślał bezustannie nad naturą smoków i nad sposobami pokonania ich. Po sześciu miesiącach studjów i modłów zdało mu się, że znalazł to, czego szukał. Pewnego wieczora, gdy przechadzał się po wybrzeżu morskiem w towarzystwie młodego mnicha imieniem Samuel, w ten sposób myśl mu swą wyraził.

— Pilnie studjowałem dzieje i zwyczaje smoków nie w tym celu, by zadowolnić próżną cie-

kawość lecz, by znaleźć przykład na obecne warunki. Taką jest, synu mój, Samuelu, użyteczność historii.

— Jest faktem niezbitym, że smoki są nadzwyczaj czujne. Nie śpią nigdy. To też często widzimy, że strzegą skarbów. Smok strzegł w Kolchidzie złotego runa, zdobytego przez Jazona. Smok czuwał nad złotymi jabłkami w ogrodzie Hesperyd. Zabił go Herkules, a Junona zamieniła na gwiazdę niebieską. Fakt ten opisany jest w księgach; jeśli jest prawdziwy, stało się to zapomocą magji, bo bogowie pogan są w rzeczywistości djablami. Smok wzbraniał ludziom ciemnym i nieokrzesanym poić się u Kastalskiego źródła. Należy też wspomnieć o smoku Andromedy, zabitym przez Perseusza.

— Ale porzućmy baśnie pogan, w których omyłka miesza się ciągle z prawdą. Spotykamy smoków w dziejach pełnego chwały archaniola Michała, świętego Jerzego, Filipa, Jakóba i Patryka, świętej Marty i Małgorzaty. I w takich to opowiadaniach godnych wiary, czerpać winiśmy radę i otuchę.

— Historia smoka z Sileny nastręcza nam głównie cenne przykłady. Winienesz wiedzieć, mój synu, że nad brzegiem ogromnego stawu, nieopodal od Sileny, mieszkał smok straszliwy, który podchodził niekiedy pod mury miasta i tchnieniem swem zatruwał mieszkańców przedmieść. By smok ich nie pożarł, mieszkańcy Sileny codzień wydawali mu na pastwę jednego ze

swoich. Losowano, kto ma iść na ofiarę. Po setce innych, los padł na córkę królewską.

— Święty Jerzy, wówczas trybun wojskowy, w przejeździe przez Silenę dowiedział się, że córkę królewską tylko co powiedziano do okrutnego potwora, natychmiast dosiadł więc konia i uzbroiwszy się w dzidę, pocwałował na spotkanie smoka, którego dopędził w chwili, gdy miał pożreć królowną. I gdy święty Jerzy pokonał już był smoka, córka króla przepaskę swą założyła na szyję bestji, a ta poszła za nią, jak pies prowadzony na smyczy.

— Na przykładzie tym widzimy jaka jest władza dziewic nad smokami. Historia świętej Marty daje nam tej władzy przykład jeszcze pewniejszy. Czy znasz tę historję, synu mój Samuelu?

— Tak mój ojciec — odrzekł Samuel.

Świętobliwy Maël mówił dalej:

— Żył w lasach nad brzegami Rodanu, między Arles a Avignon, smok: pół czworonóg, pół ryba, większy od wołu, z zębami ostremi jako rogi i ze skrzydłami na ramionach. Zatapiał lodzie i pożerał wioślarzy. Otóż święta Marta, na prośbę ludu, udała się do owego smoka, kiedy właśnie pożerał człowieka, założyła mu swą przepaskę na szyję i z łatwością do miasta go przywiodła.

— Te dwa przykłady naprowadzają mnie na myśl, że należy odwołać się do władzy dziewicy, by zwalczyć smoka, siejącego śmierć i postrach na wyspie Alca.

Dla tego, synu mój, Samuelu, przepasz biodra i idź proszę cię z dwoma towarzyszami od wsi do wsi i obwieść wszędzie, że tylko dziewica zbawić może wyspę od potwora, który ją wyludnia.

— Śpiewać będziesz hymny i psalmy i powiesz:

— O syny pingwinów, jeśli jest między wami dziewica nieskalana, niech wstanie i znakiem krzyża zbrojna, niechaj idzie zwalczyć smoka.

Tak przemówił starzec, a Samuel przyrzekł być posłusznym.

Nazajutrz przepasał biodra i poszedł z owymi towarzyszami, by wieścić mieszkańcom Alca, że tylko dziewica nieskalana zdolna jest ocalić Pingwinów od wściekłości smoka.

ROZDZIAŁ IX

SMOK Z ALCA

(Ciąg dalszy)

Orberoza kochała swego małżonka, jednak nie jego jednego kochała. W porze gdy na błędem niebie zapala się Wenus, a Kraken szedł po wsiach rozsiewać przerażenie, ona odwiedzała w przenośnej jego siedzibie młodego pasterza z Dombes imieniem Marcelli, w którego delikatnych, wdzięcznych kształtach kryła się niezmordowana dzielność. Piękna Orberoza z rozkoszą dzieliła aromatyczne łoże pasterza. Ale nie zdradzając przed nim, kim jest, podawała się za Brygidę, córkę ogrodnika z zatoki Nur-

ków. Gdy z zalem wyrwała się z jego ramion, szła przez dymiące pola ku wybrzeżu Cieniów i jeśli wypadkowo spotykała jakiego zapóźnionego wieśniaka, natychmiast rozwijała zasłony swe na kształt wielkich skrzydeł i mawiała:

— Przechodniu, spuść oczy, byś nie potrzebował mówić: Niestety, Niestety, biada mi, bo widziałem Anioła Pańskiego!

Wieśniak, drżąc, padał czołem w proch. I mawiano na wyspie, że nocą po drogach chodzą aniołowie, a kto ich widział, umiera. Krakenowi obce były miłostki Orberozy z Marcellim, był bowiem bohaterem, a bohaterowie nie znają nigdy tajemnic swych żon. Ale o tych miłostkach nie wiedząc, zażywał ich cennych korzyści. Co noc znajdował towarzyszkę swą piękniejszą, bardziej uśmiechniętą: tchnęła rozkosz w łożę małżeńskie i przepajała je cudną wonią werweny i macierzanki. Miłość jej dla Krakena nie była ani natarczywa ani wymagająca, bo nie do niego jednego się ograniczała. Ta niewiara Orberozy miała wkrótce ocalić bohatera od wielkiego niebezpieczeństwa i zapewnić mu powodzenie i chwałę. Bo oto Orberozą ujrzała raz o zmierzchu handlarza wołów z Belmont, pędzącego swoje stado, i zapalała doń żywszem uczuciem od tego, które kiedykolwiek żywiła dla Marcelego. Był to garbus, ramiona wystawały mu nad uszy; ciało kołysało się na nierównych nogach, zezowate oczy błyskały z pod szczecinowatych, zwichrzonych włosów. Z gar-

dła dobywał się chrapliwy głos i ostry śmiech, czuć go było oborą. Dla niej jednak był piękny. «Jedni — jak mówi Gnathon — kochają rośliny, inni rzekę, inny — zwierzę».

Otóż gdy dnia pewnego, na jednym z poddaszów wioski wzdychała, leżąc wyprężona w ramionach nowego kochanka, głos trąby, wrzawa, szmer kroków dobiegły do jej uszów, spojrziała przez okienko i ujrzała mieszkańców, zgromadzonych na placu targowym około młodego mnicha, który, stojąc na kamieniu, mówił jasnym i wyraźnym głosem:

— Mieszkańcy Belmontu! Świątobliwy Maël, ojciec nasz czcigodny, przez usta moje powieścić wam każe, że ani siła ramienia, ani moc zbroi nie przemoże smoka, ale bestję pokona dziewica! Jeśli więc jest między wami dziewica nieskalana, nigdy nie tknięta, niech wstanie i idzie naprzeciw potwora, gdy go spotka, niechaj założy mu przepaskę swą na szyję, a z taką łatwością, jakby to był piesek mały, wodzić go będzie za sobą!

I młody mnich, ściągnąwszy kaptur na oczy poszedł, by w innych wsiach głosić nakaz świątobliwego Maëla.

Był już daleko, a Orberoza, siedząc na słomie zmiętej od kochania, z ręką na kolanie i głową w dłoni, rozmyślała jeszcze nad tem, co słyszała. Chociaż dla Krakena mniej obawiała się dziewicy niż siły zbrojnych ludzi, nie była jednak uspokojona tym nakazem świątobli-

wego Maëla. Niejasny, a pewny instynkt mówił jej, że Kraken nie może już nadal bezpiecznie być smokiem.

Zapytała kochanka:

— Co myślisz o smoku, moje serce?

Chłop potrząsnął głową.

— Jest rzeczą pewną, że w czasach starożytnych smoki pustoszyły ziemię; były one niekiedy wielkie jak góra. Ale niema ich już i zdaje mi się, że to co uważają tu za smoka okrytego łuskami, są to, piraci lub kupcy, którzy porwali na swój okręt piękną Orberozę i najpiękniejszą młodzież z Alca. I jeśli który z tych rozbójników zechce porwać mi moje woły, potrafię siłą lub podstępem uczynić go nieszkodliwym.

Te słowa handlarza wołów wzmocniły niepokój Orberozy i wzmogły jej troskliwość dla małżonka, którego kochała.

ROZDZIAŁ X

SMOK Z ALCA

(Ciąg dalszy)

Dnie mijały i nie znalazła się na wyspie dziewica dla zwalczenia smoka. W modrzewiowej pustelni starzec Maël, siedząc na ławce w cieniu starego drzewa figowego w towarzystwie mnicha niezwykle pobożnego, Regimentalem zwanego, ze smutkiem i niepokojem sam sobie zadawał pytanie, jak może na wyspie Alca nie być ani jednej dziewicy, zdolnej pokonać smoka.

Westchnął, tak samo westchnął braciszek Regimental. W tej chwili przez ogród przechodził młody Samuel, starzec Maël zawołał go i rzekł:

— Rozmyślałem na nowo, synu mój, nad sposobem zniszczenia smoka, który pożera kwiat naszej młodzieży, nasze trzody i nasze zbiory. Pod tym względem historie smoka świętego Rioka i świętego Pola Leon są nader pouczające. Smok świętego Rioka miał sześć metrów długości, głowa jego była czemś pośredniem między głową koguta, a bazyliuszka, tułów miał pół wołu, pół węża. Trafił on wybrzeża Elornu za czasów króla Bristocusa. Święty Riok, mając dwa lata, powiódł go na smyczy do morza, gdzie potwór bardzo chętnie utonął. Smok świętego Pola sześćdziesiąt stóp długi był niemniej straszny. Błogosławiony apostoł Leon obwiązał go stulą i kazał prowadzić młodemu szlachcicowi niezwykle skromnemu. Przykłady te dowodzą, że młodzian czysty równie miły jest Bogu jak nieskalana dziewica. Niebo nie czyni w tem różnicy. Dlatego, synu mój, uwierz temu, co mówię, udajmy się obaj na wybrzeże Cieniów; doszedłszy do jaskini smoka, głośno zawołamy na potwora i gdy się zbliży, zawiążę mu stulę na szyi, a ty powiedziesz go za nią aż do morza, gdzie nie omieszka utonąć.

Na te słowa starca, Samuel, milcząc, opuścił głowę.

— Zdajesz się wahać, synu mój?

Brat Regimental wbrew zwyczajowi swemu niepytany, rzekł:

— Nie dziw. Święty Riok miał dopiero dwa lata, gdy przemógł smoka. Któż wiedzieć może czy w dziewięć, dziesięć lat później mógłby jeszcze to samo uczynić?! Zważ, mój ojcze, że smok, który trapi naszą wyspę, pożarł małego Elo i czterech czy pięciu innych młodzieńców. Brat Samuel nie jest tak zarozumiałym, by mając lat dziewiętnaście uważał się za bardziej niewinnego od tamtych dwunastu czy czternastolatków.

— Niestety — dodał mnich, jęcząc — ktoś pochwalić się może, że jest czystym na tym świecie, gdzie wszystko jest dla nas wzorem i przykładem miłości, gdzie wszystko w przyrodzie, zwierzęta i rośliny ukazują nam i doradzają rozkoszne całunki? Zwierzęta z zapalem parzą się według upodobania swego, ale wszystkie te hymeny czworonogów, ptaków, ryb, gadów, nie dorównują w zmysłowości miłosnym godom drzew. Cały potworny bezwstyd, przez pogan w ich baśniach wymyślony, błędnie wobec bezwstydu prostego kwiecica polnego, i gdybyś znalazł cielesny grzech lilij i róż, usunąłbyś z ołtarzy te kielichy nieczyste, te naczynia sromu!

— Nie mów tak, bracie Regimentalu — odrzekł starzec Maël. — Posłuszne prawom przyrody, zwierzęta i rośliny są zawsze niewinne. Nie mają duszy do zbawienia, podczas gdy człowiek...

— Masz słuszość — odrzekł brat Regimental — jest to ważna różnica. Ale nie posyłaj do smoka młodego Samuela, smok pożarłby go. Już

od pięciu lat Samuel nie jest w stanie zadziwić potworów swą niewinnością. W roku komety, Szatan, by go skusić, postawił na jego drodze mleczarkę, która podniosła kiecki, by przejść przez bród. Samuel był kuszony, ale przemógł pokusę. Szatan, który niełatwo daje za wygraną, zesłał mu we śnie obraz tej dziewczyny. Cień dokazał tego, czego dokazać nie mogło ciało: Samuel uległ. Przebudziwszy się, oblał łzami zbezczeszczone swe łóżko. Niestety, skrucha nie wróciła mu niewinności.

Słyszając to opowiadanie, Samuel pytał sam siebie, skąd znana mogła być jego tajemnica; nie wiedział bowiem, że Szatan wziął na siebie postać brata Regimentala, by wnieść niepokój do serc mnichów z Alca.

A starzec Maël dumal i zapytywał z trwogą:

— Kto ocali nas od paszczy smoka? Kto ustrzeże nas od jego tchnienia? Kto obroni nas od jego wzroku?

Tymczasem mieszkańcy Alca zaczęli nabierać odwagi. Rolnicy z Dombes i handlarze wołów z Belmont zapewniali, że przeciwko dzikiej bestji oni są dzielniejszą obroną od dziewicy i wołali, klepiąc swe tęgie mięśnie: «Niechaj przyjdzie smok!» Dużo mężów i niewiast widziało go. Nie zgadzali się co do jego kształtu i postaci, ale wszyscy zgodnie utrzymywali, że nie jest tak wielki, jak myślano i że wzrost jego nie o wiele przekracza wzrost ludzki. Zarządzono obronę; ku schyłkowi dnia, straże stawały na czatach

przy wejściu do wsi, gotowe dać hasło kampanji, uzbrojonej w widły i kosy, strzegły nocą zagród, w których zamykano bydło. Raz nawet w wiosce Anis odważni rolnicy ujrzeni Smoka, przeskakującego mur ogrodu Moria. Uzbrojeni w widły, cepy i kosy pobiegli za nim i dopędzali go prawie. Jeden z nich dzielny i zwinny pewnym był nawet, że ukłuł go swemi widłami; ale poślizgnął się w kałuży, przez co dał się wymknąć smokowi. Drudzy byliby go pewnie dopędzili, żeby nie byli zabalamucili się, łapiąc kury i króliki, porzucone przez smoka w ucieczce.

Rolnicy ci zapewnili starszyznę wioski, że potwór zdaje się mieć kształt i rozmiar mniej więcej ludzki, z wyjątkiem głowy i ogona, które są istotnie straszne.

ROZDZIAŁ XI

SMOK Z ALCA

(Ciąg dalszy)

Tego dnia Kraken wcześniej niż zwykle powrócił do swej jaskini. Zdjął z głowy hełm ze skóry psa morskiego, zakończony dwoma wołowemi rogami z przyłbicą, uzbrojoną straszliwemi kłami. Rzucił na stół rękawice, zakończone ostremi szponami: były to dzioby rybitw. Odjął pas, przy którym wisiał ogon zielony o krętych zgitach. Potem rozkazał paziowi swemu Elo, by mu zdjął buty, a gdy ten nie wykonał tego dość pośpiesznie, kopnął dziecko i odrzucił je na drugi koniec groty.

Nie patrząc na piękną Orberożę, zajęta przędzeniem wełny, usiadł przed kominem, na którym piekł się baran i mruknął:

— Nikczemni Pingwini!... Niema gorszego rzemiosła, jak udawać smoka.

— Co pan mój mówić raczy? — zapytała piękna Orberoza.

— Już się mnie nie boją — ciągnął dalej Kraken. — Dawniej wszystko uciekało za mojem zbliżeniem. Unosiłem w worku kury i króliki, pędziłem przed sobą barany, wieprze, woły i krowy. Teraz te chamy dobrze pilnują; czuwają. Przed chwilą w wiosce Anis, goniony przez chłopów uzbrojonych w widły, kosy i cepy, musiałem porzucać kury i króliki, wziąć ogon pod pachę i uciekać co sił w nogach. I pytam się ciebie, czy stosownem jest dla smoka kapadockiego, by uciekał, jak złodziej, z ogonem pod pachą? Przytem obarczony grzebieniem, rogami, kłami, szponami, łuską ledwie wymknąłem się chamowi, który na pół cala wpakował mi widły w lewy zad.

To mówiąc z troskliwością dotknął ręką zranionego miejsca.

Po chwili gorzkich rozmyślań dodał:

— Co za idjoci ci Pingwini! Sprzykrzyło mi się już buchać płomieniami pod nos takim głupcom. Słyszysz, Orberozo?...

To rzekłszy, bohater wziął w ręce helm straszliwy i przyglądał mu się długo w ponurem milczeniu. Potem rzekł szybko:

— Helm ten ze skóry psa morskiego własnoręcznie przykroilem w formie rybiej głowy. By uczynić go straszniejszym, nasadziłem dwa rogi wołu, zaopatrzyłem go w szczękę dzika, z której wywiesiłem ogon koński na czerwono malowany. Żaden z mieszkańców wyspy nie mógł znieść jego widoku, gdy w melancholijnym zmierzchu aż po ramiona nasadzałem go sobie na głowę. Za jego zbliżeniem niewiasty, dzieci, młodzieńcy, starcy pierzchali w popłochu; wnosilem przerażenie do całej rasy Pingwinów. Za jakimi idąc radami, hardy ten lud, niepomny pierwszych swych lęków, śmie dziś spojrzeć w twarz tej gębie straszliwej, gonić tę grzywę przerażającą?

I ciskając hełm na skalisty grunt, zawołał Kraken.

— Giń helmie zwodniczy! — Klnę się na wszystkich szatanów Armoryki, że już cię nigdy na głowę nie włożę.

I złożywszy tę przysięgę, zdeptał nogami hełm, rękawice, buty i ogon o wężowych przegibach.

— Krakenie — rzekła piękna Orberoza — pozwól służebnicy twojej użyć kunsztu, by ocalić sławę twą i mienie. Nie gardź pomocą niewiasty. Potrzebną ci jest, bo mężczyźni są wszyscy głupcami.

— Niewiasto — zapytał Kraken — jakie są twe zamysły?

I piękna Orberoza opowiedziała małżonkowi, jako mnichy przebiegają miasta i siola, nauczając mieszkańców najwłaściwszego sposobu poko-

nania smoka; że według ich zapewnień bestję pokona dziewica nieskalana, która założy przepaskę na szyję smoka i powiedzie go za sobą, jak pieska małego.

— Skądże wiesz, że mnichy uczą takich rzeczy? — zapytał Kraken.

— Drogi mój—odrzekła Orberoza — nie przerywaj mowy poważnej płochemi pytaniami...

— Jeśli więc, rzekli mnichy, jest w Alca dziewica czysta, nieskalana, niechaj wstanie! — Otóż, Krakenie, postanowiłam odpowiedzieć na to wezwanie.

— Pójdę do starca Maëla i powiem mu: «Jestem ową dziewicą, którą Niebo wyznaczyło dla pokonania smoka».

Na te słowa Kraken zaproponował:

— Jakże staniesz się tą dziewicą czystą? I dlaczego chcesz mnie zwalczać, Orberozo? Czyś zmysły postradala? Wiedz, że nie dam się pokonać przez ciebie!

— Zanim się gniewać zaczniesz, czy nie mógłbyś popróbować zrozumieć mnie? — westchnęła piękna Orberoza z głęboką i łagodną wzgardą.

I przedstawiła subtelne swe zamiary.

Słuchając jej, bohater był zadumany. A gdy mówić przestała, rzekł:

— Orberozo, głęboka jest przebiegłość twoja. I jeśli zamiary twoje spełnią się podług przewidywań twoich, osiągnę stąd wielkie korzyści. Ale jakże będziesz tą dziewicą przez niebo wyznaczoną?

— Nie troszcz się o to, Krakenie—rzekła.—
Chodźmy spać.

Nazajutrz w jaskini przesyconej wonią tłuszczów, Kraken plół z trzciny niekształtny szkielet i pokrywał go skórami najeżonemi, łuskowatemi i oślizgłemi. Na jednym końcu tego szkieletu piękna Orberoza przyszyła ów straszny szyszak i ohydną przyłbicę, którą nosił Kraken w swych pustoszących wycieczkach, do drugiego końca przytwierdziła ogon o węzowych splotach, który bohater zwykł był wlec za sobą. Gdy robotę ukończyli, nauczyli małego Elo i pięcioro innych dzieci, które im usługiwały, jak mają wejść do tej maszyny, wprowadzać ją w ruch, dmuchać w niej w trąby i spalać pakuły, aby ogień i dym szedł z paszczy smoka.

ROZDZIAŁ XII

SMOK Z ALCA

(Ciąg dalszy)

Orberoza przyodziana we włosiennicę, grubym sznurem opasana, udała się do pustelni i zapragnęła mówić ze świętobliwym Maëlem. Ponieważ wejście w obręb pustelni wzbronione było niewiastom, starzec wyszedł za wrota, trzymając pastorał w prawicy, a lewą ręką wspierając się na ramieniu Samuela, najmłodszego swego ucznia, zapytał:

— Ktoś ty, niewiasto?

— Jestem dziewczicą Orberozą.

Słyszając tę odpowiedź, Maël wzniósł ręce do nieba.

— Prawdę-li mówisz, niewiasto? Jest faktem pewnym, że Orberozę smok pożarł. A ja widzę Orberozę, słucham jej głosu! Czy, o córko moja, we wnętrznościach potwora uzbroiłaś się znakiem krzyża świętego i nienaruszona wyszłaś z jego paszczy? To wydaje mi się najprawdopodobniejsze.

— Nie mylisz się, mój ojczy — odrzekła Orberoza. — To właśnie mi się zdarzyło. Natychmiast po wyjściu z wnętrza bestji schroniłam się do pustelni na wybrzeżu Cieniów. Żyłam tam w samotności, oddając się modlitwie, rozmyśleniom i niesłychanym umartwieniom, gdy przez niebiańskie objawienie dowiedziałam się, że ja jestem tą dziewicą.

— Okaż mi jakiś znak posłannictwa twego — rzekł starzec.

— Tym znakiem jestem ja sama — odrzekła Orberoza.

— Znana mi jest władza tych, co położyły pieczęć na swem ciele — odrzekł apostoł Pingwinów. Ale czy istotnie jesteś taką, jak mówisz?

— Po skutku przekonasz się o tem — odrzekła. Tu zbliżył się mnich Regimental.

— Będzie to — rzekł — najlepszym dowodem. Król Salomon powiedział: «Trzy rzeczy trudne są do poznania na świecie, a czwarta niemożliwa; są to ślad węża na kamieniu, ślad ptaka w powietrzu, okrętu na wodzie, i ślad męża w niewie-

ście». Za zuchwale uważam te matrony, które w tej kwestji uczyć chcą najmędrszego z królów. Wierz mi, ojcze, nie zasięgaj rady żadnej z nich co do pobożnej Orberozy. Gdy wypowiedzą o tem swoje zdanie, będziesz zupełnie tyle wiedział, co poprzednio. Równie trudno udowodnić dziewiczość, jak ją zachować. Plinius uczy nas w swej historji, że oznaki dziewictwa są złudzeniem lub też bardzo niepewne.*) Nieraz ta, co ma na sobie czternaście znamion zepsucia, czystą jest w oczach aniołów, inna przeciwnie—przez matrony palcem i okiem zbadana, przejrzana kartka po kartce i ogłoszona za nietkniętą, wie dobrze, że piękne te pozory zawdzięcza sztuce uczonej przewrotności. Co zaś do czystości tej oto świętej dziewicy gotów jestem rękę do ognia włożyć za nią.

Przemawiał tak, bo był Djablem. Ale starzec Maël nie wiedział o tem. Zapytał pobożnej Orberozy:

— Córko moja, jakże zabierzesz się do pokonania tak straszego zwierza, co cię pożarł?

Dziewica odrzekła:

— Jutro o wschodzie słońca, Maëlu, zwołasz lud na wzgórze, na smutne pola, rozciągające się aż do wybrzeża Cieniów i strzedz będziesz, by żaden z Pingwinów nie zbliżał się do skał więcej jak na pięćset kroków, gdyż byłby

*) Daremnie szukaliśmy tego zdania w «Historji naturalnej» Pliniusza. (Wydaw.).

zatruty tchnieniem potwora. Smok wyjdzie ze skał, założę mu przepaskę na szyję i powiodę go na smyczy, jak pieska.

— Czy nie chcesz, by towarzyszył ci odważny a pobożny mąż, który zabije smoka? — zapytał Maël.

— Słusznie rzekłeś, o starcze: wydam potwora Krakenowi, który zabije go swym mieczem ognistym. Bo wiedzieć ci należy, że szlachetny Kraken, którego uważano za umarłego, powróci do Pingwinów i zabije smoka. I z brzucha potwora wyjdą drobne dziatki, które był pożarł.

— To co mi wieścisz, dziewico — zawołał apostoł — wydaje mi się cudowne i ludzką moc przekraczające.

— Tak jest istotnie — odrzekła dziewica Orberoza. — Lecz dowiedz się, Maëlu, iż miałam objawienie, że lud pingwiński za ocalenie swoje winien rycerzowi Krakenowi składać corocznie daninę z trzystu kur, dwunastu owiec, dwóch wołów, trzech wieprzów, tysiąca ośmiuset miar zboża, i warzyw; prócz tego dzieci, które wyjdą z brzucha smoka pozostawione będą Krakenowi, by służyły mu i we wszystkim posłuszne mu były. Gdyby lud pingwiński nie dotrzymał tych zobowiązań, nowy jeszcze straszniejszy smok przybędzie na wyspę! Rzekłam.

SMOK Z ALCA

(Ciąg dalszy i koniec).

Lud Pingwinów, zwołany przez świątobliwego starca Maëla, spędził noc na wybrzeżu Cieniów w odległości zakreślonej tak, by żaden z Pingwinów nie został zatruty tchnieniem smoka.

Jeszcze cienie nocy okrywały ziemię, gdy poprzedzony strasznym rykiem, ukazał się na skałach wybrzeża niewyraźny i potężny kształt smoka. Pełzał jak wąż; kręte jego ciało wydawało się co najmniej piętnaście stóp długie. Na widok jego, tłum cofa się przerażony. Ale w tejże chwili wszystkie spojrzenia zwracają się na dziewczę Orberozę, która w pierwszych blaskach jutrzeńki w białej szacie idzie, wolno stąpając po różowych wrzosach. Skromna i nieustraszona idzie ku bestji, która rycząc okropnie, otwiera płomienną paszczę. Okrzyk zgrozy i litości wrywa się z tłumu Pingwinów. Ale dziewczę, odwiązując swój lniany pas, zakłada go na szyję potwora i wiedzie go posłusznie, jak psa przy okrzykach radości widzów.

Już przeszła sporą część pola, gdy zjawia się Kraken uzbrojony w błyszczący miecz. Lud, który miał go za umarłego, wydaje okrzyki zdziwienia i radości. Bohater rzuca się na bestję, przewraca ją i zatapia miecz w jej brzuchu, z którego wychodzi mały Elo i pięcioro innych dzieci, w koszulkach z wijącymi się włosami

i ze złożonemi rączkami. Natychmiast klękają przed dziewicą Orberozą, która pokolei bierze je na ręce i mówi im do ucha:

— Pójdziecie po wsiach i mówić będziecie: «Jesteśmy temi biednemi dziećmi, które smok był pożarł, i w koszulkach wyszliśmy z jego wnętrza». Mieszkańcy dadzą wam w obfitości wszystkiego, czego zapragniecie. Ale gdybyście inaczej mówili, otrzymacie tylko cięgi i szczutki w nos. Idźcie!

Kilku Pingwinów, widząc smoka z rozprutym brzuchem rzuciło się, by go poszarpać w kawały, jedni z uczucia zemsty i wściekłości, drudzy, by pochwycić kamień czarodziejski, zwany drakontitem, a znajdujący się w głowie smoka. Matki zmatrwychwstałych dzieci biegły uściskać swoje małeństwa. Ale starzec Maël powstrzymał ich, przedstawiając, że nie są dość świętobliwe, aby mogły zbliżyć się do smoka bez narażenia się na utratę życia. I niebawem mały Elo i pięcioro innych dzieci podeszli do ludu, mówiąc:

— Jesteśmy temi biednemi dziećmi, które smok był pożarł i teraz oto w koszulkach wyszliśmy z jego wnętrza.

A kto ich słuchał, całując ich, mówił:

— Dzieteczki błogosławione, damy wam w obfitości wszystkiego, czego zapragniecie.

Tłumy ludu rozeszły się, śpiewając hymny i psalmy.

Dla upamiętnienia tego dnia, w którym Opatrzność oswobodziła lud od okrutnej klęski,

zarządzono procesje, podczas których obnoszono obraz skrępowanego smoka.

Kraken pobrał daninę i stał się najbogatszym i najpotężniejszym z pośród Pingwinów. Na znak zwycięstwa swego, by wzbudzać należyne postrach, nosił na głowie grzebień smoczy i zwykł mawiać ludowi:

— Teraz, gdy potwór nie żyje, jestem smokiem.

Orberoza długo jeszcze szczerze zarzucała piękne swe ramiona na szyje pasterzy i handlarzy wołów, których z bogami równała. A gdy piękność jej przeminęła, poświęciła się Panu.

Powszechnie czczona, po śmierci zaliczona w poczet świętych, została niebiańską patronką Pingwinji.

Kraken pozostawił syna, który jak on, nosił grzebień smoczy i z tego powodu przezwany został Drako. Wyszła zeń pierwsza królewska dynastia Pingwinów.





ROZDZIAŁ I

Brian Pobożny i królowa Glamorgana, królowie Alca, pochodzący od Draka, syna Krakena, nosili na głowie straszny grzebień smoczy, święty znak, którego sam widok wzbudzał w ludach cześć, przerażenie i miłość. Byli oni w ciągłych walkach bądź z wasalami i poddanymi swymi, bądź z władcami ościennych wysp i lądów.

Po najdawniejszych z tych królów pozostały tylko imiona. A i tych ani napisać ani wymówić nie umiemy. Pierwszym Drakonidem, którego historia jest znaną, jest Brian Pobożny, cenny za waleczność i przebiegłość w wojnie i na łowach.

Był chrześcijaninem, lubił naukę i sztuki i sprzyjał ludziom poświęconym życiu klasztornemu. W sali pałacu swego, gdzie pod okopconemi belkami wisiały jego myśliwskie trofea, głowy, rogi i kły dzikich zwierząt, wydawał wspaniałe uczyty, na które wzywał wszystkich harfiarzy Alca i wysp okolicznych, i sam śpiewał z nimi chwałę bohaterów. Sprawiedliwy i wspaniałomyślny nie mógł

powstrzymać się, by nie karać śmiercią tych, co lepiej odeń śpiewali.

Gdy mnichy z Yvern wypędzeni zostali przez pogan, pustoszących Bretanję, król Brian wezwał ich do swego królestwa, i kazał wybudować dla nich drewniany klasztor, niedaleko pałacu. Codziennie udawał się z królową Glamorganą, małżonką swoją, do kaplicy klasztornej, bywał obecny na ceremonjach religijnych i śpiewał hymny.

Otóż między mnichami tymi był ksiądz imieniem Oddoul, który choć jeszcze w kwiecie młodości, odznaczał się wiedzą i cnotą. Gniewało to srodze Szatana, to też kilkakrotnie kusić go próbował. Przybierał różne postacie i ukazywał mu to konia bojowego, to młodą dziewicę, to czaszę miodu; wkońcu, pobrzękując mu nad uchem kościami, rzekł:

— Chcesz grać ze mną o królestwa całego świata przeciw jednemu włosowi z twej głowy?

Ale człek Boży, zbrojny krzyża znakiem, odparł Wroga. Widząc, że mu się nie uda go skusić, Szatan, by go zgubić, umyślił zręczną sztuczkę. Pewnej nocy letniej, zbliżył się do królowej, uspioonej na łożu, pokazał jej we śnie obraz mnicha, którego codzien widywała w klasztorze, i czar rzucił na ten obraz. Natychmiast miłość, jak subtelna trucizna, weszła do serca i żył Glamorgany. Trawiła ją chęć, by z Oddoulem zażyć miłosnej rozkoszy. Znajdowała ciągle przyczyny, by zwabiać go do siebie. Kilka razy prosiła, by nauczał królewiczów czytania i śpiewu.

— Powierzam ci ich — rzekła. — Będę słuchała tych lekcji, by i samej nieco się przyuczyć. Z synami kształcić będziesz i matkę.

Młody mnich wymawiał się to pod pozorem, że nie jest mistrzem dość uczonym, to, że jego stan duchowny nie pozwala mu obcować z kobietami. Odmowa ta podrażniła pożądania Glamorgany. Pewnego dnia, cierpienie jej było już nie do wytrzymania, kazała więc przywołać Oddoula do swej sypialni. Przyszedł posłuszny i ze spuszczonei oczami stanął przy drzwiach. Że nie patrzył na nią, niecierpliwiła się i cierpiała.

— Patrz — rzekła — sił już nie mam, cień leży na oczach moich, płonę i ziębnę.

A gdy milczał i stał nieporuszony, zawołała błagalnym głosem:

— Chodź, ach, chodź do mnie!

I rękami, które wydłużało pożądanie, usiłowała pochwycić go i przyciągnąć ku sobie. Ale Oddoul uciekł, wyrzucając jej bezwstyd.

Wtedy gniewem przejęta, i obawiając się, by Oddoul nie rozgłosił hańby, w jaką popadła, umyśliła zgubić go, by samej nie być przezeń zgubioną.

Głosem rozpaczliwym, który rozlegał się po całym pałacu, zawołała na pomoc, jakgdyby rzeczywiście była w wielkiem niebezpieczeństwie. Przybyłe służebne widziały uciekającego mnicha i królowę, okrywającą się zrzuconemi kołdrami; wszystkie razem podniosły wielki krzyk. I gdy

król Brian tym krzykiem zwabiony, wszedł do pokoju, Glamorgana, pokazując mu zwichrzone włosy, oczy, łzami błyszczące i pierś, którą w swej miłosnej męce sama paznokciami rozkrwawiła, rzekła:

— Małżonku mój i panie — widzisz ślady zniewagi, którą poniosłam. Niecną żądzą party Oddoul zbliżył się do mnie, by mnie zgwałcić.

Słyszac tę skargę, widząc tę krew, Brian, wściekłością przejęty, kazał straży pochwycić mnicha i spalić go żywcem przed pałacem na oczach królowej.

Zawiadomiony o tej przygodzie, opat z Yvern udał się do króla i rzekł:

— Królu Brianie, poznaj na tym przykładzie różnicę między niewiastą chrześcijańską, a niewiastą pogańską. Lukrecja rzymianka była najcnotliwszą z księżniczek pogańskich, nie miała jednak siły obronić się przed napaścią młodego niewieściucha i zawstydzona swą słabością, popadła w rozpacz; Glamorgana zaś, oparła się zwycięsko napaści szalonego zbrodniarza, opętanego przez najgroźniejszego z szatanów.

Tymczasem Oddoul w lochu pałacowym oczekiwał chwili spalenia żywcem. Ale Bóg nie pozwolił, by zginąć miał niewinny. Zesłał mu anioła, który, wzięwszy na się postać jednej ze służebnych królowej, imieniem Gudruny, wyprowadził go z więzienia i zawiódł do pokoju niewiasty, której przybrał był postać. I rzekł anioł do młodego mnicha:

— Kocham cię za to, na coś się odważył.

Oddoul, myśląc, że przemawia sama Gudruna, odrzekł ze spuszczoneym wzrokiem:

— Za łaską Pana oparłem się chuciom królowej i mężnie stawilem czoło gniewom tej przemożnej niewiasty.

Aniol zapytał:

— Jakto? Nie uczyniłeś tego, o co oskarża cię królowa?

— Nie, nie uczynilem tego — odrzekł Oddoul z ręką na sercu.

— Nie uczyniłeś?

— Nie, nie uczynilem. Sama myśl takiego czynu napelnia mnie zgrozą.

— W takim razie — zawołał aniol — cóż tu robisz, bałwanie jeden?

I otworzył drzwi, by ułatwić ucieczkę młodemu mnichowi. Oddoul nagle znalazł się za drzwiami. Zaledwie wyszedł na ulicę, jakaś ręka wylała mu zawartość nocnika na głowę, więc pomyślał:

— Tajemnicze są zamysły twoje, Panie, i niezbadane twe drogi.

ROZDZIAŁ II

DRAKO WIELKI. — PRZENIESIENIE RELIKWIJ ŚWIĘTEJ ORBEROZY

Potomstwo w prostej linii Briana Pobożnego wygasło około roku 900, w osobie Collic'a Krótkonosego. Po nim nastąpił kuzyn tego księcia, Bosco Wspaniały, który, by zapewnić sobie tron,

wymordował wszystkich swych krewnych, Z niego wyszedł długi poczet królów potężnych. Jeden z nich Drako Wielki osiągnął sławę wielkiego wojownika. Częściej pokonywany był od innych: po tej wytrwałości w porażkach, poznaje się wielkich wodzów. Przez lat dwadzieścia spalił przeszło sto tysięcy siód, zagród, wsi, miast, miasteczek, grodów i uniwersytetów. Niósł pożogę na ziemi nieprzyjacielskie równie jak i na posiadłości własne. By wytłumaczyć to postępowanie zwykł był mawiać:

— Wojna bez pożarów to jak flaki bez musztardy; rzecz ckliwa, niesmaczna.

Sprawiedliwość wymierzał ściśle. Jeśli więśniacy, których wziął do niewoli, nie mogli opłacić wykupu, kazał ich wieszać na gałęzi, a jeśli jaka nieszczęsna kobieta przychodziła prosić o łaskę dla niewypłacalnego męża, włókł ją przywiązaną za włosy, do ogona swego konia. Żył jak żołnierz, surowo, bez żadnych wygód. Zgadza się wszyscy na to, że był obyczajów czystych. Nietylko, że za rządów jego królestwo nic nie utraciło z dziedzicznej swej chwały, ale nadto nawet w niepowodzeniach dzielnie utrzymał honor narodu Pingwinów.

Drakon Wielki przenieść kazał do Alca relikwie świętej Orberozy.

Ciało błogosławionej dziewicy pogrzebane było w grocie na wybrzeżu Cieniów, na końcu pachnącej, wonnej łąki. Pierwszymi pielgrzymami, odwiedzającymi grób ten, byli pasterze

i dziewczęta okolicznych wiosek. Najchętniej udawali się tam parami, w wieczornej dobie, jakgdyby pobożne ich pragnienia z istoty swej już szukać musiały cienia i samotności. Mieli oni dla świętej kult żarliwy i dyskretny, którego tajemnicy strzegli zazdrośnie; nie lubili jawnie głosić doświadczonych tam wrażeń; ale nieraz zdybano ich, jak szeptali jedno drugiemu słowa miłości, rozkoszy, zachwycenia, które łączyli ze świętem imieniem Orberozy; jedni wzdychali, że zapomina się tam o świecie całym; drudzy mówili, że z groty wychodzi się cichym i ukojonym; dziewczęta między sobą wspominały rozkosze, których tam doznawały.

Takiemi były cuda, których dokonała dziewica z Alca u świtu swej wieczności, pełnej chwały; miały one słodycz i mglistość jutrzeńki. Wkrótce tajemnica groty, jak woń subtelna, rozeszła się po okolicy; było to dla dusz czystych przedmiotem szczęścia i zbudowania, i ludzie źli daremnie próbowali kłamstwem i potwarzą odsunąć wiernych od źródła łask, płynących z grobu świętej. Kościół postarał się o to, by łaski te nie pozostały jedynie udziałem kilkorga dzieci, lecz by objęły całe chrześcijaństwo pingwińskie. Mnichy osiedlili się w grocie, wybudowali klasztor, kaplicę i zajazd na wybrzeżu; pielgrzymi napływać poczęli.

Jakgdyby wzmocniona dłuższym pobytem w niebie, błogosławiona Orberoza czyniła teraz cuda coraz większe na korzyść tych, co składali

dary na jej grobie, kobietom dotąd bezpłodnym dawała nadzieję potomstwa, zazdrosnym starcom zsyłała sny, by uspokoić ich co do wierności ich młodych żon, niesłusznie posądzonych, od okolicy oddalała zarazy, pomory, głody, burze i smoków kapadockich.

Podczas zamieszek, które trapiły państwo za czasów króla Collic'a i jego następców, grób świętej Orberozy odarto ze skarbów, klasztor spalono i mnichów rozpedzono; droga, po której kroczyło tylu pobożnych pielgrzymów, zarosła chwastem i błękitnym ostem. Od stu lat już, cudowny grób był nawiedzany tylko przez żmije, kuny i nietoperze, gdy pewnego razu święta zjawiała się wieśniakowi imieniem Momordic.

— Jestem dziewicą Orberozą—rzekła doń—ciebie wybrałam dla odbudowania mojej świątyni. Uprzedź mieszkańców tych okolic, że jeśli nie będą pamiętać o mnie i pozostawią grób mój w opuszczeniu, bez czci i bogactw, nowy smok nawiedzi Pingwinję.

Uczeni mędracy, zbadawszy to zjawienie, uznali je za rzeczywiste, nie djabelskie lecz w zupełności niebiańskie. Zauważono później, że we Francji, w podobnych okolicznościach święta Foy i święta Katarzyna postąpiły były tak samo i podobnie przemawiały. Klasztor odbudowano i pielgrzymi znów napływali. Dziewica Orberoza coraz większe czyniła cuda. Leczyła niebezpieczne choroby, mianowicie wodną puchlinę, paraliż, chorobę świętego Wita. Mnisi,

stróże grobu, żyli w zamożności, budzącej za-
wiść, gdy nagle, święta ukazała się królowi
Drakonowi Wielkiemu i rozkazała mu, by uznał
ją za niebiańską patronkę królestwa i przeniósł
drogocenne jej zwłoki do katedry w Alca.

Wonne relikwje tej dziewicy zostały zatem
z wielką okazałością przeniesione do katedral-
nego kościoła i złożone w środku chóru, w re-
likwiarzu ze złota i emalji, przyozdobionym dro-
giemi kamieniami.

Kapituła spisała cuda uczynione za wsta-
wiennictwem błogosławionej Orberozy.

Drako Wielki, który nigdy nie przestał bro-
nić i wielbić wiary chrześcijańskiej, zmarł w uczu-
ciach najżywszej pobożności, pozostawiając Ko-
ściołowi wielkie dobra.

ROZDZIAŁ III

KRÓLOWA CRUCHA

Po śmierci Drakona Wielkiego, zapanował
straszliwy bezład. Często oskarżano o słabość
następców tego księcia. I prawdą jest, że żaden
z nich, nawet w przybliżeniu, nie poszedł za
przykładem tego dzielnego przodka.

Syn jego, Chum Kulawy, nie dbał o powięk-
szenie terytorjum Pingwinów. Bolo, syn Chuma,
zginął zamordowany przez straż pałacową, mając
lat dziewięć, w chwili gdy wstępował na tron. Po
nim nastąpił brat jego Gun. Miał dopiero lat sie-
dem i rządziła nim matka jego, królowa Crucha.

Crucha była piękna, wykształcona, inteligentna, ale nie umiała oprzeć się swym namiętnościom. Oto w jakich słowach czcigodny Talpa w kronice swojej wyraża się o tej znakomitej królowej:

«Królowa Crucha urodą i wdziękiem postaci nie ustępuje ani Semiramidzie Babilońskiej, ani Pentesilei, królowej Amazonek, ani Salomie, córce Herodyady. Ale osoba jej przedstawia pewne właściwości, które wydawać się mogą pięknymi lub szpetnymi, zależnie od sprzecznych opinii ludzkich i sądów świata. Ma dwa małe różki na czole, które ukrywa pod bogatemi kędziorami swych złotych włosów; ma jedno oko czarne, drugie błękitne, szyję na lewo pochyloną jak Aleksander Macedoński, sześć palców u prawej ręki i małą małą główkę poniżej pępka. Chód jej jest majestatyczny, uprzejma jest w obejściu. Jest wspaniała w swych wydatkach, ale nie zawsze umie podporządkować rozsądek zachciankom.

Pewnego dnia, zauważywszy w stajniach pałacowych młodego stajennego, niezwyklej piękności, natychmiast zapalała gwałtowną doń miłością i powierzyła mu dowództwo wojsk. Na bezwzględną pochwałę u tej wielkiej królowej zasługuje obfitość darów, jakie czyni kościołom, klasztorom i kaplicom państwa, a w szczególności klasztorowi w Beargarden, w którym z laski Pana złożyłem śluby zakonne w czternastym roku mego życia. W tak wielkiej liczbie zamó-

wiła msze za duszę swoją, że każdy ksiądz w kościele pingwińskim jest, rzec można, gromnicą, zapaloną w obliczu nieba, by ściągnąć miłosierdzie boskie na dostojną królowę».

Z tych kilku wierszy i z innych jeszcze, którym tekst mój zbogaciłem, sądzić można o historycznej i literackiej wartości *Gesta Pinguinorum*. Na nieszczęście kronika ta urywa się nagle na trzecim roku panowania Drakona Skromnego, następcy Guna Słabego. Doszedłszy do tego punktu mej historii, ubolewam nad stratą tak uprzejmego i pewnego przewodnika.

Przez dwa następne wieki, Pingwini żyli zagrożeni w krwawej anarchji. Wszystkie sztuki piękne upadły. Wśród ogólnego nieuctwa, mnichy w cieniu murów klasztornych oddawali się nauce i z niezmordowaną gorliwością przepisywali Pisma święte. Ponieważ pergamin był rzadkością, wydrapywali stare manuskrypty, by na nich przepisywać słowa boskie. To też Biblję, jak krzewy róż zakwitały na ziemi pingwińskiej.

Mnich z zakonu świętego Benedykta, Ermold Pingwin, sam jeden wymazał cztery tysiące manuskryptów greckich i łacińskich, by cztery tysiące razy przepisać na nich ewangelję świętego Jana. W ten sposób bardzo wiele zniszczono arcydzieł poezji i wymowy starożytnej. Historycy zgodnie uznają, że w wiekach średnich, klasztory pingwińskie były przytulkiem literatury.

Wiekowe wojny Pingwinów i Marsuinów zapelniają koniec tego okresu dziejów. Niezmiernie

trudno dowiedzieć się prawdy o tych wojnach, nie dlatego, by brak było opowiadań, lecz dlatego, że jest ich bardzo wiele. Kronikarze marsuińscy przeczą na każdym punkcie kronikarzom pingwińskim. Nadto Pingwini przeczą sobie wzajemnie, tak samo czynią to Marsuini. Znalazłem dwóch kronikarzy zgodnych ze sobą; ale jeden przepisał od drugiego. Fakt jeden tylko jest pewny, że mordy, gwałty, pożogi i rabunek następowały po sobie bez przerwy.

Za nieszczęśliwego księcia Bosco IX, królestwo było o palec od zguby. Na wiadomość, że flota marsuińska, złożona z sześciuset wielkich okrętów, ukazała się niedaleko od Alca, biskup nakazał uroczystą procesję. Kapituła, wybrani urzędnicy, członkowie parlamentu, uczeni uniwersytetu, przyszedli zabrać z katedry relikwie świętej Orberozy i obnieśli je naokoło miasta; za nimi szedł naród cały, śpiewając hymny. Święta patronka Pingwinji nie była wezwana daremnie; Marsuini jednak oblegli miasto jednocześnie od lądu i od morza, zdobyli je szturmem i przez trzy dni i trzy noce zabijali, rabowali, gwałcili, palili z obojętnością, jaką wytwarza przyzwyczajenie.

Nie można się dosyć nadziwić, że przez te długie wieki żelazne wiara pozostała nienaruszona wśród Pingwinów. Blask prawdy olśniewał wtedy dusze, nie zepsute jeszcze sofizmatami. To tłumaczy tę jedność wierzeń. Stała praktyka Kościoła przyczyniła się też zapewne do utrzy-

mania tej szczęśliwej jedności wiernych; palono natychmiast każdego Pingwina, który myślał inaczej niż inni.

ROZDZIAŁ IV

PIŚMIENNICTWO: JOHANNES TALPA

Za małoletności króla Guna, Johannes Talpa, mnich klasztoru w Beargarden, w którym w jedynastym roku życia złożył śluby i odtąd nie opuścił go ani na dzień jeden, spisał sławne swe kroniki łacińskie w dwunastu księgach *De Gestis Pinguinorum*.

Klasztor w Beargarden wznosi wysokie swe mury na szczycie skały niedostępnej. Wkoło widać tylko błękitne wierzchołki gór, odziane chmurami.

Gdy zaczął pisać *Gesta Pinguinorum*, Johannes Talpa był już starcem. Zaczny mnich pisze o tem w swem dziele. «Głowa moja, mówi, dawno już straciła ozdobę swych złotych kędziorów i podobną się stała do owych wypukłych zwierciadel metalowych, które tak starannie i pilnie znane są damom pingwińskim. Postać moja krępa zawsze, z wiekiem stała się mniejszą jeszcze i pochyloną. Siwa broda ogrzewa mi piersi».

Z wzruszającą naiwnością Johannes Talpa zaznajamia nas z niektórymi okolicznościami swego życia i pewnymi cechami swego charakteru. «Urodzony z rodziny szlacheckiej i od dzieciństwa przeznaczony do stanu duchownego, uczyć się musia-

lem i gramatyki. Czytać uczyłem się pod dyscypliną mistrza Amicusa, który właściwiej winienby nazywać się Inimicusem. Ponieważ niełatwo przychodziło mi nauczyć się liter, ćwiczył mnie różgami tak zapamiętałe, iż śmiało rzec mogę, że piekącemi śladami wydrukował mi alfabet na skórze».

W innem miejscu Talpa przyznaje się do naturalnego pociągu do rozkoszy zmysłowych. Oto w jakich wymownych słowach: «W młodości mej tak silnym był żar mych zmysłów, że nawet w cieniu lasów miałem wrażenie, że płonę w kotle, nie zaś, że świeżem oddycham powietrzem. Uciekałem od niewiast. Daremnie! Dosyć było dzwoneczka lub butelki, by mi je uprzytomnić».

W czasie, gdy pisał kronikę swoją, straszna wojna zarówno domowa, jak i z zewnętrznym nieprzyjacielem, trapiła ziemie pingwińskie. Żołnierze królowej Crucha, przybyli dla obrony opactwa Beargarden przed barbarzyńskimi Marsuinami i osiedlili się w niem na dobre. By uczynić go niezdobytym, wybili w murze strzelnice i zerwali ołowiany dach z kościoła, z którego porobili pociski do proc. Wieczorami rozpalali na dziedzińcu klasztornym wielkie ognie, przy których piekli całe woły, nadziane na różny z olbrzymich sosen górskich. Zgromadzeni około tych ognisk, w gęstym dymie, przesyconym zapachem tłuszczu i żywicy, rozbijali beczki wina i piwa i pili bez pamięci. Śpiewy ich, bluźnierstwa, wrzask klótni i sprzeczek, zagłuszały dźwięk dzwonów porannych. Wkońcu Marsuini,

przeszedłszy wąwóz, oblegli klasztor wokół. Byli to rycerze Północni, odziani i zbrojni miedzią. Opierali o zręby skalne długie na 150 stóp drabiny, które w ciemności i burzy łamały się pod naciskiem ciał i zbroi i niby dojrzałe owoce, strąsane z drzewa, ciskały grona ludzkie w rowy i okopy; słychać było wśród ciemności przeciągły jęk, i szturm rozpoczynał się na nowo. Pingwini leli potoki płonącej smoly na oblegających, którzy zapalali się, jak pochodnie. Marsuini rozszalali, sześćdziesiąt razy próbowali wdrzeć się na mury i sześćdziesiąt razy ich odparto.

Od dziesięciu miesięcy trzymali już klasztor w ciasnym kole oblężniczym, gdy pewien pasterz z doliny ukazał im ukrytą ścieżkę, którą weszli na górę, dostali się do podziemia opactwa i rozsypali się po klasztorach, kuchniach, kościele, salach kapituły, księgarniach, pralniach, celach, refektarzach, sypialniach, podpaliли budynki, zabijali i gwałcili bez względu na wiek i płeć. Pingwini przebudzeni nagle, chwytali za broń, ale zamroczeni ciemnością i przerażeniem, wzajemnie zabijali się między sobą; Marsuini tymczasem bili się o łupy, siekierami walczyli o święte naczynia, o kadzielnice, lichtarze, dalmatyki, relikwiarze, o złote i drogiemi kamieniami sadzone krzyże.

Powietrze przepojone było zapachem przypalonych ciał, okrzyki śmierci i jęki unosiły się z płomieni. Brzegiem dachów grożących zawa-

leniem, mnichy, jak mrówki, biegali przerażeni i spadali w dolinę. Johannes Talpa, mimo to, pisał swą kronikę. Żołnierze królowej Crucha, usunąwszy się śpiesznie, odłamami skał zatkali wszystkie wyjścia z klasztoru, aby zamknąć Marsuinów w płonących budynkach. I aby pogrzebać nieprzyjaciół pod rumowiskami kamieni i grubych murów, rozbijali je taranami, za które służyły im pnie najstarszych drzew. Przepalone budynki waliły się z odgłosem grzmotu, cudne arkady naw padały w gruz pod ciosami olbrzymich drzew, rozkołysanych przez sześciuset ludzi naraz.

Niedługo z obszernego i bogatego opactwa pozostała tylko cela Johanna Talpy, zawieszona jakby cudem w szczątkach dymiącego poddasza. Stary kronikarz pisał dalej. Ten zadziwiający spokój umysłu może jednak wydawać się przesadzonym dla historyka, usiłującego opisać zaszłe za jego czasów fakty. Jednak mimo oderwania się i nie zważania na otaczające nas rzeczy, odczuwa się ich wpływ. Obejrzałem oryginalny rękopis Johanna Talpy w Bibliotece narodowej, gdzie przechowanym jest w oddziale pingwińskim K. L⁶, 123,90 quater. Jest to manuskrypt na pergaminie o 628 kartkach. Pismo jest niezmiernie niejasne; litery zamiast stać w jednym rzędzie prostym, wybiegają we wszystkich kierunkach, spotykają się, padają jedne na drugie, w nieładzie lub, trafniej mówiąc, w zamieszaniu okropnem. Są one tak niekształtne, że po

większej części nietylko poznać ich ale nawet odróżnić nie można, od kleksów atramentowych, obficie między nimi rozsianych. Nieocenione te kartki zdradzają tem straszne chwile, podczas których je skreślono. Odczytanie ich jest niezmiernie trudne. Przeciwnie, na stylu mnicha z Beargarden nie znać śladu wzruszenia. Ani chwili *Gesta Pinguinorum* nie wychodzą z tonu zupełnej prostoty. Opowiadanie jest szybkie i tak zwięzłe, że graniczy z oschłością. Spostrzeżenia są skąpe i naogół rozumne.

ROZDZIAŁ V

SZTUKI PIĘKNE:

PRYMITYWI MALARSTWA PINGWIŃSKIEGO

Krytycy pingwińscy utrzymują jednozgodnie, że sztuka pingwińska od zaczątków swoich odznaczała się potężną i cudowną oryginalnością i że daremnie szukaćby gdzie indziej tego wdzięku i ducha, które cechują pierwsze jej dzieła. Marsuini zaś twierdzą, że ich artyści byli mistrzami i nauczycielami Pingwinów. Trudno to rozsądzić, gdyż Pingwini, zanim zaczęli zachwycać się swymi prymitywami, zniszczyli wszystkie ich dzieła.

Nie można dosyć ubolewać nad tą stratą. Co do mnie, odczuwam ją żywo i boleśnie; szanuję bowiem starożytności pingwińskie i mam kult dla prymitywów.

Są przecudowni. Nie mówię, że są wszyscy do siebie podobni, byłoby to nieprawdą; ale mają cechy ogólne, które znajduje się we wszystkich szkołach; rozumiem przez to te formuły, od których nie odstępują nigdy, i to coś skończonego, bo to, co umieją, umieją dobrze. Na szczęście można wyrobić sobie pojęcie o prymitywach pingwińskich, dzięki prymitywom włoskim, flamandzkim, niemieckim i francuskim, ci ostatni przewyższają wszystkich innych; jak mówi p. Gruyer, posiadają oni więcej logiki, logika bowiem jest zaletą specjalnie francuską. Gdyby temu przeczyć miano, trzebaby zawsze przyznać Francji przywilej, że zachowała ona prymitywy, kiedy inne narody już ich nie miały. Wystawa prymitywów francuskich w pawilonie de Marsau w 1904 roku mieściła kilka malowideł współczesnych ostatnim Walezjuszom i Henrykowi IV.

Bardzo wiele podróżowałem, by oglądać obrazy braci Van Eyck, Memlinga, Rogera von der Weyden, Mistrza zgonu Maryi, Ambrogia Lorenzetti i dawnych umbryjczyków. Jednak ani Bruges, ani Kolonja, ani Siena, ani Perugia nie dokonały mego wtajemniczenia: w małym miasteczku Arezzo zostałem świadomym zwolennikiem malarstwa naiwnego. Będzie temu lat dziesięć, może więcej; w owych czasach biedy i prostoty, muzea miejskie o każdej porze zamknięte, otwierały się o każdej porze dla *forestierów*. Starowinka wieczorem, przy świeczce,

pokazała mi za pół lira brudne muzeum w Arezzo; znalazłem tam malowidło Magaritone'a, *Świętego Franciszka*, którego pobożny smutek, lzy mi z oczów wycisnął. Byłem głęboko wzruszony; Margaritone z Arezzo stał się moim najdroższym prymitywem.

Wyobrażam sobie prymitywów pingwińskich według dzieł tego mistrza. Dlatego nie będzie zbyt cennym, że poświęcę mu bliższą uwagę, a przynajmniej rozpatrzę jego dzieła w ich ogólnej, najbardziej zasadniczej formie.

Posiadamy pięć czy sześć obrazów własnoręcznie przezeń podpisanych. Najważniejsze jego dzieło, zachowane w *National Gallery* w Londynie, wyobraża Najświętszą Pannę na tronie z dzieciątkiem Jezus na ręku. Gdy się patrzy na tę figurę, przedewszystkiem zwracają uwagę proporcje. Ciało od szyi do nóg ma tylko dwa razy wysokość głowy; to też wydaje się krótkim i przysadzistym. Dzieło to jest nie mniej godne uwagi w kolorycie jak i w rysunku. Wielki Margaritone rozporządzał małą liczbą barw i używał ich w całej czystości, nie mieszając nigdy kolorów. Stąd wynika, że koloryt jego więcej ma żywości niż harmonji. Policzki Najświętszej Panny i boskiego Dzieciątka pokryte są żywą czerwienią, którą stary mistrz, przez naiwne upodobanie do ścisłych określeń, rozmieścił na każdej twarzy w dwóch tak dokładnych kołach, że zdają się być nakreślone cyrklem.

Uczony krytyk XVIII wieku, ksiądz Lanzi prace Margaritone'a traktował z głębokiem lekceważeniem: «Są to — orzekł — marne gryzmoły. W owych nieszczęsnych czasach nie umiano ani malować ani rysować». Takie było ogólne zdanie tych pudrowanych znawców. Ale wielki Margaritone i jego współcześni mieli być wkrótce pomszczeni za tę wzgardę.

W XIX wieku w biblijnych wioskach i reformowanych willach pobożnej Anglii, narodziło się mnóstwo małych Samuelów i świętych Janów z kędzierzawemi główkami, jak baranki. Ci, około roku 1840 i 1850, stali się uczonymi w okularach i z lupami i ustanowili kult prymitywów. Znakomity teoretyk prerafaelizmu, sir James Tuckett, nie waha się stawiać madonnę z *National Gallery* w rzędzie arcydzieł sztuki chrześcijańskiej. «Dając głowie Najświętszej Panny — mówi James Tuckett — jedną trzecią wysokości całej postaci, stary mistrz zwrócił i zatrzymał uwagę widza na częściach najwznioślejszych istoty ludzkiej, a mianowicie na oczach, które chętnie zowią organami duchowemi. W malowidle tem koloryt łączy się z rysunkiem, by wywierać wrażenie idealne, mistyczne. Żywa czerwień twarzy nie przypomina naturalnego zabarwienia skóry, zdaje się raczej, jakoby stary mistrz oblicza Najświętszej Panny i Dzieciątka różami Raju przyozdobił».

W takiej krytyce błyszczą niejako odblask dzieła, które ją natchnął, jednak seraficzny esteta

edynburski, Mac Silly wyraził w sposób bardziej jeszcze przejęty i wzruszony, wrażenia wywołane w jego umyśle widokiem tego malowidła. «Madonna Margaritone'a—mówi czcigodny Mac Silly—osiąga najwznioślejszy cel sztuki; wzbudza w swoich widzach uczucia niewinności i czystości; czyni ich podobnymi do drobnych dziełek. Tak dalece jest to prawdą, że gdy miał lat sześćdziesiąt sześć i dostąpiłem tego szczęścia, żem podziwiał ją przez trzy godziny z rzędu, uczulem się nagle przeniesiony w tkliwy wiek niemowlęctwa. Podczas gdy cab unosił mnie przez *Trafalgar Square*, potrząsałem futerałem mych okularów, jak grzechotką, śmiejąc się i szczebiocąc. I gdy służąca w pensjonacie podała mi obiad, wlewałem sobie zupę w ucho z naiwnością pierwszego dziecięctwa.

«Po takich skutkach—dodaje Mac Silly—poznaje się doskonałość dzieła sztuki».

Margaritone, według świadectwa Vasari'go, umarł w siedemdziesiątym roku życia, żalując, że żył za długo, bo doczekał narodzin nowej sztuki i uwieńczenia nowych artystów. Te wiersze, które dosłownie tłumaczę, natchnęły najpiękniejsze może karty dzieła sir James'a Tuckett. Znajdują się one w *Brewiarzu estetów*; wszyscy prerafaelici znają je na pamięć. Przytoczę je tu jako najcenniejszą ozdobę tej książki. Wszyscy godzą się na to, że od proroków Izraelskich nie napisano nic równie wzniosłego.

WIZJA MARGARITONE

Margaritone, wiekiem i pracami obarczony, zwiedzał pewnego dnia pracownię młodego malarza, niedawno w mieście osiadłego. Zauważył tam Madonnę, świeżo wykończoną, która choć surowa i sztywna dzięki pewnej dokładności w proporcjach i nieco djabelskiej mieszaniu światła i cieni, wykazywała niemniej pewną wypukłość i pozór życia. Na ten widok, naiwny i wzniosły mistrz z Arezzo ujrzał ze zgrozą przyszłość malarstwa.

Z czołem ukrytem w dłoniach szeptał:

— Ileż wstydu i hańby postać ta przeczuwać mi każe! Widzę w niej koniec sztuki chrześcijańskiej, która odzwierciadla dusze i przejmuje gorącym pożądaniem nieba. Malarze przyszłości nie zadowolnią się jak ten tu odtwarzaniem na ścianie lub desce drewnianej, przekłętej materji, która składa nasze ciało. Oni czcić i wysławiać je będą. Przyobleką postacie swe w niebezpieczne złudzy ciała i postacie te wydawać się będą osobami prawdziwymi. Będą miały ciała, kształty ich przez ubrania przegłądać będą. Święta Magdalena będzie miała piersi, święta Marta łono, święta Barbara uda, święta Agnieszka biodra; święty Sebastjan ukazywać będzie swe wdzięki młodzieńcze, a święty Jerzy pod zbroją napinać będzie jędrne i dzielnie rozwinięte mięśnie; apostołowie, wyznawcy, ojcowie, sam Bóg Ojciec będą wyglądać jak przeciętni śmiertelnicy, jak ty i ja; aniołowie mieć

będą urodę niejasną, dwuznaczną, tajemniczą, niepokojącą serca. Jakież pragnienie niebios dać mogą takie obrazy! Żadnego zgola; nauczysz się z nich, by podobać sobie w kształtach życia ziemskiego. Gdzież zatrzymają się malarze w swoich niedyskretnych poszukiwaniach? Dojdą do tego, że ukazywać będą nagich mężczyzn i nagie kobiety, jak bożyszczą Rzymian. Będzie istniała sztuka świecka i sztuka kościelna, a ta ostatnia będzie niemniej świecką od pierwszej.

Vade retro, satanas! — zawołał stary mistrz.

«Bo w wizji proroczej ujrzał świętych i błogosławionych podobnych do melancholicznych atletów, widział Apollów, grających, na skrzypcach na kwiecistych szczytach, wśród Muz w zwiewnych tunikach, widział Wenery, leżące wśród ciemnych mirtów i Danae, na deszcz złota wystawiające ponętne swe łona, widział Jezusów pod kolumnadami, wśród patrycjuszek, dam jasnowłosych, muzykantów, paziów, murzynków, psów i papug, widział w nierozgmatwanej płataninie członków ludzkich, skrzydeł rozpiętych i powiewających draperyj tłumne Narodzenia, Święte Rodziny, Ukrzyżowania pełne emfazy; widział święte Agnieszki, upokarzające patrycjuszki przepychem swych aksamitów, brokateli, perel i wspaniałością swych piersi, widział Jutrzenki, sypiące róże i tłumy Djan i Nimf, zaskoczonych nago u brzegu cienistych źródeł. I wielki Margaritone umarł zdławiony tem strasznem przeczuciem Odrodzenia i szkoły Bolońskiej».

MARBODE

Posiadamy cenny pomnik literatury pingwińskiej z XV wieku. Jest to opis podróży do piekieł, mnicha benedyktyna imieniem Marbode, żywiącego gorący podziw dla poety Wirgiljusza. Opowiadanie to, spisane niezłą łacina, wydał pan du Clos des Lunes. Przytoczę je tu pierwszy raz w tłumaczeniu. Sądzę, że przysłużę się moim ziomkom, zaznajamiając ich z treścią tych kartek, które zapewne nie są jedynymi tego rodzaju w literaturze łacińskiej wieków średnich. Między zbliżonemi do nich fikcjami przytoczę *Podróż świętego Brendana*, *Wizję Alberic'a*, *Czyściec świętego Patryka*, opisy fantastyczne domniemanego przybytku zmarłych, jak *Boska Komedja* Danta Alighieri.

Z dzieł napisanych na ten temat, utwór Marbode'a jest najpóźniejszym, ale nie najmniej ciekawym.

ZSTĄPIENIE MARBODA DO PIEKIEŁ

W tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku po wcieleniu Syna Bożego, na kilka dni przed wkroczeniem wrogów Krzyża do miasta Heleny i wielkiego Konstantyna, danem było mnie, niegodnemu mnichowi Marbodowi, widzieć i słyszeć rzeczy, których nikt jeszcze nie słyszał i nie widział. Z tych rzeczy opowiadanie tu daję

wierne, aby pamięć ich nie zaginęła wraz ze mną, bowiem krótki jest wiek człowieka.

Pierwszego maja wzmiankowanego roku, w godzinie niesporów, w opactwie Curigan, siedziałem na kamieniu klasztornym około studni, polnemi różami uwieńczonej i czytałem według zwyczaju swego, pieśń mego nad innych umiłowanego poety Wirgiljusza, opiewającą twórczą pracę ziemi, pasterzy i wodzów. Na lukach klasztoru wieczór zawieszał zwoje purpury, a ja wzruszonym głosem szeptałem wiersze, śpiewające, jak Dido Fenicjanka pod ciemnymi myrtami piekiel nosi świeżą jeszcze ranę. W tej chwili przeszedł mimo mnie brat Hilary z bratem Hycyntem, furtjanem. Wychowany w wieku barbarzyństwa, przed zmartwychwstaniem Muz, brat Hilary nie jest wtajemniczony w mądrość starożytną; jednak poezja Mantuańczyka, jak subtelna pochodnia rzuciła pewne błyski do jego umysłu.

— Bracie Marbodzie — zapytał mnie — czy te wiersze, które czytasz z falującą piersią i błyszczącym okiem, są częścią tej *Eneidy*, od której dniem i nocą nie odrywasz oka?

Odpowiedziałem mu, że czytam u Wirgiljusza, jak syn Anchizesa ujrzał Didonę, podobną do księżycyca za liśćmi drzew*).

*) W tekście mamy:

...qualem primo qui surgere mense

Aut videt, aut vidisse putat per nubila lunam.

Brat Marbode przez dziwną nieuwagę, zamienia obraz stworzony przez poetę na obraz zupełnie inny.

— Bracie Marbode—odrzekł—pewny jestem, że Wirgiljusz w każdej okoliczności wyraża mądre zdania i myśli głębokie. Ale pieśni, które na syrakuskiej fletni wyśpiewał są tak piękne, zawierają tak wziolłą doktrynę, że wprost olśniewają.

— Strzeż się, mój ojczy — zawołał brat Hycynty wżruszonym głosem. — Wirgiljusz był czarownikiem, który cuda robił z pomocą szatanów. W ten sposób przebił górę w okolicach Neapolu i zrobił konia z brązu, który miał władzę leczenia koni chorych. Był on czarnoksiężnikiem i dziś jeszcze w pewnym mieście włoskiem pokazują zwierciadło, w którym ukazywać się kazał zmarłym. A jednak niewiasta oszukała tego wielkiego czarownika. Kurtyzanka neapolitańska zaprosiła go z okna, by dał się wciągnąć do niej w koszu służącym do wciągania żywności: i pozostawiła go tak przez całą noc, zawieszono go między dwoma piętrami.

Brat Hilary, udając, że nie słyszy tych słów, odrzekł:

— Wirgiljusz jest prorokiem — jest prorokiem, prześcigającym o wiele Sybillę i córkę króla Priama i wielkiego odgadywacza rzeczy przyszłych, Platona Ateńczyka. Znajdziecie w jego czwartej bukolicie zwiastowanie narodzin Pana Naszego w słowach, które zdają się raczej niebiańskie niż ziemskie*).

*) Trzy wieki przed epoką w której żył nasz Marbode, śpiewano w kościołach w dzień Bożego Narodzenia:

Maro vates gentilium
Da Christo testimonium,

— W czasie studjów moich, gdy po raz pierwszy przeczytałem: IAM REDIT ET VIRGO, byłem pogrążony w bezgranicznym zachwycie; ale natychmiast prawie doświadczyłem żywego bólu na myśl, że autor tej proroczej pieśni, najpiękniejszej, jaka wyszła kiedykolwiek z ust ludzkich, na zawsze widoku Boga pozbawiony, przebywa z poganami, w krainie wiecznych ciemności.

— Bolesna ta myśl już nie opuściła mnie więcej. Prześladowała mnie wśród studjów moich, modłów, rozmyślań i prac ascetycznych. Myśląc o tem, że Wirgiljusz pozbawiony jest widoku Boga, że może nawet dzieli w piekle los potępionych, nie mogłem zażyć ani szczęścia ani, spokoju i po kilka razy na dzień zdarzało mi się wolać z rękami do nieba wzniesionemi:

«Objaw mi Panie, jaki los wyznaczyłeś temu, który śpiewał na ziemi, jak aniołowie śpiewają w niebiosach!»

— Niepokój mój ustał po kilku latach, gdy wyczytałem w starej księdze, że wielki apostoł, który nawrócił pogan do Kościoła Chrystusowego, święty Paweł, udał się był do Neapolu i swemi łzami uświęcił grób księcia poetów*).

*) Ad Maronis mausoleum
Ductis fudit super eum
Piae rorem lacrimae.

Quem te inquit, reddedissem
Si te vivum invenissem
Poetarum maxime!

To dało mi powód przypuszczać, że Wirgiliusz, jak cesarz Trajan dopuszczony został do Raju za to, że jeszcze w błędzie miał przeczucie prawdy. Nie jest obowiązkiem wierzyć w to, ale miło mi jest mieć to przekonanie.

To rzekłszy, brat Hilary życzył mi dobrej nocy i oddalił się z bratem Hjacyntem.

Powróciłem do mojego rozkosznego poety. Gdy z książką w ręku rozmyślałem, jak ci których Amor zgładził męką okrutną, kroczą po tajemnych ścieżkach w głębi lasów myrtowych, odblask gwiazd zmięszal się z drżącymi listkami róż polnych na powierzchni wody w studni klasztornej. Nagle zagasły blaski, wonie, spokój nieba. Potworny Boreasz z ciemnością i burzą runął na mnie z rykiem, podjął mnie i uniósł, jak źdźbło słomy ponad pola, miasta, rzeki, góry, poprzez chmury gromowe, przez noc złożoną z wielu dni i nocy. I gdy po tym okrutnym i długotrwałym szale, huragan uspokoił się, znalazłem się zdala od mej ziemi rodzinnej, w głębi doliny, pokrytej cyprysami. Wtedy niewiasta o groźnej urodzie, w długich, wlokących się szatach podeszła do mnie. Położyła mi lewą rękę na ramieniu, a prawą wznosząc ku dębowi o potężnych konarach rzekła:

— Patrz.

Natychmiast poznałem Sybillę, strzegącą świętych gajów Avernu i ujrzałem wśród gęstego listowia dębu, który ukazywała palcem, złotą gałązkę tak drogą Proserpinie.

Podniosłem się.

— A zatem — rzekłem — odgadłaś me życzenie, prorocza Dziewico! Spełniłaś je. Ukazałaś mi drzewo z różdżką błyszczącą, bez której nikt żywy nie może zejść do siedziby zmarłych. I prawdą jest, że żywo pragnąłem rozmówić się z cieniem Wirgiljusza.

To rzekłszy, oderwałem od starego pnia złotą gałązkę i bez lęku rzuciłem się w dymiącą otchłań, wiodącą na błotniste wybrzeża Styksu, gdzie wirują cienie, niby liście zeschłe. Na widok gałązki poświęconej Prozerpinie, Charon przyjął mnie do swej łodzi, która jęknęła pod moim ciężarem. Dobilem do wybrzeża umarłych; przejęło mnie milczące szczekanie trójgłowego Cerbera. Udałem, że ciskam nań kamieniem i potwór uciekł do swej jaskini. Tu wśród trzcin nadbrzeżnych przewracają się dzieci, których oczy jednocześnie otwarły się i zamknęły na światło dzienne, tu w głębi ciemnej pieczary Minos sądzi śmiertelnych.

Wszedłem do mirtowego gaju, gdzie smutnie snuły się ofiary miłości, Procris, smutna Eryphyle, Evadne, Pasiphae, Laodamia i Cenis i Didona Fenicjanka; potem minąłem spopieliałe pola, przeznaczone dla znakomitych wojowników. Stąd otwierają się dwie drogi: na lewo droga wiedzie do Tartaru, do miejsca pobytu bezbożnych. Skręciłem na prawo, na drogę, wiodącą na pola Elizejskie. Zawiesiwszy świętą różdżkę na drzwiach bogini, dostałem się na rozkosz-

ne pola, tonące w blado purpurowym blasku. Cienie poetów i filozofów rozmawiały tu poważnie. Gracje i Muzy tworzyły na murawie chóry powiewne. Przygrywając na sielskiej lirze, stary Homer śpiewał. Oczy jego były zamknięte ale usta lśniły boskimi obrazami. Zobaczyłem Solona, Demokritosa i Pythagorasa: przyglądali się na łące zabawie młodzieży. Poprzez liście starego wawrzynu, ujrzałem Hezioda, Orfeusza, melancholijnego Eurypidesa i męską Safonę. Przeszedłem dalej i poznałem poetę Horacjusza, Variusa, Gallusa i Lyconisa, siedzących nad brzegiem chłodnego strumienia. Trochę na uboczu Wirgiljusz, wsparty o pień ciemnego dębu, zamysłony spoglądał w las. Wysoki, smukły, miał jeszcze tę cerę ogorzałą, tę sielską minę, ubiór niestaranny i pozór zaniedbany, które za życia kryły jego genjusz. Pokloniłem mu się z szacunkiem i długi czas nie mogłem słowa przemówić. Gdy wreszcie głos zdołał wydobyć się z mej ściśniętej krtani zawolałem:

— O Wirgiljusz! Ty tak drogi muzom au-sońskim, chlubo łacińskiego imienia—przez ciebie odczułem piękno; przez ciebie poznałem uczy bogów i łoże bogiń. Pozwól głosić twą chwałę najpokorniejszemu twemu wielbicielowi.

— Wstań, obcy przychodniu — odrzekł mi boski poeta. — Po cieniu, jaki ciało tve rzuca na murawie w tem wiecznym zmroku, poznaję, że jesteś żyjącym. Nie jesteś pierwszą ludzką istotą, która przed śmiercią swą zstępuje do tej

krainy cieniów, chociaż między nami a żywemi wszelkie stosunki są trudne. Ale przestań mię wychwalać, nie lubię pochwał; zmieszane głosy sławy zawsze słuch mój obrażały. Dlatego opuściłem Rzym, gdzie znany byłem ciekawcom i próżniakom, i pracowałem w samotności w mej ukochanej Parthenopie. Zresztą nie zasmakuję w twych pochwałach, nie jestem bowiem dostatecznie pewny, czy ludzie twego wieku rozumieją moje wiersze. Kim jesteś?

— Nazywam się Marbodius, z królestwa Alca. Jestem mnichem w opactwie Corrigan. Czytam poezje twe całemi dniami, czytam je i w nocy. By ciebie widzieć, zeszedłem do Piekieł; pragnąłem wiedzieć, jaki jest twój los. Na ziemi uczeni często spierają się o to. Jedni za niezmiernie prawdopodobne uważają, że skoro za życia byłeś we władzy szatanów, płoniesz teraz w niegasnących płomieniach; inni, przeczorniejsi, wstrzymują się od własnego sądu i uważają, że wszystko, co się o umarłych mówi, jest niepewne i pełne kłamstwa; inni nie najzdolniejsi zaiste, utrzymują, że za to, iż na wyższy ton nastroiłeś Muzy sycylijskie i zapowiedziałeś, że nowy ród zejdzie z nieba dostąpiłeś, jak cesarz Trajan, wiekuistej szczęśliwości w raju chrześcijańskim.

— Widzisz, że tak nie jest — odrzekł duch poety z uśmiechem.

— Istotnie, o Wirgiljuszu, spotykam cię wśród bohaterów i mędrców na tych Polach

Elizejskich, które sam opisałeś. Tak więc sprzecznie z tem w co wierzą niektórzy na ziemi, nikt nie przyszedł po ciebie wysłany przez Tego, który włada tam w górze?

Po długim milczeniu, odpowiedział Wirgiljusz.

— Nie będę nic tail przed tobą. On kazał mnie przywołać; jeden z jego wysłańców, człowiek prosty, przyszedł powiedzieć mi, że czekają tam na mnie, że chociaż nie wtajemniczony jestem w ich tajnie, ale mimo to ze względu na moje pieśni prorocze, zachowane jest dla mnie miejsce między tymi z nowej sekty. Odmówilem, nie przyjąłem tego zaproszenia. Nie dla tego, bym podzielał zachwyty Greków dla Pól Elizejskich lub zażywał tu rozkoszy, które kazały Prozerpinie zapomnieć o matce. Nigdy sam nie wierzyłem bardzo temu, co mówiłem o tem w mojej Eneidzie. Kształcony przez filozofów i fizyków, miałem właśnie przecucie rzeczywistości. Życie w piekle jest niezmiernie uszczuplone; nie odczuwa się tu ani radości ani smutku; jest się tak, jakgdyby się nie istniało. Zmarli mają tu tylko taki żywot, jaki im przypisują żywi. Woląłem jednak tu pozostać.

— Ale, Wirgiljuszu, jakież powód dałeś tak dziwnej odmowy?

— Dałem powody doskonale. Powiedziałem posłannikowi bożemu, że nie zasługuję na zaszczyt, jaki mi przynosi, że wierszom moim przypisują myśl, której w nich niema wcale. Istot-

nie, nie zdradziłem w mej czwartej Sielance wiary mych przodków. Jedyne nieucy żydowscy tłumaczyć mogli, że na chwałę boga barbarzyńskiego wyśpiewana jest pieśń, święcąca powrót złotego wieku, przepowiedziany przez wyroczone sybilskie. Przeprosiłem go więc, że nie mogę zająć miejsca przeznaczonego mi przez omyłkę, co do którego nie przyznaje sobie prawa. Potem przytoczyłem usposobienie moje i gusta zupełnie niezgodne z obyczajami nowych niebios.

— Nie jestem towarzyskim — powiedziałem temu człowiekowi — w życiu miałem charakter łatwy i łagodny. Chociaż ze względu na niezmierną prostotę mych nawyknień pomawiano mnie o skąpstwo, nie chowałem nic dla siebie samego; biblioteka moja stała dla wszystkich otworem, postępowanie moje stosowałem do pięknej maksymy Eurypidesa: «Między przyjaciółmi wszystko wspólne być winno». Pochwały przykre mi były, gdy je odbierałem, ale były mi miłe, gdy się tyczyły Variusa lub Macera. W głębi ducha jestem sielski i dziki, lubuję się w towarzystwie zwierząt. Tak starannie je obserwowałem, z taką pieczołowitością zajmowałem się nimi, że uchodziłem nie bez racji za bardzo dobrego weterynarza. Mówiono mi, że ludzie twojej sekty przyznają sobie duszę nieśmiertelną, a odmawiają jej zwierzętom: jest to nonsens, który każe mi wątpić o ich rozumie. Kocham trzody i może trochę zanadto pasterzy. To byłoby źle widziane u was. Maksyma, do której

staralem się stosować swe czyny, jest: niczego za wiele. Więcej jeszcze niż wątle zdrowie, filozofja moja nauczyła mnie rzeczy używać w miarę. Jestem wstrzemięźliwy; sałata, kilka oliwek, i parę kropel falernu stanowiły cały mój posiłek. Umiarkowanie odwiedzałem łoża obcych kobiet i nie zatrzymywałem się nadmiernie w gospodach, by przyglądać się jak przy dźwięku bębna tańczą młode syryjki. *) Jednak, miarkowałem swe pożądanja dla własnego zadowolenia i przez dobrą dyscyplinę. Obawiać się przyjemności i unikać rozkoszy, uważałbym był za najwstrętniejszą zniewagę uczynioną naturze. Zapewniano mnie, że wielu z wybrańców twego boga, za życia odmawiało sobie pożywienia i unikało kobiet przez zamilowanie umartwień, i że wystawiali się na niepotrzebne cierpienia. Lękałbym się spotkać tych zbrodniarzy, których szal zgrozą mnie przejmuje. Nie trzeba żądać od poety, by zbyt ściśle trzymał się doktryn fizycznych czy moralnych. Jestem Rzymianinem zresztą, a Rzymianie nie umieją, jak Grecy, subtelnie przeprowadzać teoryj głębokich; jeśli przyjmują jaką filozofję, czynią to głównie dla praktycznych korzyści. Siron, wielkiej sławy wśród nas zażywiający, nauczał mnie systemu Epikura, wyzwolił z próżnych lęków i odwiódł od okrucieństw, jakich religje uczą ludzi ciemnych; od Zenona na-

*) Zdanie to oznaczać się zdaje, że gdyby wierzyć Marbodowi, *Copa* byłaby dziełem Wirgiljusza.

uczylem się z wytrwalością znosić cierpienia nieuniknione; przyjąłem idee Pythagorasa o duszach ludzi i zwierząt, które zarówno jedne jak i drugie pochodzą z istoty boskiej. To pozwala nam patrzeć na siebie bez dumy i wstydu. Od mędrców aleksandryjskich dowiedziałem się, jak ziemia, pierwiastkowo miękka i podatna, stwardniała w miarę, jak Nereasz usuwał się z niej, by żłobić mokre swe królestwa; jak nieznacznie kształtowały się rzeczy wszelkie; w jaki sposób, ciężkim chmurom ujmując brzemienia, deszcze posiliły milczące bory i przez jaki postęp nieznanne zwierzęta błędzić poczęły po górach nienazwanych. Nie mógłbym już przyzwyczać się do waszej kosmogonii, stosowniejszej dla poganiaczy mułów po piaskach Syrii, niż dla ucznia Aristarcha z Samos. I cóżbym robił w siedzibie waszej szczęśliwości, skoro nie znajdę tam ani przyjaciół moich, ani przodków, mistrzów, bogów, gdy nie zobaczę dostojnego syna Rhei uśmiechniętej, Wenery, matki Enead, Pana, młodych Dryjad, Sylfów i starego Silena, umazanego przez Egloę purpurą jagód?!

— Takie oto powody podałem twemu prostemu człowiekowi, by je powtórzył następcy Jowisza.

— A odtąd, wielki duchu, żadnego już nie otrzymałeś wezwania?

— Żadnego.

— By wynagrodzić sobie nieobecność twoją, Wirgiljuszu, mają tam trzech poetów: Kommo-

diusa, Prudenciusa i Fortunata — wszyscy trzej urodzeni w tych dniach ciemnych, gdy nie umiano już ani rytmu ani gramatyki. Ale powiedz mi, Mantuańczyku, czy nie otrzymałeś już nigdy innej wieści od Boga, którego towarzystwo tak lekko odrzuciłeś?

— Nigdy, o ile pamiętam.

— Powiedziałeś mi, że nie jestem pierwszym, który żywy zeszedł do tych krain i stanął przed tobą.

— Przypominasz mi właśnie — będzie może temu półtora stulecia (duchom trudno obliczać dnie i lata) — dziwny gość przerwał głęboki mój spokój. Błądziłem pod bladymi liśćmi drzew okalających Styks, gdy stanęła przede mną postać ludzka ciemniejsza i mniej przezrocza niż mieszkańcy tych wybrzeży; poznałem, że to człowiek żywy. Był wysoki, chudy, nos miał orli, podbródek ostry, policzki zapadłe, czarne oczy jego ciskały błyskawice, czerwony kaptur warzynowym wieńcem okolony, ścisnął jego chude skronie. Kości przebijały przez wąską, brunatną szatę, spadającą mu do nóg. Pokłonił mi się z szacunkiem, uwydatniającym pewną dziką dumę i przemówił do mnie językiem mniej prawidłowym i mniej zrozumiałym, niż język tych Gallów, którymi boski Juljusz przepelnił szeregi legji i dworu. Wreszcie udało mi się zrozumieć, że urodził się niedaleko Fesulae, w kolonji Etruskiej, założonej przez Syllę na brzegu Arnus, że zaznał tam zaszczytów obywatelskich; ale gdy krwawe nie-

zgody powstały między senatem, rycerzami i ludem, rzucił się z sercem namiętnem w wir walk i teraz pokonany, wygnany, wiedzie na ziemi żywot tułaczy. Opisał mi, że Italja szarpana jest większemi niezgodami i wojnami niż za czasów mej młodości i, że wzdycha za przyjściem nowego Augusta. Współczułem jego nieszczęściom, pomny na to, co sam niegdyś wycierpiałem.

— Zuchwały duch się w nim burzył, umysł jego rozległe żywił idee, ale niestety grubość jego i nieuctwo świadczyły o triumfie barbarzyństwa.

— Nie znał ani poezji, ani wiedzy, ani nawet mowy Greków; o pochodzeniu świata i o naturze bogów nie miał żadnej zgoła tradycji.

— Poważnie recytował mi baśnie, które za moich czasów w Rzymie wywołałyby śmiech małych dzieci, nieplacących jeszcze za kąpiel. Pospółstwo z łatwością wierzy w potwory. Etruskowie szczególnie zaludnili piekło ohydnyimi djablami, podobnymi do majaków chorego. Że po tylu wiekach nie pozbyli się jeszcze wyobrażeń swego dzieciństwa, to dostatecznie tłumaczy się ciągłością i postępem nieuctwa i nędzy; ale to, że jeden z ich dostojników, którego umysł wznosi się ponad ogólną miarę, dzieli złudzenia gminu i lęka się tych strasznych djabłów, których za czasów Porseny mieszkańcy ziemi na ścianach swych grobowców malowali, oto, co nawet mędrca zasmucać może. Mój Etruszyk recytował mi swoje wiersze w jakimś nowym djalekcie, który nazywał językiem pospolitym—ich sensu nie zro-

zumiałem. Słuch mój więcej był zdziwiony niż zachwycony, słysząc, jak dla oznaczenia rytmu, w równych odstępach trzy lub cztery razy powtarzał ten sam dźwięk. Pomysł ten nie wydaje mi się rozumnym; ale nie jest rzeczą umarłych sądzić o nowinkach.

— Zresztą, niech ten kolonista Sylli, zrodzony w czasach nieszczęśliwych, pisuje wiersze nieharmonijne; niech będzie, jeśli to możliwe, gorszym poetą niż Bavius i Maerius, tego wyrzucić mu nie będę. Mam doń żal, bliżej mnie dotyczący. Rzecz zaiste potworna, nie do uwierzenia! Człowiek ten, powróciwszy na ziemię, rozsiewał o mnie szkaradne kłamstwa; utrzymywał w kilku miejscach swych dzikich poematów, że służyłem mu za towarzysza w nowym Tartarze, którego nie znam; głosił bezczelnie, że bogów Rzymu miałem za bogów fałszywych i kłamliwych, a za prawdziwego Boga uważałem obecnego następcę Jowisza. Przyjacielu, gdy powrócisz na łagodną światłość dzienną i znów ujrzysz ojczyznę, zaprzecz tym szkaradnym bajkom; powiedz ludowi twemu, że pieśniarz pobożnego Eneasza nigdy nie uwielbiał boga żydowskiego.

— Zapewniają mnie, że potęga jego słabnie i po niezawodnych znakach widać, że koniec jest bliski. Wiadomość ta byłaby dla mnie radosna, gdyby można jeszcze radować się w tej siedzibie, gdzie niema już ani lęków ani pożądań.

Rzekł i oddalił się z gestem pożegnania.

Patrzałem, jak sunie cień jego po asfodelach, nie zginając ich łodyżek; widziałem, jak stawał się coraz mniejszy i niewyraźniejszy w miarę jak oddalał się ode mnie, znikł zupełnie, zanim doszedł do zacisza zielonego gaju wawrzynów. Wtedy zrozumiałem znaczenie tych słów: «Zmarli mają jedynie żywot przypisywany im przez żyjących», i zadumany wróciłem przez blade pola aż do drzwi wchodowych.

Zapewniam, że wszystko, co tu opowiedziałem jest prawdą. *)

ROZDZIAŁ VII

ZNAKI NA KSIĘŻYCU

Kiedy Pingwinja była jeszcze pogrążona w nieuctwie i barbarzyństwie, Gilles Loisellier, franciszkanin, znany z prac swych pod imieniem Aegi-

*) W opowiadaniu Marbodiusa jest jedno miejsce godne uwagi, to mianowicie, w którym mnich z Corrigan opisuje nam Alighieriego takim, jakim wyobrażamy go sobie obecnie. Minjatury malowane w bardzo starym manuskrypcie Boskiej Komedji, w Codex venetianus, przedstawiają poetę w postaci małego, tęgiego człowieka, w krótkiej tunice, pomarszczonej na brzuchu. Co do Wirgiljusza, jeszcze na drzeworytach XVI wieku nosi on brodę filozofów.

Nie przypuszczanoby również, że Marbode i nawet Wirgiljusz znali byli etruskie grobowce z Chinei i Corneto, na których istotnie namalowane są straszne djabły, podobne do djabłów w Orcagne. Niemniej autentyczność Zstąpienia Marboda do piekieł jest niezaprzeczona: p. de Clos des Lunes dowiódł niezbicie: wątpić o tem, znaczyłoby wątpić o paleografji.

diusa Aucupisa, z niezmordowanym zapalem poświęcał się studjom literackim i naukowym. Noce swe dzielił między matematyką i muzyką, które zwał siostrami cudownemi, harmonijnemi córami Liczby i Wyobraźni. Biegły był w medycynie i astrologji. Posądzano go, że uprawia magję i zdaje się być prawdą, że dokonywał metamorfoz i odnajdywał tajnie. Mnisi z jego klasztoru, znalazłszy w celi jego greckie książki, których czytać nie umieli, wyobrazili sobie, że to są księgi czarnoksiężskie i jako czarownika zadenuncjowali swego zbyt uczonego braciszka. Aegidius Aucupis uciekł i dostał się na Irlandję, gdzie żył lat trzydzieści, oddany nauce. Szedł od klasztoru do klasztoru, poszukując znajdujących się w nich manuskryptów greckich i lacińskich i skrzętnie je kopjował. Studjował też fizykę i alchemję. Nabył wiedzę wszechświatową, mianowicie odkrył tajemnice, tyżące się zwierząt, roślin i kamieni. Zastano go raz zamkniętego w pokoju z bardzo piękną kobietą, która śpiewała, przygrywając na lutni; przekonano się, że była to maszyna przezeń własnoręcznie zbudowana.

Przeprawiał się często przez morze Irlandzkie, by w Walji zwiedzać księgozbiory klasztorne. Podczas jednej z takich przepraw, stojąc w nocy na pomoście okrętu, ujrzał pod wodą dwa jesiotry, płynące spolem. Aegidius Aueupis miał słuch ostry i rozumiał mowę ryb.

Usłyszał tedy, jak jeden z jesiotrów mówił do drugiego:

— Człowiek z wiązką szczap na plecach, którego oddawna widziano na księżycu, spadł do morza.

A drugi jesiotr rzekł:

— I teraz na srebrnej tarczy będzie obraz dwojga kochanków, całujących się w usta.

W kilka lat później, Aegidius Aucupis powrócił do swej ojczyzny, zastał starożytną literaturę przywróconą, nauki w poszanowaniu. Obyczaje stawały się łagodne; ludzie nie prześladowali już swemi zniewagami nimf źródeł, lasów i gór, w ogrodach swych stawiali wizerunki Muz i skromnych Gracyj, oddawali cześć dawną Bogini o wargach z ambrozji, rozkoszy bogów i ludzi. Godzili się z przyrodą; porzucali próżne lęki i oczy wznosili w niebo bez obawy, że na niem jak niegdyś wyczytają znaki gniewu i groźbę potępienia.

Na ten widok Aegidius Aucupis przypomniał sobie, co zapowiedziały były jesiotry w morzu Erinu.

ROZDZIAŁ I

LA ROUQUINE

Aegidius Aucupis, Erazm Pingwinów, nie zawiódł się; czas jego był okresem wolnego badania. Ale wielki ten człowiek wytworność humanistów brał za łagodność obyczajów i nie przewidywał skutków rozbudzenia inteligencji u Pingwinów. Sprowadziło ono reformację: katolicy mordowali reformowanych, reformowani mordowali katolików: takie były pierwsze postępy wolności idei. Katolicy odnieśli przewagę w Pingwinji. Ale duch badania, mimo ich wiedzy przeniknął do nich; łączyli rozsądek z wiarą i chcieli oczyścić religję z hańbiących ją, zabobonnych praktyk, tak jak później oczyszczono katedry od przypartych do nich bud szewców, malarzy i przekupniów różnego rodzaju. Słowo *legenda*, które z początku oznaczało, co wierny czytać winien, rozciągnęło się teraz na pobożne baśnie i śmieszne bajki.

Na tym stanie umysłów źle wychodzili święci i święte. Mianowicie, pewien mizerny kanonik, bardzo uczony, bardzo surowy i bardzo ostry,

imieniem Princeteau odszukał tylu świętych niegodnych, by ich czczono, że przezwano go przetrzebiaczem świętych. Nie wierzył on, by modlitwa świętej Małgorzaty przyłożona jako kaptaplazm do łona kobiet rodzących, uśmierzać miała bóle porodu.

Czczona patronka Pingwinji nie uniknęła jego surowej krytyki. Oto co mówi o niej w swoich *Starożytnościach Alcańskich*. «Niema nic niepewniejszego nad historję, a nawet istnienie świętej Orberozy. Stary kronikarz bezimienny, mnich z Dombis podaje, że kobieta imieniem Orberozą była posiadana przez diabła w pieczarze i że za jego jeszcze czasów chłopaki i dziewczęta ze wsi chodzili do tej jaskini, by bawić się w diabła i w piękną Orberozę. Dodaje on, że niewiasta ta została nalożnicą okropnego smoka, pustoszącego okolicę. Nie wydaje się to prawdopodobnem; ale historia Orberozy, taka jak ją opowiadano później, też nie o wiele więcej jest wiarygodna.

Żywot tej świętej przez księdza Simplificissimusa spisany, jest o trzysta lat późniejszy od rzekomych zdarzeń, które podaje; autor okazuje się do zbytku łatwowiernym i pozbawionym wszelkiego krytycyzmu».

Posądzenie dotknęło nawet nadprzyrodzonego pochodzenia Pingwinów. Historyk Ovidius Capito doszedł do tego, że zaprzeczył cudu ich metamorfozy. Oto jak zaczyna swoją *Kronikę Pingwinów*.

«Gęsta, nieprzenikniona ciemność spowija te dzieje i nie jest przesadą twierdzenie, że utkane są one ze śmiesznych baśni i bajek ludowych. Pingwini utrzymują, że pochodzą od ptaków, ochrzczonych przez świętego Maëla, których Bóg na prośbę tego wielkiego apostoła w ludzi przemienił. Nauczają dalej, że wyspa ich pierwotnie po oceanie lodowatym pływała, jak Delos i zatrzymała się na morzach przez niebiosa umiłowanych i dziś jest tych mórz królową. Wnioskuje, że myt ten przypomina dawniejsze wędrówki Pingwinów».

W wieku następnym, który był wiekiem filozofów, sceptycyzm stał się jeszcze ostrzejszym, jako przykład tego przytoczę tylko sławny ustęp ze *Szkiców moralnych*.

«Przybyli niewiadomo skąd (bo ostatecznie pochodzenie ich nie jest jasnym), kolejno napadani i zdobywani przez cztery czy pięć ludów południa, zachodu, wschodu i północy; krzyżowani, mieszani, wchłaniani, przetwarzani Pingwini wynoszą czystość swej rasy i mają słuszność, bo stali się rasą bardzo czystą. Ta mieszanina wszelkich ludów czarnych, czerwonych, żółtych, białych, głów okrągłych, głów długich — utworzyła z biegiem wieków społeczność dość jednolitą, odznaczającą się pewnymi cechami, nabytymi przez wspólność życia i obyczajów.

«Myśl, że są najpiękniejszą rasą świata, że są światu tego najpiękniejszym rodem napelnia

ich szlachetną, dumą, niezwalczoną odwagą i nie-
nawiścią de rodu ludzkiego».

«Życie narodu jest jednym ciągiem nędz, zbrodni i szalów. Jest to prawda o narodzie Pingwinów, tak jak i o każdym innym. Poza tem dzieje ich są cudowne od początku do końca».

Dwa klasyczne wieki Pingwinów zbyt są znane, bym się nad nimi zatrzymywał, nie dostatecznie jednak zauważono, że teolodzy racjonalistyczni, jak np. kanonik Princeteau, dali początek niedowiarkom stulecia następnego. Pierwsi, posługując się rozumem, odrzucili z religji wszystko, co zdawało im się niepotrzebnem, nietkniętymi pozostawili tylko artykuły wiary czystej. Ich intelektualni następcy nauczeni przez nich, by korzystać z wiedzy i rozumu, użyli ich przeciwko pozostałym jeszcze wierzeniom: rozumna teologia zrodziła filozofję naturalną.

Dlatego (jeśli mi wolno od dawnych Pingwinów przejść do Ojca świętego, rządzącego dziś kościołem powszechnym) nie można dość podziwiać mądrości Piusa X, że wzbrania studjów exegezy, jako sprzecznych z prawdą objawioną, zgubnych dla doktryny teologicznej i śmiertelnych dla wiary. Jeśli znajdują się księża, podnoszący przeciwko niemu prawa wiedzy, są to uczeni szkodliwi, mistrze zarazą dotknięci, a chrześcijanin, pochwalający ich, jeśli nie jest skończonym półgłówkiem, zaręczam, że musi być z krów Colasa.

U schyłku wieku filozofów dawny ustrój Pingwinów zniweczono do szczytu, króla stra-

cono, zniesiono przywileje szlachty i ogłoszono Rzeczpospolitą wśród zamieszek i wojny strasznej. Zgromadzenie, rządzące wtedy Pingwinją, nakazało, by wszystkie metalowe dzieła sztuki, znajdujące się po Kościołach, oddano do przetopienia. Patrjoci gwałcili groby królów. Opowiadają, że w otwartej swej trumnie, Drako Wielki czarny był jak heban i pelen takiego majestatu, że gwałciciele uciekli przerażeni. Według innych świadectw ludzie ci włożyli mu fajkę w usta i urągliwie częstowali go winem.

Siedemnastego dnia miesiąca kwiatów, relikwiarz Świętej Orberozy — od pięciu wieków w kościele Świętego Maëla przedmiot czci narodu całego — przeniesiony został do ratusza i dany do oceny znawcom wyznaczonym przez gminę. Był on zrobiony ze złoconej miedzi w kształcie nawy, bogato ozdobiony emalją i pokryty drogiemi kamieniami: klejnoty okazały się fałszywe. W przezorności swej kapituła wyjęła z relikwiarza rubiny, szafiry, szmaragdy, wielkie kule z kryształu górskiego i zastąpiła je kawałkami szkła. Wewnątrz relikwiarz zawierał trochę pyłu i resztki lnianych chust. Wrzucono je do wielkiego ognia, płonącego na placu de Gréve, a przeznaczonego do palenia relikwii świętych. Lud tańczył wokoło, śpiewając pieśni patryjotyczne.

Na progu kramu swego, przypartego do ściany ratusza, le Rouquin z żoną, przyglądali się tym płąsom szaleńców. Le Rouquin strzygł psów i obrzywał kotów i bywał w szynkach, żona jego

skubała włosie materaców i była stręczycielką. Nie zbywało jej na rozumie i przebiegłości.

— Patrz, Rouquin — rzekła do męża — popelniają świętokradztwo. Pożalują tego.

— Co ty wiesz, babo — odrzekł Rouquin — zostali filozofami, a jak się jest filozofem — to na życie całe.

— Powiadam, ci Rouquin, że prędzej czy później pożalują tego, co dziś czynią. Poniewierają świętych, którzy im niedosyc pomagali, ale i tak pieczone gołąbki nie wpadną im do gąbki; będą takimi samymi biedakami, jak wprzód i kiedy już będą mieli dosyc pokazywania języka, powrócą do dewocji. Nadejdzie dzień, prędzej niż się spodziewają, w których Pingwinja zacznie czcic znowu swą dobrą patronkę. Rouquin, dobrzeby było w przewidywaniu tego dnia przechować w domu, w starym garnku, garść popiołu, kilka kości i szmat. Powiemy, że są to relikwie świętej Orberozy, które ocaliliśmy z płomieni, z narażeniem życia. Nie myślę się, że to przyniesie nam korzyści i zaszczyty. Dobry ten uczynek opłaci nam się choćby dlatego, że na stare lata, ksiądz proboszcz nam poleci sprzedaż świec i wynajmowanie krzeseł w kaplicy świętej Orberozy.

Tegoż dnia wzięła z komina nieco popiołu, kilka ogryzionych kości i włożyła je do garnka od konfitur, stojącego na szafie.

T R I N K O

Naród samowładny odebrał ziemie szlachty i duchowieństwa, by sprzedać je za bezcen miészczañstwu i chłopom. Miészczanie i chłopci uznali, że rewolucja dobrą jest, by nabywać ziemie, ale złą, by je zachować dla siebie.

Prawodawcy Rzeczypospolitej dla obrony własności wydali prawa okrutne, karze śmierci podlegał każdy, ktoby śmiał podział dóbr zaproponować. Ale nie zdało się to nanic Rzeczypospolitej. Chłopi, zostawszy właścicielami, spostrzegli, że Rzeczpospolita, wzbogacając ich, wniosła zamieszanie do majątków, pragnęli więc ustroju bardziej szanującego dobra prywatne i bardziej zdolnego zapewnić stałość nowym instytucjom.

Niedługo mieli czekać na to. Rzeczpospolita, jak Agrippina nosiła mordercę w swoim łonie. Prowadząc wielkie wojny, stworzyła siły militarne, które miały ocalić ją i zniszczyć zarazem. Prawodawcy Rzeczypospolitej myśleli, że będzie można trzymać jenerałów groźbą i strachem kar; ale jeśli niekiedy mogli ucinać głowę nieszczęśliwym wodzom, nie mogli czynić tego szczęśliwym, którzy mieli nad Rzeczpospolitą przewagę, że są jej obrońcami.

W uniesieniu zwycięstwa Pingwini odrodzeni wydali się na łup smokowi, straszniejszemu niż smok z baśni. On to, jak bocian wśród żab,

przez czternaście lat dziobem nienasyconym ich pożerał.

W pół wieku po panowaniu nowego smoka, młody maharajah Malajski imieniem Djambi, pragnąc jak Scyta Anacharsis kształcić się w podróżach, zwiedził Pingwinję i ze swego tam pobytu napisał zajmujące sprawozdanie, którego pierwszą kartkę tu przytaczam:

PODRÓŻ MŁODEGO DJAMBI DO PINGWINJI

«Po dziewięćdziesięciu dniach żeglugi przybiłem do obszernego, opustoszałego portu wojowniczych Pingwinów i przez zapuszczone pola dotarłem do stolicy w ruinach. Otoczona wałami, pełna koszar i arsenałów miała pozór wojenny i smutny. Na ulicach ludzie rachityczni, pokręceni, kaleki nosili z dumą stare mundury i pordzewiałe żelastwo.

— Czego pan chcesz? — gburowato zapytał mnie u wrót miasta wojskowy, którego wąsy groziły niebu.

— Panie — odrzekłem — jako turysta pragnę zwiedzić wyspę.

— To nie wyspa — odrzekł żołnierz.

— Co? — zawolałem. — Wyspa Pingwinów nie jest wyspą?

— Nie mój panie, to archipelag. Dawniej nazywano ją wyspą, ale od stu lat na mocy dekretu przemianowana jest na archipelag. To

jedyny archipelag świata. Czy ma pan paszport?

— Oto jest.

— Każ go pan wizować w ministerstwie spraw zewnętrznych.

Towarzyszający mi kulawy przewodnik zatrzymał się na obszernym placu.

— Wiadomo panu — rzekł — że archipelag wydał na świat największy genjusz świata, Trinca, którego pomnik widzisz pan przed sobą; ten obelisk, wznoszący się z pańskiej prawej strony upamiętnia narodziny Trinca, na szczycie tej kolumny, stojącej na lewo od pana, jest posąg Trinca w djademie. Widać też stąd łuk triumfalny, poświęcony sławie Trinca i jego rodziny.

— Cóż tak nadzwyczajnego zrobił Trinco? — zapytałem.

— Prowadził wojny.

— To nie jest rzecz nadzwyczajna. My, Malajczycy, nieustannie je prowadzimy.

— Być może, ale Trinco jest największym wojownikiem wszystkich krajów i wszystkich czasów. Nigdy nie było tak wielkiego zdobywcy. Dopływając do naszego portu, widziałeś pan na zachodzie wyspę wulkaniczną, w kształcie słoika, niewielką lecz sławną ze swych win, wyspa ta zowie się Ampilophora; na wschodzie jest druga wyspa, większa, wznosząca ku niebu długi szereg ostrych zębów; to też nazwano ją Psią-Szczęką. Są na niej bogate pokłady miedzi.

Posiadaliśmy je obiedwie przed panowaniem Trinca; na tem ograniczało się nasze państwo. Trinco rozciągnął władzę Pingwinów na archipelag Turkusowy i na kontynent Zielony, podbił ponurą Marsuanję, zatknął swe sztandary na lodach bieguny i na gorących piaskach pustyni afrykańskiej. Powoływał pod broń ludność we wszystkich krajach, które zdobył; w szeregach tych, kiedy defilowały za naszymi wyćwiczonymi strzelcami, za naszymi grenadjerami, huzarami, dragonami, artylerją, szli żołnierze żółci w niebieskich swych pancerzach podobni do raków, stojących na ogonach; czerwonoskórzy z głowami zdobnymi w pióra papug i potrząsający kolczanem zatrutych strzał; murzyni zupełnie nadzy, uzbrojeni w swe zęby i paznokcie; pigmeje, jadący na grzbiecie żórawi; goryle, podpierający się pniami drzew i prowadzeni przez starego samca, na którego włochatej piersi błyszczał Krzyż Legji honorowej. I wszystkie te wojska porwane tchnieniem gorącego patriotyzmu, pod sztandarami Trinca biegły od zwycięstwa do zwycięstwa. Przez trzydzieści lat swych wojen, Trinco zdobył połowę świata.

— Co! — zawolałem — jesteście panami połowy świata?!

— Trinco go nam zdobył i on go też stracił. Równie wielki w porażkach swych, jak w zwycięstwach, oddał wszystko, co zdobył. Dał sobie zabrać nawet te dwie wyspy, Ampilophorę i Psią-Szczękę, które posiadaliśmy przed nim. Pozostawił Pingwinję zubożalą i wyludnioną. Kwiat

młodzieży archipelagu wyginał w tych wojnach. W chwili jego upadku, pozostali w naszej ojczyźnie jedynie kalecy, kulawi, garbusi, od których pochodzimy. Ale dał nam sławę.

— Kazał wam drogo zapłacić za to!

— Sława nigdy nie jest za droga — odrzekł mój przewodnik.

ROZDZIAŁ III

PODROŻ DOKTORA ORNUBILE

Po szeregu nieszczęść niesłychanych, których pamięć poczęści zaginęła przez ząb czasu i zły styl historyków, Pingwini ustanowili własny rząd: postanowili rządzić się sami. Wybrali zgromadzenie, któremu nadali przywilej obierania głowy Państwa. Naczelnik ten, wybierany z pośród prostych Pingwinów, nie nosił nad czołem potężnego grzebienia i nie miał nad ludem władzy absolutnej. Sam podległy był prawom narodu. Nie dawano mu tytułu króla; porządkowy numer nie towarzyszył jego nazwisku. Nazywał się Patuile, Janvion, Truffaldin, Coquenpot, Bredouille. Urzędnicy ci wojny nie prowadzili. Nie mieli na to należytego stroju. Nowe państwo otrzymało miano rzeczy publicznej czyli republiki. Zwolennicy jego nazywali się republikanistami lub republikanami. Nazywano ich też rzeczowcami i hołotą, (to ostatnie w złem znaczeniu).

Demokracja pingwińska nie rządziła się sama; posłuszna była oligarchji finansowej, która przez

dzienniki wytwarzała opinię i trzymała w swych rękach deputowanych, ministrów i prezydenta. Rządziła wszechwładnie finansami rzeczypospolitej i kierowała zewnętrzną polityką kraju.

Cesarstwa i królestwa utrzymywały wtedy ogromne armje i marynarki; Pingwinja zmuszona dla bezpieczeństwa swego kroczyć tą samą drogą, upadała pod ciężarem zbrojeń. Wszyscy ubolewali, lub udawali, że ubolewają nad tak ciężką koniecznością; tymczasem bogacze i kupcy poddawali jej się sercem ochoczem przez patriotyzm a także dlatego, że w żołnierzach i marynarzach pokładali nadzieję obrony swych własności i zdobycia nowych, zewnętrznych rynków i obszarów. Wielcy przemysłowcy parli do fabrykacji armat i budowy okrętów z gorliwością dla obrony narodowej i, ażeby otrzymywać obstalunki. Z obywateli średniego stanu i zawodów wyzwolonych, jedni bez skargi godzili się z tym stanem rzeczy, przekonani, że trwać będzie zawsze, inni niecierpliwie oczekiwali jego końca i spodziewali się doprowadzić mocarstwa do ogólnego, równoczesnego rozbrojenia.

Znakomity profesor Obnubile należał do tych ostatnich.

— Wojna — mawiał — jest barbarzyństwem, które postęp cywilizacji obali. Wielkie demokracje są pokojowo usposobione i duch ich niedługo narzuci się nawet samym autokratom.

Profesor Obnubile od sześćdziesięciu lat wiódł życie samotne i odosobnione w laboratorjum

swojem, do którego nie dochodził żaden zgiełk z zewnętrznego świata; teraz postanowił sam obserwować ducha ludów. Studja swe rozpoczął od największej ze wszystkich demokracji, wsiadł na okręt i popłynął do Nowej Atlantydy.

Po piętnastu dniach żeglugi, parowiec jego zawinął do basenu Titanport, gdzie stały już na kotwicy tysiące okrętów. Żelazny most rzucony przez wody, błyszczący cały od światła, rozciągał się między dwoma wybrzeżami tak od siebie odległymi, że profesorowi Obnubile'owi zdawało się, że żegluje po morzach Saturna i widzi cudowny pierścień, otaczający planetę-starca. Po tym olbrzymim moście transportowym przewożono przeszło czwartą część bogactw świata. Uczony Pingwin, wylądowawszy, stanął w hotelu o czterdziestu ośmiu piętrach, obsługiwanym automatami i nazajutrz wsiadł do pociągu, wiodącego do Gigantopolis, stolicy Nowej-Atlantydy. W pociągu znajdowała się restauracja, sala gier, arena ćwiczeń atletycznych, biuro depesz handlowych, kaplica ewangelicka i drukarnia wielkiego dziennika, którego doktor czytać nie mógł, nie znał bowiem języka Nowo-Atlantów. Pociąg mijał przemysłowe miasta położone nad brzegami rzek, zaciemniające niebo dymami swych kominów; miasta czarne w dzień, a czerwone w nocy, pełne zgiełku w świetle słońca i pełne zgiełku w ciemnościach.

Oto — myślał profesor — naród zbyt zajęty handlem i przemysłem, by miał wojnę prowadzić.

Już teraz jestem pewnym, że Nowo-Atlanci prowadzą politykę pokojową. Jest aksjomatem przez wszystkich ekonomistów przyjętym, że pokój wewnętrzny i zewnętrzny konieczny jest dla postępu handlu i przemysłu.

Przebiegając Gigantopolis, utwierdził się w tem przekonaniu. Ludzie biegli ulicami, porwani takim pędem, że przewracali wszystko, co stawało im na drodze. Obnubile, kilka razy przewrócony, zrozumiał, że winien inaczej się zachowywać i po godzinie biegania sam już przewrócił jednego Atlanta.

Zaszedłszy na wielki plac, ujrzał portyk wspianego pałacu w stylu klasycznym, którego korynckie kolumny na wysokości siedemdziesięciu metrów od podstawy unosiły swe kapitele w kształcie liści akantu.

Gdy tak z głową zadartą stał, podziwiając, człowiek skromnej powierzchowności podszedł doń i rzekł po pingwińsku:

— Widzę po ubraniu pańskim, że jesteś pan z Pingwinji. Znam pański język; jestem przysięgłym tłumaczem. Jest to pałac Parlamentu. Właśnie obradują deputowani Stanów. Czy chciałby pan być obecny na posiedzeniu?

Wprowadzony do trybuny, doktor przebiegł wzrokiem po licznych deputowanych, zasiadających na trzcinowych fotelach z nogami na podstawkach. Prezydent wstał i wśród ogólnej nieuwagi, wyszeptał raczej niż wypowiedział następującą formułę, którą tłumacz natychmiast przetłumaczył doktorowi.

«Wojna dla otworzenia rynków mongolskich zakończona ku zadowoleniu Stanów, proponuję więc, by rachunek jej kosztów przesłać do komisji finansów...

«Niema opozycji?»

«Wniosek przyjęty».

«Wojna dla otworzenia rynków Trzeciej-Zelandji ukończona jest ku zadowoleniu Stanów, proponuję więc, by rachunki jej kosztów przesłać do komisji finansów».

«Niema opozycji?»

«Wniosek przyjęty».

— Czy ja dobrze słyszę? — zapytał profesor Obnubile. — Co? Wy naród przemysłowy, wplątaliście się w te wszystkie wojny?

— Tak jest — odrzekł tłumacz — są to wojny przemysłowe. Narody, u których niema ani handlu ani przemysłu, nie są zmuszone do wojen, ale narody kupieckie muszą prowadzić politykę zaborczą. Wzrost naszej produkcji z konieczności wzmagą ilość wojen. Gdy jaki przemysł nasz nie ma ujścia dla swoich wytworów, trzeba, by wojna otwarła mu nowe rynki zbytu. Mieliśmy w ten sposób wojnę węglową, metalową, bawelnianą. W Trzeciej-Zelandji wybiliśmy dwie trzecie mieszkańców na to, by reszta kupowała nasze szelki i parasole.

W tej chwili opasły jegomość, siedzący w środku zgromadzenia, wszedł na trybunę.

— Żądam — rzekł — wojny przeciwko rządowi republiki Szmaragdowej, który bezczelnie

zaprzecza naszym wieprzom hegemonji szynek i kielbas na wszystkich rynkach świata.

— Co to za deputowany? — zapytał doktor Obnubile.

— To handlarz świń.

— Niema opozycji? — rzekł prezydent. — Proszę głosować nad tym wnioskiem.

Wojnę przeciwko republice Szmaragdowej przez podniesienie rąk znaczną większością głosów — postanowiono.

— Jakto? — rzekł Obnubile do tłumacza — postanowiliście tę wojnę z taką szybkością, z taką obojętnością?!...

— Och! To wojna bez znaczenia, która za ledwie ośm milionów dolarów kosztować będzie.

— A ludzi...

— W te ośm milionów dolarów wliczeni są też ludzie.

Wtedy doktor Obnubile złapał się rękami za głowę i pomyślał z goryczą:

— Skoro zamożność i cywilizacja są tak samo powodem wojen, jak bieda i barbarzyństwo, skoro szaleństwo i złość ludzka są nieuleczalne, pozostaje dobry czyn do spełnienia. Mędzec winien zebrać dostateczną ilość dynamitu, by rozsadzić tę planetę. Kiedy, rozszarpana na kawały, toczyć się będzie w przestrzeni, nieznaczone polepszenie dokona się w wszechświecie i dane będzie zadośćuczynienie sumieniu powszechnemu, które zresztą nie istnieje wcale.

ROZDZIAŁ I

WIELEBNI OJCOWIE AGARIC
I CORNEMUSE

Każdy ustrój rządowy wytwarza niezadowolonych. Republika czyli rzeczpubliczna wytworzyła ich naprzód wśród szlachty, odartej z dawnych swych przywilejów, zwracała też ona wzrok pełen żalu i nadziei ku ostatniemu z Drakonidów, księciu Crucho, zdobnemu w wdzięk młodości i opromienionemu tęsknotą wygnania. Miała też republika niezadowolonych wśród drobnego kupiectwa, które dla powodów ekonomicznych bardzo głębokiej natury, nie zarabiało już na swe utrzymanie i sądziło, że winną jest temu rzeczpospolita, którą z początku uwielbiali, a od której z dniem każdym odrywali się coraz bardziej.

Finansiści, tak Żydzi jak chrześcijanie, skutkiem arogancji i chciwości swej byli prawdziwą plagą kraju, który wyniszczali i kazili; byli skandalem rządu, którego nie myśleli ani obalać ani utrzymać, pewnymi będąc, że pod tym rządem będą mogli działać bez hamulca. Niemniej sympatje ich skłaniały się ku rządowi absolutnemu, jako najlepiej uzbrojonemu przeciw socjalistom,

tym bezsilnym, lecz namiętym wrogom. I tak samo jak naśladowali obyczaje arystokratów, naśladowali ich uczucia polityczne i religijne. Niewiasty ich lekkie i próżne, kochały księcia i marzyły o tem, by bywać na dworze.

Rzeczpospolita miała jednak zwolenników i obrońców. Jeśli nie mogła polegać na wierności swych urzędników, mogła zato liczyć na poświęcenie robotników, których nędzy nie ulżyła, a którzy, ilekroć wypadło bronić jej w dniach niebezpieczeństwa, tłumnie opuszczali warsztaty i nory swoje, i defilowali długim szeregiem wychudzeni, czarni, posępni. Wszyscy byliby życie oddali dla niej: ona bowiem dała im tę nadzieję.

Otóż, za rządów Teodora Formose, żył w ustronnem przedmieściu miasta Alca, mnich imieniem Agaric: uczył dzieci i kojarzył małżeństwa. W szkole swej kształcił w pobożności, fechtunku i jeździe konnej synów dawnych znamienitych rodów, podupadłych teraz i odartych ze swych przywilejów. A gdy dochodzili do odpowiedniego wieku, żenił ich z córkami zaможnej i pogardzanej kasty finansistów.

Wysoki, chudy, czarny Agaric, przechadzał się nieustannie, z brewiarzem w rękę, po korytarzach szkoły i alejach warzywnego ogrodu zamyślony, z czołem troską pochylonem. Starania jego nie ograniczały się na wszczepianiu w uczeni zawitych doktryn i przepisów mechanicznych i na zaopatrzeniu ich potem w legalne

i bogate żony. Tworzył on zamysły polityczne i marzył o urzeczywistnieniu olbrzymiego planu. Myślą jego myśli, dziełem jego dzieła było obalić Rzeczpospolitą. Nie kierował nim interes osobisty. Uważał stan demokratyczny jako przeciwny świętej społeczności, do której należał ciałem i duszą. I wszyscy mnisi, bracia jego, byli tego samego zdania. Rzeczpospolita była w ustawicznych walkach z kongregacją mnichów i ze zgromadzeniem wiernych. Bez wątpienia było przedsięwzięciem trudnym i niebezpiecznym spiskować przeciw istnieniu nowego ustroju. Agaric był jednak w stanie stworzyć groźne sprzyśnienie. W owej epoce, w której księża kierowali wyższemi kastami Pingwinów, Agaric miał na arystokrację Alca wpływ ogromny. Młodzież, którą wykształcił, czekała tylko chwili, by powstać przeciwko władzy ludowej. Synowie starożytnych rodów nie uprawiali sztuk i nie trudnili się handlem. Byli wszyscy prawie wojskowymi i służyli Rzeczypospolitej. Służyli jej, ale jej nie lubili; żalowali pięknego grzebienia smoczego. A powabne Żydówki podzielały ich żale, chcąc uchodzić za katoliczki i szlachcianki.

Pewnego dnia lipcowego, Agaric, przechodząc ulicą przedmieścia, ciągnącego się wdal aż do opylonego pola, usłyszał jakieś skargi, dobywające się z omszałej studni, zapuszczonej przez ogrodników. I prawie natychmiast dowiedział się od szewca z sąsiedztwa, że źle odziany człowiek wyrwał się z okrzykiem «niech żyje re-

publika», a przechodzący oficerowie kawalerji wrzucili go do studni, gdzie siedzi w mule powyżej uszu. Agaric chętnie oderwanemu faktowi przypisywał znaczenie ogólne. I teraz z faktu rzucenia w studnię tego republikanina, wywnioskował o silnym fermentcie w arystokracji i wojsku i doszedł do przekonania, że czas działać. Zaraz nazajutrz poszedł odwiedzić w głębokich lasach des Conils, zacnego Ojca Cornemuse. Został mnicha tego w laboratorium, jak przepuszczał złocisty płyn przez alembik. Był to tęgi, krępy człowieczek, o mocno czerwonej twarzy, z czaszką starannie wypolerowaną. Oczy jego, jak oczy świnki morskiej, miały rubinowe źrenice. Uprzejmie powitał swego gościa i ofiarował mu kieliszek likieru Ś-tej Orberozy, którego wyrób i sprzedaż dawała mu niezmierne dochody.

Agaric ruchem ręki odmówił. Przydługie swe nogi w ziemię wpierając, przyciskał do piersi melancholicznie kapelusz i milczał.

— Bądź łaskaw usiąść — rzekł Cornemuse.

Agaric usiadł na kulawym stołku i milczał dalej.

Wtedy mnich z Conils, rzekł:

— Jakie wiadomości dać mi możesz o uczniach swoich? Czy kochane te dziatki myślą zacnie i szlachetnie?

— Jestem z nich bardzo zadowolony — odrzekł Agaric. — Głównie idzie o to, by być wychowanym w zasadach. Zanim się wogóle

myśli, trzeba dobrze myśleć. Potem już jest za późno... Widzę wokół siebie wielce pocieszające objawy. Ale żyjemy w smutnej epoce.

— Niestety! — westchnął Cornemuse.

— Przeżywamy ciężkie czasy...

— Godziny prób.

— Jednak, Cornemuse, duch ogólny nie jest tak zupełnie skażony, jak się zdaje.

— Być może.

— Lud już ma dosyć rządu, który go rujnuje, a nic dla niego nie czyni. Co dzień nowe wybuchają skandale. Rzeczpospolita tonie w hańbie. Jest stracona.

— Oby cię Bóg wysłuchał!

— Cornemuse, co myślisz o księciu Crucho?

— Bardzo to miły młodzieniec, godny odłam, że tak powiem, dostojnej gałęzi. Żal mi go, że w tak młodym wieku znosić musi boleść wygnania. Dla wygnańca wiosna nie ma kwiatów, jesień nie ma owoców.

Księżę Crucho myśli zacnie; szanuje księży; wypełnia praktyki religijne, konsumuje bardzo dużo mych drobnych wytworów.

— Cornemuse, w wielu domach, biednych i bogatych, pragną jego powrotu. Wierz mi, on powróci.

— Obym dożył tego dnia, w którym mu płaszcz mój podścielę pod nogi! — westchnął Cornemuse.

Widząc jego gorące uczucie, Agaric opisał mu stan umysłów, tak jak sam go sobie wyo-

brażał. Przedstawił mu, że szlachta i bogacze oburzeni są na rządy ludowe, że wojsko nie pragnie dłużej poić się nowymi zniewagami, urzędnicy, gotowi do zdrady, lud niezadowolony, bunt już nadciąga i nieprzyjaciele mnichów, podpory władzy, wrzuceni będą do studzien Alca. Zakończył wnioskiem, że moment odpowiedni jest do wielkiego czynu.

— Możemy — zawołał — zbawić lud, możemy oswobodzić go od jego tyranów, ocalić go od samego siebie, przewrócić grzebień Smoka, wznowić dawne Państwo, dobre Państwo ku czci wiary i chwale Kościoła. Możemy to uczynić, jeśli zechcemy. Mamy wielkie bogactwa i tajemnicze wpływy; przez nasze pobożne a pionerowe dzienniki, stykamy się z duchowieństwem miast i wsi i przesyłamy im zapal, co nas unosi, wiarę, co nas pożera. Rozplomienią oni wiernych i penitentów swoich. Wywieram wpływ na najwyższych wodzów armji; mam stosunki z ludem, kieruję handlarzami parasoli, szynkarzami, subjektami ze sklepów nowości, kolporterami gazet, dziewczętami lekkich obyczajów, agentami policji—bez ich wiedzy. Mamy więcej ludzi, niż nam potrzeba. Na co czekamy? Działajmy!

— Co robić zamyślasz?—zapytał Cornemuse.

— Stworzyć rozległe sprzysiężenie, obalić republikę, powołać księcia Crucho na tron Drakonidów.

Cornemuse kilkakrotnie przeciągnął językiem po wargach. Poczem rzekł z namaszczeniem:

— Bezwątpienia — rzekł — powrót Drakonidów jest pożądany; jest niezmiernie pożądany; i co do mnie, pragnę go z całego serca. Co zaś do rzeczypospolitej, wiesz, co o niej myślę... Ale czy niej lepiej byłoby pozostawić ją własnemu losowi i dać jej umrzeć z wad jej ustroju? Zaiste, propozycja twoja, kochany Agaric, jest szlachetna i wzniosła. Wielkim czynem byłoby ocalić ten piękny i nieszczęsny kraj, przywrócić mu pierwotną jego wspaniałość. Ale pomyśl tylko: jesteśmy więcej chrześcijanami, niż Pingwinami. I musimy pilnie zważać, by nie skompromitować religii w politycznych przedsięwzięciach.

Agaric odrzekł żywo:

— Nie obawiaj się. Wszystkie sieci spisku trzymać będziemy w rękach, ale sami pozostaniemy w cieniu. Nie będzie nas widać.

— Jak muchy w mleku — szepnął mnich z Conils. I z ukosa, zwracając na kolegę przebiegle spojrzenie rubinowych źrenic, rzekł:

— Strzeż się przyjacielu — rzeczpospolita jest może silniejsza, niż się zdaje. Może się zdarzyć, że wzmocnimy tylko jej siły, wyrывая ją z miękkiej, spokojnej drzemki, w jakiej teraz jest pogrążona. Wielka jest jej przebiegłość; jeśli uderzymy na nią, będzie się bronić. Wydaje ona kiepskie zarządzenia, które nie szkodzą nam zbyt, ale gdy będzie zagrożona, straszne prawa przeciwko nam wyda. Nie puszczajmy się lekkomyślnie na przygodę, w któ-

rej możemy pióra swe zostawić. Sądzisz, że okazja jest pomyślna w tej chwili: ja tak nie myślę i powiem ci dlaczego. Obecny rząd nie jest jeszcze przez wszystkich znanym. Głosi on, że jest rzeczą pospolitą, rzeczą ogólną. Masy wierzą temu i pozostają demokratyczne i republikańskie. Ale cierpliwość! Ten sam lud zażąda kiedyś, by rzeczpospolita istotnie była rzeczą ludu. Zbytecznym jest, bym cię objaśniał, jak podobne pretensje są bezczelne, rozpasane i przeciwne polityce, czerpanej z Pisma. Ale lud mieć je będzie, podniesie je, i to będzie koniec obecnego rządu. Chwila ta nie da długo na siebie czekać. Wtedy powinniśmy działać w interesie dostojnej naszej korporacji. Czekajmy! Cóż nas nagli? Egzystencja nasza nie jest w niebezpieczeństwie. Nie uczyniono nam jej zupełnie niemożliwą. Rzeczpospolita nie jest względem nas uległa, nie oddaje księżom należnej im czci i szacunku, ale pozwala nam żyć. I taką jest doskonałość naszego stanu, że dla nas żyć, znaczy rozwijać się pomyślnie. Rzeczpospolita jest nam wrogą, ale kobiety nas czczą. Prezydent Formase nieobecny jest na obchodach naszych świętych; ale żonę i córki jego u stóp mych widziałem. Buteleczki moje kupują tuzinami. Nie mam lepszych klientek nawet w arystokracji. Raz powiedzmy to sobie: niema kraju na świecie, któryby dla księży i mnichów wart był Pingwinję. Gdzie, w jakim kraju, moglibyśmy po tak wysokiej cenie i w takiej ilo-

ści sprzedawać nasz wosk cudowny, kadzidla, nasze różańce, szkaplerze, wody święcone, likier świętej Orberozy? Jakież inny naród płaciłby sto dukatów w złocie za gest naszej ręki, słowo z ust naszych, za ruch naszych warg?! Co się mnie tyczy, tysiąc razy więcej zarabiam, dystylując wyciąg ziół w tej słodkiej, wiernej, posłusznej Pingwinji, niż bym, zrywając sobie płuca przez czterdzieści lat, zrobić mógł, głosząc z ambo-ny odpuszczenie grzechów w najbardziej zaludnionych Stanach Europy i Ameryki. W rzeczy samej, czyż Pingwinja szczęśliwsza będzie, jeśli komisarz policji wywlecze mnie stąd i wsadzi na parowiec, odpływający do wysp Nocy?

To rzekłszy, mnich z Conils wstał i zaprowadził gościa swego do obszernej szopy, gdzie setki sierot, jednakowo niebiesko ubranych, pakowały butelki, zabijały skrzynie, nalepiały etykiety. Ogłuszający był tu stuk młotów, zmieszany z głuchem dudnieniem pak po szynach.

— Tu skuteczniejszą wysyłkę—rzekł Cornemuse.—Uzyskałem od rządu kolejkę przez las i stację u drzwi moich. Co dzień napelniam trzy wagony moim przetworem. Widzisz, że Rzeczpospolita nie zabiła wszystkich wierzeń.

Agaric raz jeszcze spróbował wciągnąć mądrego dystylatora do ryzykownego przedsięwzięcia. Przedstawił mu powodzenie pewne, szybkie, świetne.

— Czyż nie chcesz przyczynić się do tego? Swego króla przywrócić z wygnania?

— Wygnanie miłe jest ludziom dobrej woli — odrzekł mnich z Conils. — Jeśli mi chcesz wierzyć, bracie Agaricu, porzuć chwilowo twój zamiar. Co do mnie, nie mam żadnych złudzeń. Czy będę brał udział w tej grze czy nie, jeśli ją przegrasz, zapłacę na równi z tobą.

Ojciec Agaric pożegnał przyjaciela i zadowolony powrócił do szkoły. Cornemuse — myślał — nie mogąc przeszkodzić spiskowi, zechce, by się powiódł i da pieniędzy.

Agaric nie mylił się. Istotnie, solidarność księży i mnichów była tak wielka, że czyn jednego z nich obowiązywał wszystkich. Było to jednocześnie najlepszym i najgorszym w ich sprawach.

ROZDZIAŁ II

KSIĄŻĘ CRUCHO

Agaric postanowił bezwzględnie udać się do księcia Crucho, zaszczycającego go swą życzliwością. O zmierzchu wyszedł ze szkoły małą furtką, w przebraniu handlarza wołów i siadł na okręt *«Święty Maël»*.

Nazajutrz wylądował w Marsuanji. Na tej ziemi gościnnej, w zamku Chitterlings spożywał książę Crucho gorzki chleb wygnania. Agaric spotkał go na drodze w samochodzie z dwiema dziewczynami, gazującego sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Na ten widok Agaric potrząsać zaczął czerwonym parasolem i książę zatrzymał samochód.

— To ty, Agaric? Siadaj! Jest nas już troje, ale ściśniemy się jeszcze trochę. Weźmiesz jedną z tych panien na kolana.

Pobożny Agaric wsiadł.

— Co za nowiny, wielebny ojczy? — zapytał młody książę.

— Wielkie nowiny — odrzekł Agaric. — Czy mogę mówić?

— Możesz. Nie mam żadnych tajemnic przed temi pannami.

— Mości książę, Pingwinja cię wzywa. Nie pozostaniesz głuchym na to wezwanie.

Agaric odmalował stan umysłów i przedstawił plan rozległego spisku.

— Na pierwszy mój sygnał — rzekł — wszyscy stronnicy twoi powstaną odrazu. Z krzyżem w ręku i z podkasanym habitem, wierni księcia twoi poprowadzą zbrojny tłum do pałacu Formose'a. Śmierć i przerażenie wniesiemy między wrogów twoich. Za cenę naszych starań żądamy tylko od ciebie, byś nie uczynił ich niepotrzebnymi. Błagamy cię, byś zasiadł na tronie, który dla ciebie przygotowujemy.

Książę odrzekł prosto:

— Wkroczę do Alca na zielonym koniu.

Agaric przyjął do wiadomości tę męską odpowiedź. Chociaż miał, wbrew swym zwyczajom, dziewczynę na kolanach, niemniej z wzniosłością duszy zaklinał młodego księcia, by pozostał wiernym swym obowiązkom królewskim.

— Mości książe — rzekł, lejąc lzy obfite — pamiętać będziesz dzień, w którym wyrwany zostałeś z wygnania, wrócony ludowi twemu, umieszczony na tronie twych przodków rękami księży twoich; ich rękami ukoronowany dostojnym grzebieniem Smoka. Królu Crucho, obyś dorównał sławie twego przodka Drakona Wielkiego!

Młody książe wzruszony, chciał uściskać odnowiciela swego, ale nie mógł się doń dostać, dzieliła ich objętość dwóch panien, tak ściśnięci byli w tym historycznym powozie.

— Czcigodny ojciec — rzekł — chciałbym, aby cała Pingwinja była świadkiem tego uścisku.

— Byłby to widok pokrzepiający — odrzekł Agaric.

Tymczasem automobil, przelatując jak huragan przez siola i wioski, nienasyconemi gumami gniótl kury, gęsi, kaczkę, indyki, perlice, koty, psy, świnię, dzieci, chłopów i chłopki.

Pobożny Agaric wielkie zamysły toczył w swej głowie. Głos jego, z poza panny wychodzący, wyraził praktyczną myśl:

— Trzeba będzie pieniędzy, dużo pieniędzy.

— To wasza rzecz — odrzekł książe.

Ale już otwierały się wrota parku przed potężnym automobilem.

Obiad był wspaniały. Pito na cześć grzebienia Smoka. Każdemu wiadomo, że zakryty kielich jest oznaką królewskośći. To też książe Crucho i księżna Gudruna, małżonka jego, pili

z kielichów zakrytych, jak cyborja. Książę swój kielich kilkakrotnie napelniać kazał białem i czerwonym winem z Pingwinji.

Crucho otrzymał był wykształcenie prawdziwie książęce: słyszał z wprawy w kierowaniu automobilem, ale nie obcą była mu historia. Mówiono, że zna dokładnie przeszłość i znakomite czyny swego rodu; i dał przy wetach dowód niezbity swoich pod tym względem wiadomości. Mówiono właśnie o rozmaitych właściwościach i cechach sławnych niewiast.

— Jest absolutnie prawdą — rzekł — że królowa Crucha, której imię noszę, miała małą małpią głowę powyżej pępka.

Agaric miał wieczorem decydującą rozmowę z trzema starymi doradcami księcia. Postanowiono zażądać pieniędzy u teścia księcia Crucho, który żywo pragnął mieć zięcia królem, u kilku dam żydowskich, niecierpliwych, by jak najprędzej dostać się do szlachty i u księcia regenta Marsuanji, który przyrzekł był swą pomoc Drakonidom, w nadziei, że objęcie rządów przez księcia Crucho osłabi Pingwinów, dziedzicznych wrogów jego narodu.

Trzej radcowie rozdzielili między siebie trzy pierwsze urzędy dworskie: szambelana, podczaszego, łowczego i upoważnili mnicha do rozdziału pozostałych urzędów zgodnie z interesami księcia.

— Trzeba wynagrodzić poświęcenie — zawyrokowali trzej starzy doradcy.

— I zdrady — dodał Agaric.

— Nic słusniejszego — rzekł jeden z nich, markiz de Septplain, doświadczony w rewolucji.

Wieczorem tańczono. Po balu księżna Gudruna podarła swą zieloną suknię, by porobić z niej kokardy. Jedną z nich własną ręką przyszyła do habitu mnicha; Agaric rozplakał się ze wzruszenia i wdzięczności.

Pan de Plume, giermek księcia, tegoż wieczora pojechał szukać zielonego konia.

ROZDZIAŁ III

NARADA

Powróciwszy do stolicy Pingwinji, wielbny ojciec Agaric zwierzył się ze swych zamiarów księciu Adelestan des Boscenos, którego rojalistyczne uczucia znane mu były.

Księżę należał do najwyższej szlachty. Torticol'owie des Boscenos sięgali czasów Bożena Pobożnego i za czasów Drakonidów zajmowali byli najwyższe w kraju urzędy. W 1179 roku Filip Torticol, wielki admirał Pingwinji, waleczny, wierny, szlachetny, lecz mściwy, posądzając królowę Crucha, której był kochankiem, że zdradza go z chłopcem stajennym, wydał port La Crique i flotę pingwińską w ręce nieprzyjaciół państwa. Ta to wielka królowa nadała Boscenos'om ową srebrną, hermetyczną bańkę do ogrzewania łóżek, którą do dziś noszą w herbie. Co zaś do ich dewizy, to sięga tylko XVI wieku;

oto jej pochodzenie. Podczas pewnej zabawy nocnej wmięszany w tłum dworzan, tłoczący się w ogrodach króla, by zobaczyć fajerwerki, książę Jan Boscenos zbliżył się do księżnej Skull i wsunął rękę pod jej spódnicę, na co dama ta nie oburzyła się bynajmniej. Przechodzący właśnie król wyrzekł tylko: «*Tak, to się zdarza*»; te cztery słowa stały się dewizą rodu Boscenos.

Książę Adelastan nie odrodził się od swych przodków. Drakonidom zachował niewygasłą wierność i niczego bardziej nie pragnął nad powrót księcia Crucho do władzy; dla niego osobście byłoby to zapowiedzią odzyskania majątku obecnie zrujnowanego. To też chętnem uchem wysłuchał planu wielebnego ojca Agarica; przyłączył się natychmiast do zamiarów mnicha i poznał go z najzapaleńszymi i najlojalniejszymi monarchistami, przyjaciółmi swemi: hrabią Cléna, panem de la Trumelle, wicehrabią Olive, panem Bigourd. Pewnej nocy zebrali się w willi księcia Ampoule, o dwie mile na zachód od Alca, aby rozważyć środki i drogi działania. Pan de la Trumelle wypowiedział się za akcją legalną:

— Musimy pozostać w ścisłej legalności — rzekł — w zasadzie. Jesteśmy ludźmi ładu. Niezmordowaną propagandą dążyć będziemy do urzeczywistnienia naszych nadziei. Trzeba zmienić ducha kraju. Sprawa nasza zwyciężyć musi, bo jest sprawą słuszną.

Książę de Boscenos wyraził przeciwne zdanie; według niego triumf sprawy słusznej prze-

prowadza się takim samym a może nawet większym gwałtem, niż zwycięstwo sprawy niesłusznej.

— W obecnem położeniu—rzekł spokojnie— trzy sposoby działania narzucają się same: powołać czeladników rzeźniczych, przekupić ministrów i porwać Formose'a.

— Porwanie Formose'a byłoby wielkim błędem — odparł pan de la Trumelle. — Prezydent jest z nami.

Takie wręcz sprzeczne zapatrywania się Drakophilów, z których jeden radził targnąć się na Formose'a, gdy drugi uważał go za przyjaciela, jedynie tłumaczyć można zachowaniem się i uczuciami głowy Rzeczy Publicznej. Formose okazywał się przychylnym dla rojalistów, których maniery podziwiał i naśladował. Jeśli jednak uśmiechał się, gdy mu mówiono o grzebieniu Smoka, czynił to na myśl włożenia go na swoją głowę. Najwyższej władzy pragnął bardzo, nie dlatego, by czuł się zdolny ją sprawować, ale lubił się nią pysznić. Wedle mocnego wyrażenia pewnego kronikarza pingwińskiego «był to jędor».

Książę de Boscenos trwał przy swej propozycji, by zbrojną ręką wtargnąć do palacu Formose'a i Izby deputowanych.

Hrabia Cléna był jeszcze energiczniejszy.

— Na początek — rzekł — rżnijmy, tłuczmy, mordujmy republikanów i wszystkich rzeczników rządu. Potem zobaczymy.

Pan de la Trumelle był umiarkowany. Umiarkowani zawsze umiarkowanie sprzeciwiają się

gwałtom. Uznał on, że polityka hrabiego Cléna natchniona jest wzniosłym uczuciem, że jest szlachetna, ale nieśmiało dodał, że może niezupełnie zgodna jest z zasadami i, że przedstawia pewne niebezpieczeństwa. Wkońcu ofiarował się przedyskutować ją.

— Proponuję — dodał — wydać wezwanie do ludu. Niech dowiedzą się, kim jesteśmy. Co do mnie, zapewniam was, że swego sztandaru do kieszeni nie schowam.

Pan Bigourd zabrał głos:

— Panowie! Pingwini niezadowoleni są z nowego porządku rzeczy, bo korzystają zeń, a w naturze ludzkiej leży zalić się na swoje położenie. Ale jednocześnie Pingwini boją się zmiany rządu, bo każda nowość przeraża. Nie znali grzebienia Smoka, i jeśli mówią niekiedy, że go żalują, nie trzeba im wierzyć; spostrzeżonoby wkrótce, że mówili bez zastanowienia i w chwilowym złym humorze. Nie róbmy sobie złudzeń co do ich uczuć względem nas. Nie lubią nas. Nienawidzą arystokracji zarówno przez niską zazdrość, jak i przez miłość równości. I te dwa uczucia zjednoczone są bardzo silnie u ludu. Opinia publiczna nie jest nam przeciwna, bo nic nie wie o nas. Ale gdy dowie się, czego chcemy, nie pójdzie za nami. Jeśli mamy poznać, że chcemy obalić ustrój demokratyczny i przywrócić grzebień Smoka, z kim będą nasi stronnicy? Czeladnikami, rzeźnikami i drobnymi kupcami Alca. Przytem nie jestem nawet pewny, czy na tych kupców możnaby

liczyć do końca. Są niezadowoleni, ale są realistami w głębi duszy. Więcej im zależy na sprzedaży ich marnego towaru, niż na ujrzeniu księcia Crucho. Działając otwarcie, przestraszymy ich tylko.

— Ażeby nas za sympatycznych uznano, byśmy znaleźli chętnych do przyłączenia się do nas, trzeba, by myślano, że nie chcemy obalić rzeczypospolitej, lecz przeciwnie, że pragniemy ją umocnić, oczyścić, upiększyć, ozdobić, jednym słowem uczynić ją piękną i wspaniałą. To też nie powinniśmy działać sami. Wiadomo wszystkim, że nie sprzyjamy obecnemu porządkowi. Trzeba, byśmy się zwrócili do zwolennika republiki, a lepiej jeszcze do obrońcy tego rządu. Będziemy mieli w czym wybrać. Pierwszeństwo należałoby oddać najbardziej zagorzałemu, najbardziej republikańskiemu, że tak powiem. Zjednamy go pochlebstwem, podarkami, a głównie obietnicami. Obietnice mniej kosztują od podarków, a są o wiele więcej warte. Nigdy nie daje się tak hojnie, jak gdy się daje nadzieje. Nie potrzeba aby ten, którego wybierzemy był inteligentny. Wolalbym nawet, by był głupi. Głupcy mają w obłudzie wdzięk niedościgły. Wierzcie mi, panowie, każcie obalić rzecz publiczną przez republikanina. Bądźcie przezornil Przezorność nie wyklucza energii. Jeśli potrzebny wam będę, znajdziecie mnie zawsze gotowym do usług.

Przemowa ta wywarła wrażenie na słuchaczach. Szczególnie uderzony nią był umysł po-

bożnego Agaric'a. Ale każdy myślał o tem tylko, by sobie zapewnić zaszczyty i korzyści. Zorganizowano tajemny rząd, którego rzeczywistymi członkami mianowani zostali wszyscy obecni. Książę Ampoule, który był finansowym genjuszem stronnictwa, wyznaczony został do zbierania i zcentralizowania funduszków propagandy.

Zgromadzenie dobiegało końca, gdy dał się słyszeć sielski głos, śpiewający na nutę starej piosnki:

Boscenos jest świnia wielka.

Dla nas biedaków

Zda się na kielbasy,

Na szynki i frykasę

Była to piosnka od dwustu lat znana na przedmieściach Alca. Książę de Boscenos nie lubił jej słuchać.

Zeszedł na plac i widząc, że śpiewa ją robotnik zajęty naprawą dachu na kościele, poprosił go grzecznie, by śpiewał co innego.

— Śpiewam, co mi się podoba — odrzekł robotnik.

— Mój przyjacielu, zrób mi tę przyjemność...

— Nie mam ochoty robić panu przyjemności.

Książę de Boscenos był zazwyczaj łagodny, ale drażliwy i niezwykle silny.

— Zejdź, durniu, bo inaczej wleżę do ciebie — krzyknął potężnym głosem.

A że blacharz, siedzący na szczycie jak na koniu, nie myślał się ruszyć, książę szybko wbiegł

na schody, rzucił się na śpiewaka, uderzeniem pięści powalił go tak, że nieszczęsny robotnik pobity stoczył się do rynny. W tej chwili siedmiu czy ośmiu cieśłów, usłyszawszy krzyk towarzysza, wyrzowało przez okienka poddasza i ujrawszy księcia na szczycie, dobiegli doń po drabinie opartej o dach w chwili, gdy wsuwał się do wieży, i zepchnęli go głową nadół, tak, że przemierzyl sto trzydzieści siedem stopni krętych schodów.

ROZDZIAŁ IV

WICEHRABINA OLIVE

Pingwini mieli pierwszą armję świata. Marsuanie także. Tak samo rzecz się miała i z innymi narodami Europy, co po zastanowieniu się nikomu nie wyda się dziwnem. Bo wszystkie armje są pierwszemi armjami świata. Druga armja, gdyby taka istnieć mogła, znalazłaby się w widocznej niższości; byłaby pewna rozgromienia. Należałoby rozpuścić ją natychmiast. To też wszystkie armje są pierwszemi armjami świata. Zrozumiał to we Francji znakomity pułkownik Marchand, gdy zapytywany przez dziennikarzy o wojnę rosyjsko-japońską przed przejściem Jalu, nie zawahał się nazwać armji rosyjskiej pierwszą armją świata, zarówno jak armję japońską. I zważyć należy, że armja, chociażby poniosła najstraszniejsze porażki, nie schodzi dlatego z rzędu pierwszej w świecie. Bo jeśli narody zwy-

cięstwa swoje przypisują zdolności generalów i odwadze żołnierzy, porażki uważają zawsze za niewytłumaczoną fatalność. Przeciwnie floty liczą się według liczby okrętów. Jest flota pierwsza, druga, trzecia i tak dalej. To też nie ma niepewności, co do wyniku wojen morskich.

Pingwini mieli pierwszą armję i drugą flotę świata. Flota ta dowodzona była przez sławnego Chatillon'a, noszącego tytuł admirała, a przez skrócenie admirała. Ten sam wyraz, na nieszczęście skażony, dziś jeszcze u kilku narodów europejskich oznacza najwyższy stopień w armjach morskich. Ponieważ u Pingwinów był tylko jeden admirał, szczególny urok przywiązany był do tego tytułu.

Admirał nie był szlachcicem; był dziecięciem ludu, lud kochał go, pochlebiali mu, że człowiek, wyszły z jego łona, dostąpił zaszczytów i chwały. Chatillon był piękny, szczęśliwy. Nic nie mąciło jasności jego spojrzenia.

Wielebny ojciec Agaric, godząc się na zapatrywania pana Bigourd'a, przyszedł do przekonania, że tylko przy pomocy jednego z jego obrońców obecny ustrój obalić będzie można, i w tej myśli zwrócił oczy na Chatillon'a. Udał się więc do przyjaciela swego, wielbnego ojca Cornemuse i poprosił go o większą sumę pieniędzy, którą tenże dał mu, wzdychając. Temi pieniędzmi opłacił sześciuset czeladników rzeźnickich w Alca na to, by biegli za koniem Chatillona wołając: «Niech żyje admirał!»

Odtąd Chatillon krokiem ruszyć się nie mógł, żeby nie rozlegały się za nim okrzyki.

Wicehrabina Olive prosiła go o tajemną rozmowę. Przyjął ją w Admiralicji*), w pawilonie przyozdobionym kotwicami, torpedami, granatami.

Była w dyskretnej, stalowo szarej tualecie. Kapelusik z róż zdobił jej śliczną, jasnowłosą główkę. Z za woalki oczy jej błyszczały, jak szafiry. W całej arystokracji nie było równie eleganckiej kobiety, jak ona, która wywodziła ród swój z finansowych sfer żydowskich. Była wysoka i zręczna; postać jej zmienna była jak pory roku.

— Edmirale — rzekła cudnym głosem — nie mogę ukryć przed panem mego wzruszenia... Jest ono zrozumiałe... wobec bohatera...

— Zbyt pani łaskawa. Zechce pani wicehrabina powiedzieć mi, czemu zawdzięczam zaszczyt jej wizyty.

— Dawno pragnęłam widzieć pana, mówić z nim... To też chętnie podjęłam się misji do pana.

— Może łaskawa pani usiąść raczy?

— Jak tu cicho.

— Istotnie, dość tu spokojnie.

— Słyszać śpiew ptaków.

— Racz pani usiąść, łaskawa pani.

I przysunął jej fotel.

*) Właściwiej Edmiralicji.



Usiadła na krześle, stojącym przeciw światłu.

— Edmirale, przychodzę do ciebie w bardzo ważnej misji, w misji...

— Wytłumacz się pani.

— Edmirale, nie widziałeś nigdy księcia Crucho?

— Nigdy.

Westchnęła.

— W tem całe nieszczęście. On byłby tak szczęśliwy, gdyby pana widział. On kocha i ceni pana. Ma pański portret na swoim biurku, obok portretu księżnej matki. Co za szkoda, że nie zna się go dostatecznie! To czarujący książę i taki wdzięczny za wszystko, co się dlań robi! To będzie wielki król. Bo będzie królem: ani wątpić o tem. Powróci, i to prędzej niż sądzą. To, co mam panu powiedzieć, misja, którą mi powierzono, odnosi się do...

Edmiral wstał.

— Ani słowa więcej, laskawa pani. Cieszę się szacunkiem, zaufaniem republiki. Nie zdradzę jej. I czemuż miałbym ją zdradzić?! Hojnie osypany jestem zaszczytami i godnościami.

— Zaszczyty i godności te, pozwól mi to powiedzieć — rzekła wicehrabina — nie dorównują pańskim zasługom. Gdyby usługi pańskie wynagradzane były jak należy, powinienbyś pan być admiralissimusem, generalissimusem, głównym dowódcą armij lądowej i morskiej. Rzeczpospolita jest bardzo niewdzięczna względem pana.

— Wszystkie rządy są mniej więcej jednako niewdzięczne.

— Tak, ale republikanie zazdrośni są o pana. Ludzie ci boją się wszelkiej wyższości. Znieść nie mogą wojskowych. Wszystko, co dotyczy się marynarki i armji, jest im wstrętne. Boją się pana.

— Być może.

— To nędznicy. Gubią kraj. Czy nie chcesz pan ocalić Pingwinji?

— A to jak?

— Wypędzając tych wszystkich oszustów rzeczypospolitej, tych wszystkich republikanów.

— Co mi też pani proponuje, łaskawa pani?

— Byś pan to zrobił, co zrobione będzie z pewnością. Nie przez pana, to przez kogo innego. Generalissimus, żeby już o innych nie mówić, gotów jest ministrów, deputowanych, senatorów wrzucić do morza i powołać księcia Crucho.

— Ach kanalja, lajdak! — zawołał admirał.

— Coby on zrobił względem pana, zrób pan względem niego. Księżę potrafi ocenić pańskie usługi. Nada ci miecz konstabla i wspała dotację. Mam polecenie tymczasem wręczyć panu zadatek jego królewskiej przychylności.

To mówiąc, wyjęła z za stanika zieloną kokardę.

— Cóż to jest? — zapytał admirał.

— Crucho przysyła panu swoje barwy.

— Niech pani będzie łaskawa zabrać je sobie.

— By ofiarowano je generalissimusowi, który je przyjmie!... Nie, mój admirale, daj mi przypiąć je na twojej szlachetnej piersi.

Chatillon lekko odsunął młodą kobietę. Ale od kilku minut widział, że jest bardzo ładna, a wrażenie wzmogło się jeszcze, gdy uczuł muśnięcie dwojga gołych ramion i różowych, delikatnych rączek. Prawie zaraz zezwolił na to. Wicehrabina Olive powolnie zawiązywała wstążkę. Poczem z głębokim ukłonem powitała Chatillon'a tytułem wielkiego konstabla.

— Byłem ambitny, podobnie jak moi towarzysze — rzekł marynarz — nie taję się z tem. Jestem nim może i dziś jeszcze, ale słowo honoru, widząc panią, jedynem mem życzeniem jest serce i chatka.

Opuściła na niego śliczne promienie szafirów, błyszczących z pod powiek.

— I to także mieć można...

— Co pan robisz, admirale?

— Szukam serca.

Wychodząc z pawilonu Admiralicji, wicehrabina natychmiast poszła zdać sprawę ze swej wizyty wielebnemu Agaric'owi.

— Trzeba iść tam jeszcze, łaskawa pani — rzekł surowy mnich.

KSIĄŻĘ DE BOSCELOS

Rano i wieczorem dzienniki na zoldzie drakofilów będące, głosiły pochwały Chatillona, a bryzgały hańbą i wstydem na ministrów Rzeczypospolitej.

Zachwalano z krzykiem portret Chatillona na bulwarach Alca. Młodzi potomkowie Remusa, noszący gipsowe figurki na głowie, sprzedawali biust jego przy wejściu na mosty. Chatillon na siwym koniu objeżdżał codzien łakę Królowej, ulubione miejsce przechadzek eleganckiego świata. Drakofile ustawiali na drodze, którą przejeżdżał admirał, mnóstwo Pingwinów nędzarzy, którzy śpiewali «Chatillon'a nam potrzeba». Burzując Alca napelniało to głębokim zachwytem dla admirała. Damy ze sfer kupieckich szeptały z zachwytem: «Jakiż on piękny». Eleganckie damy zwalniały automobile i w przejeździe przesyłały mu całusy, wśród entuzjastycznych okrzyków zgromadzonych tłumów. Pewnego dnia, gdy wchodził do dystrybucji, dwóch Pingwinów, wrzucających listy do skrzynki pocztowej, poznało go i wołać zaczęli na cały głos: «Niech żyje Chatillon! Śmierć republikanom!» Przechodnie zatrzymywali się przed sklepem. Chatillon zapalił cygaro wobec zbitego tłumu obywateli, wywijających kapelusze i wydających gromkie okrzyki. Tłum ten wzrastał ciągle; całe miasto, idąc za bohaterem swoim, odprowadziło

go przy śpiewie pieśni, do pawilonu Admiralicji.

Edmirał miał starego towarzysza broni, wiceadmirała Volcanmoule, którego stan służby był wspaniały, nieskazitelny. Szczery jak złoto, zacny jak własna szpada, Volcanmoule, który szczycił się zupełną niezależnością, bywał u stronników księcia Crucho i u ministrów rzeczypospolitej i jednym i drugim wypowiadał należące im się słowa prawdy. Pan Bigourd utrzymywał złośliwie, że jednym wypowiada prawdy drugich. Istotnie, kilkakrotnie popełnił przykre niedyskrecje, wyrozumiale przyjęte za szczerść u wojaka, obcego wszelkim intrygom. Codziennie przychodził on do Chatillona, którego traktował z serdeczną szorstkością starego kolegi.

— No i cóż, mój stary wilku — mawiał — ot zostałeś popularnym. Mordę twoją sprzedają jak cybuchy fajek, butelki likierów; wszyscy pijacy Alca rzygają twoje imię do rynsztoka... Chatillon, bohater Pingwinów! Chatillon, obrońca sławy i potęgi Pingwinów!... Ktoby to był powiedział? Ktoby temu uwierzył? — I śmiał się ostrym śmiechem. Potem zmieniając ton, rzekł:

— Żart na stronę, czy nie jesteś zdziwiony tem, co ci się przytrafia?

— Bynajmniej — odpowiedział Chatillon.

A uczciwy Volcanmoule wychodził, trzaskając drzwiami.

Chatillon najął był dla schadzek z wicehrabiną Olive małe mieszkanie parterowe w głębi

podwórza pod nr. 18 na ulicy Jana Talpa. Widywali się codziennie. Kochał ją szalenie. W życiu swoim wojennem i morskiem posiadał był mnóstwo kobiet czarnych, czerwonych, żółtych lub białych, niekiedy ładnych; ale aż do chwili poznania wicehrabiny nie wiedział, co to jest kobieta. Kiedy wicehrabina Olive nazywała go kochankiem, słodkim swym kochankiem, czuł się w niebie i zdawało mu się, że gwiazdy ma we włosach.

Przychodziła najczęściej z opóźnieniem, odkładała torebkę na gierydonik i mówiła ze skupieniem:

— Pozwól mi umieścić się tu, u kolan twoich. — I mówiła mu rzeczy, wyuczone przez pobożnego Agarica; przerywała je pocałunkami i westchnieniami. Żądała odeń, by takiego to oficera oddalił, takiemu to drugiemu oddał dowództwo, by eskadrę posłał tu, lub tam.

I wołała w chwili właściwej:

— Jaki ty młody jesteś, mój najdroższy!

A on robił wszystko, co chciała ona, bo był prosty, bo miał ochotę nosić szpadę konstabla i otrzymać wspaniałą dotację; bo podobało mu się grać podwójną grę, bo niejasno myślał ocałić Pingwinię, bo był zakochany.

Rozkoszna ta kobieta doprowadziła go do tego, że odwołał wojska z portu la Crique, gdzie miał wylądować Crucho. W ten sposób pewnem było, że książę bez przeszkód wkroczy do Pingwinji.

Pobożny Agaric, aby podtrzymać agitację, urządzał zebrania publiczne. Drakofile zwoływali codzien dwa lub trzy w jednej z trzydziestu sześciu dzielnic Alca, najchętniej jednak w dzielnicach ludowych. Chciano zapewnić sobie ludzi niższych stanów, którzy są zawsze najliczniejsi. Mianowicie czwartego maja zwołano bardzo piękne zgromadzenie do starej hali zbożowej, w samym sercu ludnego przedmieścia, pełnego gospodyń, siedzących na progach swych domostw i dzieci, bawiących się w rynsztoku. Przybyło tam dwa tysiące osób, według oceny republikanów, a sześć tysięcy — podług Drakofilów. Wśród zgromadzonych był kwiat towarzystwa pingwińskiego, księżę i księżna des Boscenos, hrabia Cléna, pan de la Trumelle, pan Bigourd i kilka bogatych pań izraelskich. Generalissimus armji narodowej przybył w mundurze. Przyjeto go okrzykami.

Prezydjum ukonstytuowało się z trudnością. Członek z ludu, robotnik lojalnie myślący, pan Ramchin, sekretarz żółtych syndykatów, z hrabią Cléna i panem Michaud, czeladnikiem rzeźnickim, powołani zostali do prezydjum.

W kilku dosadnych przemowach, ustrój rządowy, który Pingwinja dobrowolnie sobie nadała, nazwano rynsztokiem, zbiornikiem nieczystości. Prezydenta Formose oszczędzono. Nie było mowy ani o księciu Crucho, ani o księżach.

Zgromadzenie było opozycyjne; jeden z obrońców państwa nowoczesnego i rzeczypospolitej,

człowiek ze sfery robotniczej wystąpił przed prezydjum.

— Panowie — rzekł prezydent Rauchin — zapowiedzieliśmy, że zgromadzenie będzie opozycyjne. Nie cofamy naszego słowa, nie jesteśmy jak nasi przeciwnicy, jesteśmy uczciwi. Daję głos oponentowi. Bóg wie, co słyseć wam przyjdzie! Panowie, proszę was, powstrzymajcie, jak możecie najdłużej wyrazy waszej wzgardy, waszego wstrętu, waszego oburzenia.

— Panowie — rzekł oponent...

Natychmiast oburzony tłum przewrócił go, nogami zdeptał i bezkształtne jego resztki wyrzuciono z sali.

Wrzawa nie ucichła jeszcze, gdy hrabia Cléna wszedł na trybunę. Okrzyki i tupania oburzenia przeszły w oklaski, a gdy wreszcie i to uciszyło się, mówca rzekł:

— Towarzysze, przekonamy się, czy macie krew w żyłach. Trzeba mordować, zabijać republikanów.

Przemowa ta rozpętała taką burzę oklasków, że stara halla zatrzęsła się w posadach i gęsty pył, sypiący się z brudnych ścian i zbutwiałych belek przesłonił zgromadzenie ciemną i gryzącą chmurą.

Przyjęto porządek dzienny, piętnujący rząd, a obwołujący Chatillon'a. I obecni wyszli, śpiewając hymn wolnościowy «*Chatillon'a nam potrzeba*».

Wyjście ze starej halli stanowiła długa, błotnista ulica, ścieśniona między remizami omnibu-

sów i składami węgla. Noc była ciemna, bezgwiezdna, opadała wilgotna mgła. Straż policyjna, w wielkiej liczbie zebrana, zamykała ulicę około przedmieścia i zmuszała Drakofilów do rozchodzenia się drobnymi grupami. Taki rozkaz otrzymali istotnie od swego szefa, który starał się osłabić poryw rozszalałego tłumu.

Drakofile, zamknięci w wąskim przesmyku, dreptali w takt pieśni «Chatillona nam potrzeba». Ale wkrótce zniescierpliwieni powolnością, której przyczyna była im nieznana, zaczęli napierać na idących przed nimi. Ruch ten, prowadzony na całej długości ulicy, pchnął pierwszy szereg na szerokie piersi policjantów. Ci nie mieli nienawiści do drakofilów, w głębi duszy kochali Chatillon'a, ale naturalnem jest opierać się napaści i przeciwstawiać gwałt gwałtowi; ludzie silni skłonni są do użycia swej siły. Dlatego też policjanci przyjęli drakofilów potężnymi ciosami podkutych butów. Wynikło z tego gwałtowne parcie wtył. Krzyki i groźby mieszały się ze śpiewem.

— Zbóje! Zbóje!... «*Chatillon'a nam potrzeba!*»
Zbóje! Zbóje!...

W ciemnej szyi, najrozumniejsi starali się powstrzymać tłum od parcia naprzód, słychać było wołania: «nie pchać się». Książę de Boscenos, górując wzrostem nad wzburzonym tłumem, prostując szerokie bary i potężne płuca z pomiędzy zgniecionych członków i złamanych żeber, stał w ciemnościach łagodny i niewzruszony. Cze-

kał wyrozumiały i pogodny. Tymczasem wychodzenie odbywało się przez regularne otwory między szeregami policjantów i łokcie już mniej silnie wpierały się w piersi. Poczynano oddychać swobodniej.

— Widzicie, że jednak wyjdziemy — rzekł ten dobry olbrzym z łagodnym uśmiechem. — Cierpliwości, cierpliwości...

Wyjął cygaro z kieszeni, poniósł je do ust i potarł zapalką, chcąc je zapalić. Nagle przy świetle tego płomyczka, ujrzał księżnę Annę, żonę swoją, w objęciach hrabiego Cléna. Na ten widok rzucił się na nich i począł okładać ich kijem, w zapalczywości swej nie oszczędzając i znajdujących się naokoło osób. Nie bez trudu udało się go rozbroić. Ale niepodobna było oderwać go od przeciwnika. I podczas gdy zemdlała księżniczkę aż do powozu z rąk do rąk sobie podawano ponad wzruszonym i ciekawym tłumem, obaj mężczyźni walczyli zażarcie. Książę de Boscenos stracił w tej walce kapelusz, okulary, cygaro, krawat, portfel, wypełniony listami poufnymi i korespondencją polityczną; stracił nawet medaliki cudowne, które był dostał od zanego ojca Cornemuse. Ale zato wymierzył tak potężny cios w brzuch swego przeciwnika, że nieszczęśliwy, pchnięty tak silnie, przerwał żelazną kratę i przez oszklone drzwi, głową naprzód, wpadł do składu węgla.

Zwabieni odgłosem walki i krzykami obecnych, policjanci rzucili się na księcia który, stawil

im zacięty opór. Trzech drgających powalił u nóg swoich, siedmiu zmusił do ucieczki, z rozbitą szczęką, z przeciętą wargą, z rozkrwawionym nosem, z rozbitą głową, z oberwanem uchem, z wywichniętym obojczykiem, z wgniecionemi żebrami. Upadł wkońcu, i krwią broczącego powleczono do najbliższego posterunku policji, gdzie przebył noc, rycząc i piorunując.

Aż do rana, grupy manifestantów przebiegały miasto, wołając «*Chatillon'a nam potrzeba*» i tłukąc szyby w domach, zamieszkałych przez ministrów rzeczypospolitej.

ROZDZIAŁ VI

UPADEK EDMIRAŁA

Tej nocy ruch drakofilski doszedł do szczytu. Monarchiści nie wątpili już o triumfie swej sprawy. Najglówniejsi z pośród nich ślali księciu Crucho powinszowania zapomocą telegrafu bez drutu. Damy haftowały mu przepaski i pantofle. Pan de Plume znalazł zielonego konia.

Pobożny Agaric podzielał ogólne nadzieje. Niemniej pracował jeszcze nad jednaniem stronników pretendentowi.

— Trzeba — mówił — sięgnąć do warstw głębokich.

W tym zamiarze wszedł w stosunki z trzema syndykatami robotniczemi. W owym czasie rzemieślnicy nie żyli już, jak za czasów Drakonidów, pod zarządem korporacji. Byli wolni, ale

nie mieli już zapewnionych zysków. Długi czas trzymali się odosobnieni jedni od drugich, bez pomocy wzajemnej i poparcia, potem zrzeszyli się w syndykaty. Kasy tych syndykatów były puste, zrzeszeni nie mieli zwyczaju opłacać wkładek. Bywały syndykaty, mające trzydzieści tysięcy członków, inne po tysiąc, pięćset, dwieście. Niektóre miały dwóch, trzech członków tylko, a nawet i nieco mniej. Ale ponieważ lista członków syndykatu nie była jawna, nie łatwo było odróżnić duże syndykaty od małych.

Po wielu wykrętnych i ciemnych zabiegach, pobożny Agaric doszedł do porozumienia z towarzyszami: Dagobert, Tronc i Balafille; byli to sekretarze trzech syndykatów zawodowych, z których pierwszy miał czternastu członków, drugi dwudziestu czterech, a trzeci jednego. Agaric wykazał w tem spotkaniu zręczność nadzwyczajną.

— Panowie — rzekł — pod wielu względami nie mam tych samych przekonań politycznych i socjalnych co panowie, ale są punkty, co do których możemy się porozumieć. Mamy wspólnego wroga. Rząd wyzyskuje was i kpi z was. Pomóżcie nam obalić go; dostarczymy wam, o ile można środków po temu; i nadto będziecie mogli liczyć na wdzięczność naszą.

— Zrozumiane. Przysmak na stół — rzekł Dagobert.

Wielebny ojciec położył na stół trzos, który ze łzami w oczach dał mu był dystylator z Conils.

— Targ dobity — rzekli trzej towarzysze.

Tak przypieczętowana została ta uroczysta ugoda.

Gdy mnich odszedł, unosząc z sobą radość z pozyskania dla sprawy szerokich mas, Dago- bert, Tronc i Balafille, gwizdnęli na swe żony Amelję, Reginę i Matyldę, które na ulicy czekały sygnału i wzięwszy się za ręce, zaczęły tańczyć około worka z pieniędzmi, śpiewając:

*Mam sakwę dobrą
Nie dla ciebie, Chatillon!
Hu, ho, klecho!*

I zamówili wazę grzanego wina.

Wieczorem wszyscy sześcioro chodzili od szynku do szynku, śpiewając nową piosnkę. Spodobala się ona widocznie, bo ajenci tajnej policji donosili, że codzień wzrasta liczba robotników, śpiewających na przedmieściach:

*Mam sakwę dobrą
Nie dla ciebie, Chatillon!
Hu, ho, klecho!*

Agitacja drakofilska nie rozszerzała się na prowincji. Pobożny Agaric, szukał przyczyny tego faktu, nic nie mogąc znaleźć, gdy pewnego dnia zdradził mu ją staruszek Cornemuse.

— Mam już dowód—westchnął mnich z Conils— że skarbnik drakofilów, książę d'Ampoule, nabył ogromne dobra w Marsuanji za pieniądze, które otrzymał na cele propagandy.

Stronnictwo nie miało pieniędzy. Książę de Boscenos stracił był pugilares podczas bójki i zmuszony był do poniżających wybiegów, obcych jego gwałtownej naturze. Wicehrabina Olive drogo kosztowała. Cornemuse proponował, by ograniczyć miesięczną pensję tej damy.

— Ona jest nam bardzo użyteczna — rzekł pobożny Agaric.

— Bezwątpienia — odparł Cornemuse. — Ale, rujnując nas, szkodzi nam.

Różnice zapatrywań rozdzielały drakofilów. Niezgoda panowała w ich naradach. Jedni chcieli, by zgodnie z polityką pana Bigourd'a i pobożnego Agarica aż do końca udawano zamiar reformowania republiki; drudzy znużeni długim przymusem, zdecydowani byli okrzyknąć panowanie grzebienia Smoka i przysięgali, że zwyciężą pod tym znakiem.

Ci powoływali się na korzyść sytuacji jasnych i na niemożliwość dłuższego udawania. Istotnie, publiczność zaczynała miarkować, do czego zmierza agitacja, że stronnicy admirała pragną zniszczyć do podstaw rzeczpospolitą. Obiegały plotki, że książę wylądować ma w la Crique i odbyć wjazd do Alca na zielonym koniu.

Wieści te egzaltowały fanatycznych mniichów, zachwycaly ubogą szlachtę, zadawalniały bogate Żydówki i nadzieją napelniały serca drobnych kupców. Ale między nimi bardzo malo było takich, którzy byliby gotowi okupić te dobro-

dziejstwa ceną katastrofy socjalnej i upadkiem kredytu publicznego. Jeszcze mniej liczni byli ci, coby zaryzykowali w tej sprawie swój pieniądz, spokój, swobodę lub choćby godzinę rozrywki. Robotnicy przeciwnie, gotowi byli, jak zawsze, dać rzeczypospolitej dzień swej pracy; głuchy opór tworzył się na przedmieściach.

— Lud jest z nami — mówił pobożny Agaric.

Jednak przy wychodzeniu z warsztatów mężczyźni, kobiety i dzieci wyły w jeden głos:

Śmierć Chatillon'owi

Hu, ho, klecho!

Co zaś do rządu, wykazywał on słabość, brak decyzji, miękkość, niedbalstwo zwykle wszystkim rządóm, z którego otrząsają się jedynie, by popaść w samowolę i gwałtowność. W trzech słowach: nie wiedział, nie chciał, nie mógł nic, Formose w głębi swego prezydenckiego pałacu był ślepy, głuchy, niemy, wielki, niewidzialny, zaszyty w dumę jak w pierzynę.

Hrabia Olive poradził, by ostatni raz wezwać do zebrania funduszu i spróbować wielkiego zamachu, póki Alca fermentuje jeszcze. Komitet wykonawczy, który sam się był wybrał, zdecydował, by wtargnąć i rozwiązać Izbę deputowanych i obmyślił po temu sposoby i środki.

Sprawa wyznaczona została na 28 lipca. Słońce tego dnia świeciło radośnie. Przed pałacem Izby prawodawczej gosposie przechodziły z koszykami, wędrowni przekupnie wykrzyki-

wali: «brzoskwinie, gruszki, winogrona». A dorożkarskie, konie z pyskiem w worku, żuły owies. Nikt nie spodziewał się czegoś niezwykłego, nie dlatego, żeby tajemnica ściśle była zachowana, ale nowinie tej poprostu nie dawano wiary. Nikt nie wierzył w rewolucję, z czego można było wywnioskować, że nikt jej sobie nie życzy. Około drugiej, deputowani poczeli wchodzić bocznymi drzwiami, nieliczni, niepostrzeżeni. O trzeciej tworzyć się zaczęły małe grupy źle ubranych ludzi. O wpół do czwartej czarne zbite masy narodu wyłoniły się z otaczających ulic i zajęły plac Rewolucji. Obszerna ta przestrzeń wkrótce zalana była oceanem miękkich kapeluszy, a tłum manifestantów, ciągle wzrastający przez napływ ciekawych, przeszedłszy most, ciemną swą falą uderzał w mury prawodawczego przybytku. Krzyki, szemrania, śpiewy wznosiły się w pogodne niebo «Chatillona nam, potrzeba! Zguba deputowanym! Zguba republice! Śmierć republikanom!» Święty bataljon drakofilów, prowadzony przez księcia de Boscenos, śpiewał hymn dostojny:

*Niech żyje Crucho
Mądry i dzielny,
Już od kolebki
Odwagi pełny!*

Za murem tylko milczenie odpowiadało. Milczenie to, oraz nieobecność policji zachęcały, a za-

razem przerażały tłumy. Nagle głos potężny zawołał:

— Do szturm!

I ujrzano na murze, najeżonym kolcami żelaznymi i galkami, olbrzymią postać księcia de Boscenos. Za nim rzucili się jego towarzysze, a za nimi poszedł i lud. Jedni walili w mur, by wybić w nim otwór, drudzy starali się wyrwać galki i kolce. Przeszkoda ta miejscami ustąpiła. Kilku szturmujących siedziało już na ogolonym z niej murze. Książę de Boscenos powiewał wielkim zielonym sztandarem. Nagle tłum zachwiał się i wydał przeciągły okrzyk przerażenia. Policja i karabinjerzy republiki, wychodząc nagle ze wszystkich wyjść pałacu, szykowali się w kolumnę pod murem, w jednej chwili porzuconym przez oblegających. Po długiej minucie oczekiwania policja z nasadzonemi bagnietami szarżowała tłum. Za chwilę na opustoszałym placu, zasianym kapeluszami i kijami, panowała grobowa cisza. Dwa razy jeszcze próbowali drakofle zszeregować się, dwa razy zostali odparci. Bunt był pokonany, Ale książę des Boscenos, stojąc na murze nieprzyjacielskim ze sztandarem w rękę, odpierał atak całej brygady. Obalał każdego, kto się zbliżał. Wreszcie potrząsany, niby z korzeniem wyrwany, padł na żelazną galkę i zawisł na niej, ściskając dalej w rękę sztandar Drakonidów.

Nazajutrz ministrowie rzeczypospolitej i członkowie parlamentu postanowili podjąć energiczne

środku. Daremnie tym razem prezydent Formose próbował wykręcić się od odpowiedzialności. Rząd rozpatrywał kwestję, by pozbawić Chatillon'a jego tytułów i godności i stawić go przed Izbę Wyższą, jako wroga dobra publicznego, zdrajcę i t.p.

Na tę wiadomość starzy towarzysze broni admirała, którzy wczoraj jeszcze otaczali go życzliwością i zachwytem, nie ukrywali swej radości. Chatillon tymczasem był jeszcze popularny wśród burżuazji Alca i słyszano jeszcze na przedmieściach hymn wolnościowy. «Chatillon'a nam potrzeba».

Ministrowie byli w kłopotach. Mieli oni zamiar stawić Chatillon'a przed Izbę Wyższą. Ale nie wiedzieli nic, byli pogrążeni w zupełnej nieświadomości, jaka jest udziałem tych, co rządzą ludźmi. Nie mogli znaleźć przeciwko Chatillon'owi żadnych obciążających zarzutów. Dostarczali oskarżeniu tylko śmieszne kłamstwa swych szpiegów. Udział Chatillon'a w spisku, stosunki jego z księciem Crucho, pozostawały tajemnicą trzydziestu tysięcy drakofilów. Ministrowie i deputowani mieli podejrzenia, mieli nawet pewność; nie mieli dowodów. Prokurator republiki mówił wprawdzie do ministra sprawiedliwości: «Bardzo mało mi potrzeba, by rozpocząć proces polityczny, ale tu nie mam nic zgola, to za mało». Sprawa nie szła. Nieprzyjaciele rzeczypospolitej triumfowali.

Ośmnastego września rozbiegła się w Alca wieść, że Chatillon uciekł. Wzruszenie i zdi-

wienie było ogólne. Nie wierzono, nie umiano pojąć. A oto, co się stało.

Pewnego dnia, gdy zacny subedmirał Volcanmoule znajdował się niby przypadkiem, w gabinecie pana Barbotan'a, ministra spraw wewnętrznych, rzekł ze zwykłą swą szczerością:

— Panie Barbotan, pańscy koledzy nie są bardzo sprytni i śmiali; widać, że nie dowodzili na morzu. Tego głupca Chatillon'a boją się, jak wszystkich djabłów.

Minister na znak zaprzeczenia śmignął w powietrzu nożem do papieru przez całą długość biurka.

— Nie zaprzeczaj pan—rzekł Volcanmoule.— Nie wiecie, jak pozbyć się Chatillon'a. Nie odważacie się stawić go przed Izbą Wyższą, bo nie jesteście pewni, czy będziecie mogli zgromadzić dosyć zarzutów przeciwko niemu. Bigourd bronić go będzie, a Bigourd jest dobrym adwokatem... Macie rację, panie Barbotan, macie rację. Ten proces byłby niebezpieczny...

— Ach mój kochany — rzekł minister swobodnym tonem — gdybyś wiedział, jak jesteśmy spokojni... Odbieram od moich prefektów jak najbardziej uspakajające wieści. Zdrowy rozsądek Pingwinów osądzić potrafi intrygi zbuntowanego żołnierza. Jak możesz choć na chwilę przypuszczać, żeby wielki naród, naród inteligentny, pracowity, przywiązany do instytucyj liberalnych, które...

Volcanmoule przerwał mu głębokiem westchnieniem.

— Ach, gdybym miał czas po temu, wybawilibym was z kłopotu; zeskamotowałbym wam mojego Chatillona, jak orzeszek. Jednym prztyczkiem wysłałbym go do Marsuanji.

Minister nadstawił uszu.

— Niedługa byłaby to sprawa. W mig pozbylibyście się tego bałwana... Ale w tej chwili mam co innego do roboty. Splukałem się gracko w karty. Muszę szukać większej sumy. Cóż u diabła, honor przedewszystkiem.

Minister i subedmirał patrzyli na siebie chwilę w milczeniu. Poczem Barbotan rzekł nakazująco:

— Wiceadmirał Volcanmoule, oswobódź nas od zbuntowanego żołnierza. Oddasz wielką przysługę Pingwinji, a minister spraw wewnętrznych ułatwi ci zapłacenie twych długów karcianych.

Tegoż wieczora Volcanmoule stanął przed Chatillonem i długo patrzył nań ze smutną i tajemniczą miną.

— Cóż masz taką pogrzebową minę? — zapytał zaniepokojony admirał.

Volcanmoule rzekł z męskim żalem:

— Mój stary towarzyszu broni, wszystko odkryte. Od pół godziny rząd wie o wszystkim.

Na te słowa Chatillon zdruzgotany upadł na krzesło.

Volcanmoule mówił dalej:

— Lada chwila możesz być aresztowany. Radzę ci, byś dał nura.

I wyjmując zegarek rzekł:

— Niema ani chwili do stracenia.

— Mogę jednak zająć jeszcze do wicehrabiny Olive?

— To byłoby szaleństwem — rzekł Volcan-moule, dając mu paszport i niebieskie okulary — a teraz odwagi, mój kochany.

— Mieć ją będę — rzekł Chatillon.

— Żegnaj, stary druhu!

— Żegnaj, dziękuję ci, ocaliłeś mi życie!

— Tak być powinno.

W kwadrans później zacny admirał opuścił miasto Alca.

W nocy wsiadł w porcie la Crique do starej łodzi żaglowej i popłynął ku Marsuanji. Ale o ośm mil od wybrzeża, pochwycony został przez łódź wywiadowczą, płynącą bez ogni pod flagą królowej Czarnych-Wysp. Królowa ta oddawna już pałała nieszczęśliwą miłością do Chatillona.

ROZDZIAŁ VII

ZAKOŃCZENIE

Nunc est bibendum. Wolny od obaw, szczęśliwy, że uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, rząd postanowił przez zabawy ludowe uczcić rocznicę odrodzenia pingwińskiego i ustanowienia republiki.

Prezydent Formose, ministrowie, członkowie Izby i Senatu byli obecni na uroczystości. Generalissimus wojsk pingwińskich przyszedł w galowym mundurze. Przyjęto go okrzykami.

Poprzedzone czarnym sztandarem nędzy i czerwonym sztandarem buntu, delegacje robotnicze defilowały posępne a przychyłne.

Prezydent, ministrowie, deputowani, urzędnicy, głowy sądownictwa i armji powtórzyli w imieniu swoim i władnego ludu starą przysięgę — żyć w wolności lub umrzeć. Była to alternatywa, którą przyjmowali chętnie. Ale woleli żyć wolni. Odbyły się zabawy, mowy, śpiewy.

Po odjeździe przedstawicieli Państwa, tłum obywateli rozszedł się wolno i spokojnie wołając: Niech żyje Rzeczpospolita! Niech żyje wolność! Hul Hul Klechyl!

Dzienniki zaznaczyły jeden tylko przykry fakt w tym tak pięknym dniu. Książę de Boscenos palił spokojnie cygaro na Łące Królowej właśnie w chwili, gdy przechodził pochód państwowy. Książę zbliżył się do powozu ministrów i donośnym głosem zawołał: «Śmierć republikanom!» Natychmiast pochwycony został przez agentów policji, którym stawiał rozpaczliwy opór. Mnóstwo ich powalił do stóp swoich, ale wkońcu uległ przed liczbą i rozbity, podrapany, posiniaczony, nawet dla oka małżonki do niepoznania zmieniony, przez rojne, ożywione ulice zaciągnięty został do ciemnego lochu więziennego.

Sądy skrupulatnie wiodły proces Chatillona. Znaleziono w pawilonie Admiralicji listy, zdradzające, że wielebny ojciec Agaric, maczał ręce w spisku. Natychmiast opinia publiczna zwróciła się przeciwko mnichom i parlament raz za

razem wydał dwanaście ustaw, które zmniejszały, ograniczały, rozgraniczały, znosiły ich prawa, zwolnienie z opłat, ich przywileje, dochody i stwarzały im liczne i kłopotliwe trudności prawne. Wielebny ojciec Agaric wytrwale zniósł zarówno surowość praw, przeciwko niemu osobiście wymierzonych, a które ciężko weń ugodziły, jakoteż upadek admirała, którego był bezpośrednim sprawcą. Nie uległ jednak niepowodzeniu, lecz uważał je dla siebie jako cudze, przejściowe. Tworzył nowe zamysły polityczne, zuchwalsze od pierwszych.

Gdy uważał, że projekty jego dostatecznie dojrzały, poszedł pewnego ranka do lasów do Conils. Kos gwizdał na drzewie, mały jeź wolno sunął po kamienistej ścieżce. Agaric szedł wielkimi krokami, wymawiając przerywane słowa.

Doszedłszy do swego laboratorium, w którym pobożny przemysłowiec przez tyle pięknych lat dystylował złocisty likier Świętej Orberozy, zastał miejsce opustoszałe i drzwi zamknięte. Obszedłszy budynki, spotkał pod murami wielbnego Cornemuse, jak z podkasanym habitem wdrapywał się na drabinę, opartą o ścianę.

— To ty, drogi przyjacielu? — zawołał. Co tu robisz?

— Widzisz przecie—odrzekł słabym głosem mnich z Conils, zwracając bolesne spojrzenie na Agaric'a. — Wracam do siebie.

Czerwone jego źrenice nie miały już triumfalnego blasku rubinów, ciskały ciemne i smętne

blyski. Twarz jego straciła swą wesołą pełność. Gładka czaszka nie budziła już zachwyty; krople potu i czerwone plamy psuły jej nieocenioną doskonałość.

— Nie rozumiem — rzekł Agaric.

— To przecie łatwo zrozumieć. I tu widzisz skutki twego spisku. Mnóstwo ustaw ugodziło we mnie, ale ze znacznej ich części wykręciłem się szczęśliwie. Niektóre jednak dosięgły mnie. Mściwi ci ludzie zamknęli moje laboratorja i magazyny, skonfiskowali mi butelki, kolby i retorty, opieczętowali moje drzwi. Muszę teraz wchodzić przez okno. Zaledwie mogę od czasu do czasu potajemnie wyciągnąć nieco soku z roślin, w przyrzędach, któremi gardziłby najskromniejszy chłop, tłoczący w domu wino swoje.

— Znosisz prześladowanie—rzekł Agaric.— Dotyka ono nas wszystkich.

Mnich z Conils przeciągnął ręką po zasępionem czole.

— Mówiłem ci przecie, bracie Agaricu, mówiłem ci, że twoje przedsięwzięcie zacięży na nas.

— Nasza porażka jest chwilową—rzekł żywo Agaric.— Zależna była od przyczyn wypadkowych, wynikła z czystego przypadku. Chatillon był niedołągą, utonął we własnej głupocie. Słuchaj mnie, bracie Cornemuse. Nie mamy chwili do stracenia. Trzeba wyzwolić naród pingwiński, trzeba uwolnić go od jego tyranów, ocalić przed nim samym, przywrócić grzebień Smoka, przywrócić dawne Państwo, dobre Państwo, ku

czci religji i wzmocnieniu wiary katolickiej. Chatillon był złem narzędziem, złamał się w naszych rękach. Zastąpmy go narzędziem lepszym. Mam człowieka, jakiego nam potrzeba, przez którego bezbożna demokracja zginie. Jest to cywilny, Gomorn. Pingwini szaleją za nim. Zdradził już swoje stronnictwo za talerz ryżu. Oto człowiek, jakiego nam trzeba!

W ciągu tej rozmowy mnich z Conils przekroczył był okno i wciągnął drabinę.

— Przewiduję, jak się to skończy — rzekł, wsuwając nos między dwa skrzydła okna;— nie będziesz miał spokoju, póki nie doprowadzisz do tego, że nas wszystkich aż do ostatniego wydalą z tej pięknej, milej, słodkiej Pingwinji. Dobranoc!

Agaric, stojąc pod murem, zaklinał swego drogiego brata, by posłuchał go jeszcze chwilkę.

— Zrozum lepiej ten interes, Cornemuse. Pingwinja jest nasza. Cóż nam trzeba, żeby ją zdobyć? Jeszcze jeden wysilek... jeszcze jedna mała ofiara pieniężna i...

Ale nie słuchając dalej, mnich z Conils cofnął nos i zamknął okno.

*SPRAWA OŚMDZIESIĘCIU TYSIĘCY
WIĄZEK SIANA*

ROZDZIAŁ I

JENERAŁ GREATAUK, KSIĄŻĘ NA SKULL

W jakiś czas po ucieczce admirała, Żyd stanu średniego, pragnąc służyć krajowi i mieć sposobność obcowania z arystokracją, wstąpił do armji pingwińskiej. Minister wojny, którym był podówczas Greatauk, ksiązę na Skull, znieść go nie mógł; wyrzucał mu jego gorliwość, nos garbaty, próżność, zamięlowanie do nauki, grube wargi i przykładne postępowanie. Za każdym razem, gdy szukano sprawcy jakiegoś przewinienia, Greatauk mówił:

— To z pewnością Pyrot!

Pewnego dnia, jenerał Panther, naczelnik jeneralnego sztabu zawiadomił Greatauk'a o ważnej sprawie. Ośmdziesiąt tysięcy wiązek siana, przeznaczonych dla kawalerji — zniknęło; śladu po nich nie było.

Greatauk bez namysłu zawołał:

— Pyrot musiał je ukraść!

Potem, zastanawiając się chwilkę, rzekł:

— Im więcej nad tem myślę, tem bardziej dochodzę po przekonania, że ukraść je musiał

Pyrot. Po tem go poznaję, że ukradł, aby za bezcen sprzedać je Marsuanom, naszym zaciętym wrogom. Niecna zdrada!

— To niewątpliwe—odrzekł Panther—trzeba tylko dowieść tego.

Tegoż samego dnia, ksiązę de Boscenos, przechodząc koło koszar kawalerji, usłyszał, jak kirasjerzy, zamiatając podwórze, śpiewali:

*Boscenos jest swinia wielka
Dla biednego narodu
Zda się na kielbasy,
Na szynki, na frykasy.*

Wydało mu się sprzeczne z wszelką dyscypliną, by żołnierze śpiewali tę zwrotkę zarazem ludową i rewolucyjną, która w dniach buntu wyrywała się z krtani szydzących robotników. Przy tej okazji pożałował moralnego upadku armji i z gorzkim uśmiechem pomyślał, że dawny towarzysz jego Greatauk, wódz tej armji, nikczemnie wydaje go na pastwę nienawiści rządu antypatrjotycznego. I przyrzekł sobie w niedługim czasie zaprowadzić w tem porządek.

— Ten lotr Greatauk — mówił sobie — nie długo będzie ministrem.

Ksiązę de Boscenos był najbardziej nieprzejednanym wrogiem nowej demokracji, wolności i ustroju rządowego, jaki z własnej woli nadali sobie Pingwini. Żywił do Żydów nienawiść silną i szczerą, dzień i noc, jawnie i skrycie, pracował nad przywróceniem dynastji

Drakonidów. Gorący jego monarchizm podniecał wzgląd na własne, prywatne sprawy, których stan pogarszał się z godziny na godzinę; spodziewał się bowiem ujrzeć koniec swych pieniężnych kłopotów z chwilą wkroczenia potomka Drakona Wielkiego do stolicy swej w Alca.

Powróciwszy do swego pałacyku, książę wyjął z kasy ogniotrwalej paczkę starych listów, korespondencyj prywatnych, bardzo sekretnych, które otrzymał był od przeniewierczego urzędnika, a z których wynikało, że stary towarzysz jego, Greatauk, książę na Skull, szachrował niegdyś na dostawach i otrzymał był od przemysłowca Maloury łapówkę tak drobną, że sama jej skromność nie mogła być usprawiedliwieniem dla ministra, który ją przyjął.

Książę odczytał te listy z widoczną rozkoszą, poczem znów starannie schował je do kasy i pobiegł do ministerjum wojny. Miał charakter rezolutny. Gdy mu powiedziano, że minister nie przyjmuje, odepchnął woźnych, poprzewracał żołnierzy ordynansowych, stratował urzędników cywilnych i wojskowych, powybił drzwi i wpadł do gabinetu zdziwionego Greatauk'a.

— Mówmy mało a dobrze — rzekł. — Jesteś stary lotr. Ale to jeszcze nic. Żądałem od ciebie, byś oberwał ucho jenerałowi Monchin, temu potępionemu duchowi republikanów; nie chciałeś. Żądałem, byś dał dowództwo jenerałowi Clapier, pracującemu dla Drakonidów, a dla którego miałem osobiste zobowiązania; nie chcia-

leś. Żądałem, byś przeniósł generała Tandem, komendanta Port Alca, który skradł mi pięćdziesiąt dukatów w kartach i kazał założyć mi kajdanki, gdy stawiony byłem przed Izbą Wyższą jako współnik Chatillon'a; nie chciałeś. Chciałem, byś mi dał dostawę owsa i otrąb; nie chciałeś. Żądałem, byś mi powierzył tajemną misję do Marsuanji; nie chciałeś. I nie zadawalając się temi ciąglemi odmowami, kolegom twoim w rządzie przedstawiłeś mnie, jako osobnika niebezpiecznego, którego pilnować należy, i tobie zawdzięczam, że jestem tropiony przez policję, stary zdrajco!

— Niczego już nie żądam od ciebie i tylko jedno słowo ci powiem: umykaj; dość cię już widziano. Zresztą na twoje miejsce, narzucimy twojej plugawej rzeczypospolitej jednego z naszych. Wiesz, że dotrzymuję słowa. Jeżeli za dwadzieścia cztery godziny nie podasz się do dymisji ogłoszę w dziennikach sprawę Maloury.

Ale Greatauk pełen spokoju i pogody ducha, rzekł:

— Uspokój się, idjoto. Jestem właśnie zajęty wysyłaniem Żyda do ciężkich robót. Wydaję sądom Pyrota, jako winnego kradzieży ośmdziesięciu tysięcy wiązek siana.

Książę de Boscenos, którego wściekłość opadła jak zasłona, uśmiechnął się.

— I to prawda?...

— Zobaczysz.

— Moje powinszowanie, Greatauk. Ale że z tobą trzeba zawsze być ostrożnym, natychmiast

ogłoszę dobrą nowinę. Dziś wieczór w dziennikach Alca wyczytają aresztowanie Pyrot'a...

I odchodząc, szepnął:

— Ten Pyrot! Domyślałem się, że on źle skończy.

W chwilę potem generał Panther stanął przed Greatauk'iem.

— Panie ministrze, przejrzałem właśnie sprawę ośmdziesięciu tysięcy wiązek siana. Niema dowodów przeciwko Pyrotowi.

— To trzeba je znaleźć — odrzekł Greatauk. Sprawiedliwość tego wymaga. Każ pan aresztować Pyrot'a.

ROZDZIAŁ II

PYROT

Cała Pingwinja ze zgrozą dowiedziała się o zbrodni Pyrota; jednocześnie odczuwano rodzaj uciechy, że tego sprzeniewierzenia, połączonego ze zdradą, graniczącego ze świętokradztwem, dopuścił się marny Żydek. Żeby to uczucie zrozumieć, trzeba znać stan opinii publicznej względem wielkich i małych Żydów. Jak już mieliśmy sposobność zaznaczyć w tej historii, kasta finansowa, ogólnie nienawidzona i wszechwładnie potężna, składała się z chrześcijan i Żydów. Żydzi w jej skład wchodzący, i na których naród skupiał całą swą nienawiść, byli wielkimi Żydami; posiadali ogromne dobra i mieli w swych rękach, jak mówiono, piątą część bogactwa pingwińskiego. Poza tą groźną kastą

istniało mnóstwo drobnych Żydów średniego stanu, którzy nie byli bardziej lubiani od pierwszych, ale których mniej się lęcano. W każdym dobrze zorganizowanem Państwie, bogactwo jest rzeczą świętą; w demokracji jest ono jedyną świętą rzeczą. A państwo pingwińskie było demokratyczne, trzy czy cztery towarzystwa finansowe miały w niem władzę rozleglejszą, a właściwie istotniejszą i niepodzielniejszą od władzy ministrów rzeczypospolitej—tych małych władców, którymi one rządziły tajemnie, zmuszały groźbą lub przekupstwem do popierania ich ze stratą Państwa; jeśli byli uczciwymi—gubiły ich oszczerstwami prasy. Mimo tajemnicy kas, to co wiadomem było, wystarczyłoby na oburzenie kraju, ale obywatele pingwińscy od najpierwszych do ostatnich zrodzeni byli i wychowani w kulcie pieniędzy, wszyscy posiadali jakiś majątek wielki lub mały, odczuwali więc silnie solidarność kapitałów i rozumieli, że mały kapitał ma swe zabezpieczenie tylko w bezpieczeństwie wielkiego kapitału. To też mieli dla miliardów żydowskich jakoteż i dla miliardów chrześcijańskich szacunek religijny, i skoro interes ich silniejszy był od wstrętu, bali się jak śmierci tknąć włoska tych wielkich Żydów, których w głębi duszy nienawidzili. Względem drobnych byli śmielsi, i jeśli jeden z nich leżał na ziemi, chętnie go tratowali. To też naród z dzikiem zadowoleniem dowiedział się, że zdrajcą jest Żyd, ale z tych drobnych Żydów. Można

było zemścić się na nim za całego Izraela, bez obawy narażenia ogólnego kredytu.

Nikt ani na chwilę nie zawahał się uwierzyć, że Pyrot ukradł owe osmdziesiąt tysięcy wiązek siana. Nie wątpiono, bo nieświadomość, w jakiej znajdowano się co do tej sprawy, nie pozwalała na powątpiewanie, wymagające dowodów; nie wątpi się bez racji, bez racji tylko się wierzy. Nie wątpiono, bo powtarzano to wszędzie, a dla publiczności powtarzać, znaczy dowieść. Nie wątpiono, bo chciano, by Pyrot był winnym, a zawsze wierzy się temu, czego się pragnie; nie wątpiono i dlatego, że zdolność powątpiewania rzadka jest u ludzi; mało umysłów nosi w sobie jej zarodek, który nie rozwija się bez kultury. Jest to zdolność dziwna, cudna, filozoficzna, niemoralna, potworna, pełna złośliwości, szkodliwa dla ludzi i rzeczy, przeciwna porządkowi państw i rozkwitowi monarchji, złowroga dla ludzkości, niszczycielska dla bogów, nienawistna niebu i ziemi. Pingwinom obce było zwątpienie: wierzyli silnie w winę Pyrot'a, wiara ta stała się natychmiast jednym z głównych artykułów ich wierzeń narodowych i jedną z zasadniczych prawd ich wyznania pa-trjotycznego.

Pyrot został tajemnie osadzony i skazany.

Jenerał Panther natychmiast zawiadomił ministra wojny o wyniku procesu.

— Szczęście to — rzekł — że sędziowie mieli pewność, bo nie mieli dowodów.

— Dowody — szepnął Greatauk — dowody, czegoż one dowodzą? Jest jeden dowód pewny, niezbity: przyznanie się winowajcy.

Czy Pyrot się przyznał?

— Nie, jenerale.

— Przyzna się: musi. Panther, trzeba go do tego skłonić: powiedz mu, że leży to w jego interesie. Przyobiecuj mu, że jeśli się przyzna, otrzyma względy, złagodzenie kary, łaskę; obiecaj mu, że jeśli się przyzna, uznamy jego niewinność; otrzyma order. Przemów do jego uczuć. Niech przyzna się przez patryjotyzm, dla sztandaru, z rozkazu, z poszanowania dla hierarchji, na specjalny rozkaz ministra wojny... Ale powiedz mi, Panther, może on już się przyznał? Są przyznania niewyraźnie sformułowane; milczenie jest także przyznaniem.

— Ależ mój jenerale, on nie milczy; krzyczy, jak opętany, że jest niewinny.

— Panther, namiętne, gorące zapieranie się winnego jest niekiedy przyznaniem. Rozpaczliwie przeczyć, znaczy przyznać się. Pyrot przyznał się, musimy mieć na to świadków, sprawiedliwość tego wymaga.

W Pingwinji wschodniej był port morski la Crique, utworzony z trzech małych zatok, do których niegdyś licznie wpływały okręty. Zatoki teraz zamulone były i opuszczone; laguny pokryte pleśnią rozciągały się wzdłuż całego niskiego wybrzeża, wydzielając trujące wonie, febry unosiły się nad miejscem spoczynku wód. Tuż nad

brzegiem morza wznosiła się wysoka kwadratowa baszta, podobna do dawnej Campanilli weneckiej; z boku tej baszty, prawie u szczytu na łańcuchu, przytwierdzonym do poprzecznej belki, wisiała klatka, w której za czasów Drakonidów inkwizytorzy Alca więzili heretyków.

W tej klatce, pustej od lat trzystu, zamknięto Pyrota pod strażą sześćdziesięciu dozorców, mieszkających w baszcie; nie spuszczała go z oka ani w dzień ani w nocy, czyhali na jego przyznanie, aby potem kolejno składać raport ministrowi wojny, gdyż skrupulatny i przezorny Greatauk chciał, aby Pyrot się przyznał, koniecznie przyznał. Greatauk, uchodzący za głupca, był w rzeczywistości pełen mądrości i rzadkiej przezorności.

Tymczasem Pyrot, palony słońcem, pożerany przez moskity, zlany deszczem, gradem, śniegiem, drżący z zimna, wstrząsany nawałnicą, nękanym złowrogim krakaniem kruków, siadujących na klatce, spisywał swą niewinność na strzędach koszuli kolcem, maczanym w krwi własnej. Strzępy te ginęły w morzu lub wpadały w ręce dozorców. Niektóre jednak dostały się przed oczy publiczności. Ale zapewnienia Pyrota nie wzruszały nikogo, skoro w swoim czasie ogłoszono jego przyznanie się do winy.

HRABIA DE MAUBEC DE LA DENTDULYNX

Obyczaje małych Żydów nie zawsze czyste były; najczęściej nie odmawiali sobie żadnego z grzeszków cywilizacji chrześcijańskiej, ale pozostało im z patryarchalnych czasów silne poczucie związków rodzinnych i przywiązanie do interesów plemienia. Bracia rodzeni i przyrodni, wujowie, stryjowie, kuzynowie pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia, siostrzeńcy i bratanekowie, dalsi krewni i powinowaci Pyrota w liczbie siedmuset, z początku zgnębeni ciosem, który ugodził w jednego z ich krewnych, zamknęli się w swoich mieszkaniach, przysypali głowy popiołem i błogosławiąc karzącą ich rękę, odbyli czterdziestodniowy post pokutny. Potem wykąпали się, i postanowili bez wytchnienia, kosztem największych trudów, poprzez wszelkie niebezpieczeństwa pracować nad wykazaniem niewinności, o której nie wątpili. I jakżeż mieliby wątpić o niej? Niewinność Pyrota była im tak samo objawiona, jak zbrodnia jego objawiona była Pingwinji chrześcijańskiej; bo te tajemnicze rzeczy przybierały charakter mistyczny i miały autorytet prawd religijnych. Siedmuset Pyrotów zabrało się do dzieła z równą gorliwością jak przezornością, i tajemnie prowadziło głębokie poszukiwania.

Byli oni wszędzie, choć nie widziano ich nigdzie; rzekłby kto, że jak sternik Ulyssesa,

swobodnie krążyli pod ziemią. Dostali się do kancelarji ministerstwa wojny; w przebraniu znosili się z sędziami, sekretarzami, świadkami sprawy. Wtedy wyszedł najaw rozum Greatauka: świadkowie nic nie wiedzieli, nie wiedzieli nic również sędziowie, sekretarze. Wysłańcy dostali się aż do Pyrota i z niepokojem badali go w jego klatce, wśród huku morza i krakania kruków. Było to daremne: skazany nic nie wiedział. Siedmiuset Pyrotów nie mogło zbić dowodów oskarżenia, bo znać ich nie mogło z tej prostej przyczyny, że wcale ich nie było. Wina Pyrota była niezniszczalna, właśnie przez swą nicość.

I ze słuszną dumą Greatauk, jak prawdziwy artysta, rzekł raz do generała Panthera: «Proces ten jest arcydziełem; zbudowany jest z niczego». Siedmiuset Pyrotów zwątpiło już, by kiedykolwiek udało im się rozjaśnić tę ciemną sprawę, gdy nagle, przez skradziony list odkryli, że owe osmdziesiąt tysięcy wiązek siana nie istniały nigdy, że bardzo dystyngowany szlachcic, hrabia de Maubec, sprzedał je był dla skarbu, otrzymał za nie zapłatę, ale nigdy ich nie dostarczył, gdyż ten potomek najzamożniejszych właścicieli ziemskich dawnej Pingwinji, dziedzic rodu Maubec de la Dentdulynx, niegdyś posiadacz czterech księstw, sześćdziesięciu hrabstw, sześćset dwunastu margrabstw i baronji — teraz nie posiadał ziemi na szerokość ręki i nawet garstki paszy nie mógłby skosić ze swego dominjum. Co do tego zaś, by jakiś ziemianin lub kupiec

dostarczył mu choć źdźbła, było to zupełnie wykluczone, gdyż wszyscy, oprócz ministrów Państwa i funkcjonariuszów rządu, wiedzieli, że łatwiej jest wycisnąć oliwę z kamienia, niż centima z de Maubec'a.

Siedmuset Pyrotów rozpoczęło bardzo drobiazgowe śledztwo co do położenia finansowego hrabiego Maubec de la Dentdulynx i stwierdziło, że szlachcic ten główne dochody czerpie z domu, w którym wspaniałomyślne damy dają pierwszemu lepszemu «dwie szynki za kielbasę». Oskarżyli go więc publicznie o kradzież ośmdziesięciu tysięcy wiązek siana, za którą to kradzież skazano niewinnego i zamknięto go do klatki.

Maubec pochodził ze znakomitej rodziny, spokrewnionej z Drakonidami, a demokracje niczego tak nie szanują, jak szlachectwa rodu. Maubec służył był w armji pingwińskiej, a Pingwini od kąd wszyscy byli żołnierzami, kochali armję swą aż do ubóstwienia. Maubec na polach walki otrzymał był krzyż za waleczność, co jest zaszczytnem odznaczeniem u Pingwinów i milsze im jest, niż łożę ich małżonek. Cała Pingwinja oświadczyła się za Maubec'em i *vox populi*, który glucho huczeć zaczynał, zażądał najsurowszych kar dla siedmuset oszczerczych Pyrotów. Maubec był szlachcicem: wyzwał więc swoich siedmuset przeciwników na szpadę, pałasz, pistolety, karabiny, kije.

«Plugawa hołoto — pisał do nich w sławnym swym liście — ukrzyżowaliście mojego Boga,

a teraz chcecie mojej skóry; uprzedzam was, że nie będę tak potulny jak on, i poobrzynam wam wasze siedmset par uszów. Przyjmijcie kopnięcie nogą w wasze siedmset zadków».

Głową sądu był wtedy wieśniak, imieniem Robin Mielleux, człek łagodny i miękki dla bogatych i możnych, a surowy i twardy dla biedaków, przytem mało odważny z natury i znający tylko własny interes. Publicznem oświadczeniem poręczył on za niewinność i honor Maubec'a, przekazał siedmiuset Pyrotów sądom poprawczym, które skazały ich jako oszczerców na kary osobiste, znaczne grzywny, zwrot kosztów i odszkodowania, jakie zażąda ich niewinna ofiara.

Zdawało się, że Pyrot pozostanie na zawsze w klatce, na której siadywały ptaki. Tymczasem Pingwini, chcąc stwierdzić i dowieść, że Żyd ten jest istotnie winien, dawali dowody często złe i sprzeczne. Oficerowie sztabu jeneralnego okazywali w tem wielką gorliwość, ale często mało przezorności. Podczas, gdy Greatauk zachowywał wspaniałe milczenie, jeneral Panther nie zaprzestawał swych niewyczerpanych przemówień, codziennie w gazetach dowodził winy skazanego. Byłby niewątpliwie lepiej zrobił, nie mówiąc o niej, była przecież oczywista; oczywistość dowodzenia nie wymaga. Tyle rozumowań mąciło umysły; wiara, zawsze żywa stała się mniej jasna. Im więcej dowodów dawano tłumowi, tem więcej ich żądał.

Mimo to, niebezpieczeństwo zbytńich dowodów nie byłoby tak wielkie, gdyby nie znalazły się były w Pingwinji, jak wszędzie zresztą, umysły, nawykłe do powolnego badania, zdolne roztrząsnąć kwestję zawiłą, skłonne do filozoficznego wątpienia. Było ich niewiele, nie wszyscy byli zdecydowani przemówić, publiczność nie była przygotowana ich słuchać. Nie sążzone im jednak było trafić na samych głuchych. Wielcy Żydzi, wszyscy izraeliccy miliardery Alca, jeśli mówiono im o Pyrot'ie, mawiali: «Nie znamy tego człowieka». Myśleli jednak o tem, by go ocalić. Zachowywali przezorność, jakiej wymagał ich majątek i pragnęli, by drudzy byli mniej nieśmiali. Życzenie ich spełnić się miało.

ROZDZIAŁ IV

COLOMBAN

W kilka tygodni po wyroku na siedmiuset Pyrotów, mały człowieczek, o zmrużonych oczach krótkowidza, chmurny, zarośnięty, wyszedł pewnego ranka ze swego domku z wiaderkiem klajstru, drabiną i paczką afiszów i szedł po ulicach, nalepiając na murach wielkie karty, na których ogromnemi literami widniało: *Pyrot jest niewinny, Maubec jest winowajcą*. Naklejać afisze nie było jego zawodem; zwał się Colomban; był autorem stu sześćdziesięciu tomów socjologii pingwińskiej i zaliczał się do najpracowitszych i najbardziej cenionych pisarzy w Alca. Długo roz-

myślając nad sprawą Pyrota, i nie wątpiąc już o jego niewinności, głosił ją teraz w sposób, jaki uważał za najjawniejszy. Bez przeszkody nalepił kilka afiszów na ulicach mało uczęszczanych, ale w ludnych dzielnicach, za każdym razem, gdy wchodził na drabinę, gromadka ciekawych stojących pod nią, niema z oburzenia i zdziwienia, ciskała na niego groźne spojrzenia, które znosił ze spokojem, jaki daje odwaga i krótki wzrok. Zaledwo odwrócił się, stróże i sklepikarze, za plecami jego, zrywali afisze; on szedł dalej, wlokąc swe przybory, a za nim szli chmarą mali chłopcy, którym nie pilno było do szkoły, z koszykami i tornistrami na plecach. Do milczącego oburzenia przyłączyły się teraz szepty i szemrania. Ale Colomban nie raczył nic widzieć, ani słyszeć. Gdy na rogu ulicy Świętej Orberozy nalepiał kwadratową plachtę afisza, na której wielkimi literami widniał napis: *Pyrot jest niewinny, Maubec jest winowajcą*, zgromadzony tłum począł dawać oznaki gwałtownego gniewu. «Zdrajco, złoczyńco, lotrze, kanaljo» — wołano nań. Jakaś gosposia otworzyła okno i wysypała mu koszyk śmieci na głowę, dorożkarz uderzeniem bata posłał kapelusz jego na drugą stronę ulicy, przy oklaskach pomszczonego tłumu; chłopiec rzeźniczy zrzucił go z drabiny do rynsztoka wraz z kłajstrem, pendzlem i afiszami; wtedy dumni Pingwini odczuli całą wielkość swej ojczyzny. Colomban podniósł się umazany nieczystościami, ze skaleczonym łokciem i nogą, spokojny i zdecydowany.

— Nikczemne bydło — mruknął, wzruszając ramionami.

Potem na czworakach począł w rynsztoku szukać okularów, zgubionych w upadku z drabiny. Okazało się przytem, że ubranie jego pęknięte jest od kołnierza do poły i spodnie gruntownie poszarpane. Wzmogło to jeszcze nienawiść ludu przeciw niemu.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się wielki sklep korzenny pod znakiem świętej Orberozy. Patrjoci chwyтали z wystawy wszystko, co znalazło się pod ręką, i ciskali w Colombana: pomarańcze, cytryny, słoiki konfitur, tabliczki czekolady, butelki likierów, pudełka sardynek, puszki pasztetów, szynki, drób, blaszanki oliwy, worki grochu. Nieszczęśliwy, zasypany szczątkami spożywczeimi, pobity, podrapany, okulały, rzucił się do ucieczki; za nim tłum subjektów, kuchcików, włóczęgów, uliczników, których liczba wzrastała z każdą chwilą. Wszystko to biegło, wrzeszcząc: «do wody, śmierć zdrajcy, do wody go». Ten potok człowieczeństwa prostackiego toczył się wzdłuż bulwarów, aż wpadł w ulicę Saint-Maël. Policja spełniła swój obowiązek, ze wszystkich okolicznych ulic wysuwali się ajenci, którzy, z lewą ręką na rękajeści pałasza, klusem biegli na czele ścigających. Wyciągnęli już ogromne lapy na Colombana, gdy ten wymknął im się nagle, wpadając w otwarty otwór kanałowy.

Przebył tam noc, siedząc w ciemności na brzegu błotnistych wód, wśród mokrych, tłustych

szczurów. Myślał o swem zadaniu. Wielkie serce jego wzbierało odwagą i litością. A gdy przez otwór wpadł blady promień świtu, wstał, mówiąc do siebie:

— Przewiduję, że walka będzie ciężka.

Natychmiast napisał memorjał, w którym dowodził jasno, że Pyrot nie mógł skraść ośmdziesięciu tysięcy wiązek siana ministerstwu wojny, gdyż nie było ich tam nigdy, bo choć Maubec otrzymał był za nie zapłatę, ani myślał coś dostarczyć. Colomban broszurkę tę kazał rozdawać na ulicach Alca. Lud nie chciał jej czytać i darł ją ze złości. Sklepikarze wygrazali pięściami roznosicielom, którzy zmykali co prędzej, popędzani miotłą rozgniewanych kapłanek ognisk domowych. Zagrzewały się głowy i wrzenie trwało dzień cały. Wieczorem bandy dzikich oberwańców przebiegały ulice krzycząc: «Śmierć Colombanowi!». Patrjoci wyrywali roznosicielom całe paczki broszur, które palili na placach publicznych, i z dziewczkami do kolan podkasanemi tańczyli wokół tych radosnych stosów. Najzagorzalsi poszli wybijać szyby w domu, w którym Colomban od lat czterdziestu żył ze swej pracy, w ciszy głębokiego spokoju.

Izby zaniepokoiły się i zapytały naczelnika rządu, jakie środki myśli przedsięwziąć dla ukrócenia zamachów Colombana przeciwko honorowi armji narodowej i bezpieczeństwu Pingwinji. Robin Mielleux napiętnował bezbożną zuchwałość Colombana i oświadczył, wśród oklasków

zgrupowanych, że człowiek ten stawiony będzie przed trybunał i pociągnięty do odpowiedzialności sądowej za swój niecny pamflet.

Minister wojny, powołany na mównicę, stanął na niej przeobrażony. Nie wyglądał już, jak dawniej, niby święta gęś cytadel pingwińskich; teraz nastroszony, z wyciągniętą szyją, z dziobem zakrzywionym, zdawał się być symbolicznym sędzią, przywiązany do wątroby wrogów ojczyzny.

W uroczym milczeniu zgromadzenia wyrzekł tylko:

— Przysięgam, że Pyrot jest zbrodniarz.

To słowo Greatauka, rozgłoszone w całej Pingwinji, uspokoiło sumienie publiczne.

ROZDZIAŁ V

WIELEBNI OJCOWIE AGARIC I CORNEMUSE

Colomban ze zdziwieniem i spokojem dźwigał brzemień ogólnej niechęci; nie mógł wyjść na ulicę, żeby nie był obrzucany kamieniami, to też siedział w domu i ze wspaniałym uporem pisał nowe memorjały na korzyść niewinnego, zaszalonego do klatki.

Tymczasem, między nielicznymi jego czytelnikami znalazło się kilku, może tuzin, których uderzyły podawane przez niego rozumowania; zaczęli więc wątpić o przewinieniu Pyrota. Zwierzyli się z tego swoim bliskim i starali się rozsiewać naokół rodzące się w ich umyśle światło.

Jeden z nich, osobisty przyjaciel Robina Mielleux, temuż wątpliwości swe przedłożył: odtąd Mielleux przestał go przyjmować. Drugi, otwartym listem zazałał wyjaśnień od ministra wojny; trzeci napisał okropny pamflet, był to Kerdanic, polemista, którego bardzo się obawiano. Publiczność zgłupiała. Mówiono, że ci obrońcy, zdrajcy, byli na zoldzie wielkich Żydów, piętnowano ich nazwą Pyrotów, patrijoci poprzysięgali ich wytępić. Nie było więcej, nad tysiąc, tysiąc dwieście obrońców Pyrota w wielkiej republice; ale upatrywano ich wszędzie; lękano się ich obecności na przechadzkach, zgromadzeniach, zebraniach, w salonach, przy stole rodzinnym, w łożu małżeńskim. Jedna połowa ludności wydawała się podejrzana drugiej połowie. Niezgoda rozpałała pożogę w Alca.

Ojciec Agaric, kierujący wielkim pensjonatem dla młodych szlachciców, z niepokojem i uwagą śledził bieg wypadków. Niepowodzenie Kościoła pingwińskiego nie zламаło go, pozostał wiernym księciu Crucho i nie tracił nadziei wprowadzenia dziedzica Drakoników na tron Pingwinji. Zdawało mu się, że przygotowujące i dokonywane się w kraju wypadki, stan umysłów, będący tych wypadków przyczyną i skutkiem, zamieszki, rezultat ich konieczny — gdyby kierowane, prowadzone, przewracane i odwracane były przez mądrego mnicha, mogłyby zachwiać republikę i skłonić Pingwinów do przywrócenia monarchji z księciem Crucho, którego pobożność

byłaby pociechą dla wiernych. Agaric, nasadziwszy wielki, czarny kapelusz o szerokich brzegach, przypominający skrzydła Nocy, udał się do lasu des Conils, do fabryki swego czcigodnego przyjaciela, ojca Cornemuse, dystylatora higienicznego likieru Świętej Orberozy. Przemysł zacnego mnicha, tak ciężko dotknięty za czasów admirała Chatillona, powstawał z ruin. Słychać było w lesie stuk pociągów towarowych i widać było w szopach setki sierot w niebieskich sukniach, owijających butelki i zabijających skrzynie.

Agaric zastał wielebneho ojca Cornemuse przy piecach, pośród retort. Niepewne źrenice starca odzyskały były swój blask rubinowy, gładka czaszka była jak dawniej — połyskliwa i bez skazy.

Agaric naprzód powinszował pobożnemu dystylatorowi odrodzonej czynności w jego laboratorjach i warsztatach.

— Interesy poprawiają się. Dziękuję za to Bogu — odrzekł starzec z Conils. — Niestety! Były one w silnym upadku, bracie Agaricu. Widziałeś przecie ruinę tego zakładu. Nic nie powiem więcej.

Agaric odwrócił głowę.

— Likier Świętej Orberozy — ciągnął dalej Cornemuse — na nowo triumfuje. Jednak przemysł mój nie jest jeszcze pewny. Rujnujące i niszczące go ustawy nie zostały zniesione; są one tylko zawieszane...

Mnich z Conils wzniósł ku niebu rubinowe swe źrenice.

Agaric położył mu rękę na ramieniu.

— Co za widok, Cornemuse, przedstawia nasza nieszczęsna Pingwinja! Wszędzie nieposłuszeństwo, niezależność, wolność! Widzimy, jak podnoszą głowy dumni, pyszni, ludzie buntu. Wypowiedziawszy walkę prawom boskim, powstają teraz przeciw prawom ludzkim; tak dalece bowiem prawdą jest, że trzeba być dobrym chrześcijaninem, aby [dobrym być obywatelem. Colomban usiłuje naśladować Szatana. Liczni naśladowcy idą za jego zgubnym przykładem, chcą oni zaciekle zniszczyć wszelkie hamulce, zerwać wszelkie jarzma, wyzwolić się z najświętszych więzów, uniknąć krępowań najsukuczniejszych. Godzą w swą ojczyznę, aby posłuszną im była. Ale zginą pod niechęcią, naganą, oburzeniem, gniewem, nienawiścią publiczną. Oto przepaść, do której zawiódł ich ateizm, myśl wolna, potworna pretensja, by mieli własny sąd, własną opinię!

— Bezwątpienia, bezwątpienia — odrzekł ojciec Cornemuse, kiwając głową; — ale wyznam ci, że zajęcie około dystylowania ziół nie pozwoliło mi śledzić za sprawami publicznymi. Wiem tylko, że dużo mówią o jakimś Pyrocie. Jedni utrzymują, że jest winny, drudzy zapewniają, że niewinny, nie mogę zrozumieć, co popycha jednych i drugich do zajmowania się sprawą, która ich nic nie obchodzi.

Pobożny Agaric spytał żywo:

— Nie wątpisz przecie o zbrodni Pyrota?

— Nie mogę o niej wątpić, najmilszy Agaricu — odrzekł mnich z Conils — byłoby to przeciwne prawom mego kraju, które szanować należy, póki nie są sprzeczne z prawami boskimi. Pyrot jest winny, skoro skazanym został. Gdybym coś więcej mówił za lub przeciw jego winie, znaczyłoby to, że wystawiam swój autorytet w miejsce autorytetu sędziów, czego wystrzegalbym się bacznie. Jest to zresztą niepotrzebne, skoro Pyrot jest skazany. Jeśli nie został skazanym dlatego, że jest winny, to jest winny dlatego, że został skazany; to na jedno wychodzi. Wierzę w jego winę, jak każdy dobry obywatel wierzyć powinien, i wierzyć będę póty, póki ustanowiony sąd wierzyć mi w nią każe, bo nie jest rzeczą osoby prywatnej, lecz sędziego, niewinność skazanego ogłosić. Sprawiedliwość ludzka szanowna jest nawet w omyłkach, nieodłącznych od jej ograniczonej i ułomnej natury. Omyłki te nigdy nie są niepewetowane; jeśli sędziowie nie powetują ich na ziemi, Bóg powetuje je w niebie. Zresztą, mam wielkie zaufanie do tego generała Greatauka, który choć nie wygląda na to, inteligentniejszy jest, niż ci wszyscy, co na niego napadają.

— Najmilszy Cornemuse — rzekł pobożny Agaric — sprawa Pyrota, doprowadzona do punktu, do którego z pomocą Boga i odpowiednich funduszków dowieść ją potrafimy, przyniesie

największe dobrodziejstwa. Wykaże w całej nagości wady republiki antychrześcijańskiej i skłoni Pingwinów do odnowienia tronu Drakonidów i przywilejów Kościoła. Ale na to trzeba, by lud widział swych kapłanów w pierwszym szeregu jego obrońców. Idźmy przeciwko wrogom armji, przeciw tym, którzy lżą bohaterów, a cały świat pójdzie za nami.

— Cały świat, to za dużo — szepnął, kiwając głową mnich z Conils. — Widzę, że Pingwini mają ochotę się klócić. Jeśli wmieszamy się do ich klótni, pogodzą się z naszą krzywdą i my zapłacimy koszta wojny. Dlatego, wierzaj mi bracie Agaricu, nie wprowadzaj Kościoła do całej tej awantury.

— Znasz moją energję, poznasz moją przeorność. Niczego nie skompromituję... Najdroższy mój Cornemuse, od ciebie tylko chcę otrzymać fundusze, potrzebne na rozpoczęcie naszej kampanji.

Długo Cornemuse wzdragał się dostarczyć środków na przedsięwzięcie, które za zgubne uważał. Agaric był kolejno to patetyczny, to groźny.

Wkońcu, ulegając prośbom i groźbom, Cornemuse z pochyloną głową powlókł się do swej surowej celi, gdzie wszystko zdradzało ubóstwo ewangeliczne. Na bielonej wapnem ścianie, pod gałązką święconej palmy wmurowana była ogniotrwała kasa. Cornemuse otworzył ją wzdychając i wyjął małą paczkę walorów, które ze

skurczonem ramieniem i drżącą ręką podał Agaricowi.

— Wierzaj mi, najdroższy Cornemuse — rzekł Agaric, wsuwając papiery w głęboką kieszeń habitu — ta sprawa Pyrota zesłana nam jest od Boga, dla chwały i wyniesienia Kościoła Pingwinji.

— Obyś miał rację — westchnął mnich z Conils. — Lecz zostawszy sam w swoim laboratorium, długo z niewysłowionym smutkiem spoglądał na swe piece, kolby i retorty.

ROZDZIAŁ VI

SIEDMIUSET PYROTÓW

Siedmiuset Pyrotów wzbudzało u publiczności wstręt coraz silniejszy. Codziennie na ulicach Alca jednego lub dwóch ubijano; jednego publicznie wychłostano, drugiego wrzucono do rzeki, trzeciego pomazano smołą, obtoczono w piezrach i oprowadzono po bulwarach, wśród śmiechu tłumów, czwartemu kapitan dragonów szablą nos uciął. Nie śmieli pokazać się ani w klubie, ani na tenisie, ani na wyścigach; chyłkiem, ukradkiem szli na giełdę. W tych okolicznościach, księciu de Boscenos koniecznem się zdało pohamować ich zuchwałość, ukrócić ich czelność. Połączywszy się w tym celu z hrabią Clena, panem de la Trumelle, wicehrabią Olive i panem Bigourd, założył wielkie stowarzyszenie antypyrotów, do którego obywatele przystąpili setkami, tysiącami, wojsko całemi kom-

panjami, pułkami, brygadami, dywizjami; całe miasta, okręgi, prowincje.

Mniej więcej w tym czasie, minister wojny, zaszedłszy do swego szefa jeneralnego sztabu, zobaczył z niezmiernem zdziwieniem, że obszerny pokój, w którym pracował jeneral Panther, do niedawna jeszcze świecący golemi ścianami, teraz ze wszystkich stron od podłogi do sufitu zastawiony był szerokimi półkami, na których potrójnemi, poczwórnemi szeregami leżały akta wszelkich formatów i wszelkich barw, monstrualne dokumenty, które w kilka dni wzrosły do rozmiarów wiekowych archiwów.

— Co to jest? — zapytał zdziwiony minister.

— Dowody przeciwko Pyrotowi — odrzekł z patryotycznym zadowoleniem jeneral Panther. — Nie mieliśmy ich, gdyśmy go skazali; odtąd wynagrodziliśmy sobie ten brak.

Drzwi były otwarte. Greatauk ujrzał idący z sieni długi szereg tragarzy: wchodzili do sali i wyladowywali z koszów, dźwiganych na plecach, wielkie tłumoki, ciężkie od papieru, ujrzał windę, z jękiem, powolnie wznoszącą się w górę pod nadmiernym ciężarem aktów.

— A to co jeszcze? — zapytał.

— To nadeszłe nowe dowody przeciwko Pyrotowi. Zażądałem ich ze wszystkich okręgów Pingwinji, ze wszystkich sztabów jeneralnych, ze wszystkich dworów europejskich, zamówiłem we wszystkich miastach Ameryki i Au-

stralji i we wszystkich faktorjach Afryki; czekam jeszcze na tłumok z Bremy i na ładunek z Melbourne.

I Panther zwrócił na ministra spokojne i pogodne spojrzenie bohatera. Tymczasem Greatauk, ze szkiełki w oku, spoglądał na tę przerażającą kupę papieru, z niepokojem raczej, niż zadowolaniem.

— Bardzo dobrze — rzekł — bardzo dobrze! Ale obawiam się, by nie odjęto sprawie Pyrota jej pięknej prostoty. Była ona czysta, jak kryształ skalny, wartość jej polegała na jej przejrzystości. Daremnie, zapomocą lupy szukano by w niej źdźbła, plamki, najlżejszej skazy. Wyszła z rąk moich czysta, jasna jak dzień, była dniem samym. Dałem ci perłę, a ty robisz z niej górę. Prawdę mówiąc boję się, że chcąc zbyt dobrze zrobić, zrobisz gorzej. Dowody! Bezwątpienia dobrze jest mieć dowody, ale może lepiej jest ich nie mieć. Mówiłem ci już, Panther; jeden jest tylko dowód nieodparty — przyznanie się winnego (lub niewinnego, mniejsza o to). Tak jak ją postawiłem, sprawa Pyrota nie dawała pola do krytyk; nie było w niej ani jednego miejsca, w które możnaby ugodzić. Mogła wyzywać ciosy, była nietykalna, bo była niewidzialna. Teraz przedstawia obszerny grunt do dyskusji. Radzę ci, Panther, abyś umiarkowanie posługiwał się swemi aktami. Byłbym ci też wdzięczny, żebyś miarkował twoje wynurzania się przed dziennikarzami, Mówisz dobrze, ale mówisz za

dużo. Powiedz mi Panther, czy między temi dokumentami są też fałszywe?

Panther uśmiechnął się.

— Są zastosowane.

— To właśnie powiedzieć chciałem. Są więc i zastosowane, tem lepiej! Te są najlepsze. Jako dowody, ogólnie biorąc, dokumenty fałszywe warte są więcej, niż prawdziwe, naprzód dlatego, że zrobione zostały umyślnie dla potrzeb sprawy na obstalunek i według miary i że są wreszcie dokładne i słuszne. Należy też oddać im pierwszeństwo z tego względu, że przenoszą umysły w świat idealny i odwracają je od rzeczywistości, która na tym świecie, niestety, nigdy nie jest bez domieszki... Jednocześnie, Panther, wolałbym może, żebyśmy wcale nie mieli dowodów.

Pierwszym czynem stowarzyszenia antypyrotów było zażądać od rządu, by siedmiuset Pyrotów i ich współników postawił przed trybunałem najwyższej izby sądowej, jako oskarżonych o zdradę stanu. Książę de Boscenos, który miał przemówić w imieniu stowarzyszenia, stanął przed radą zebraną dla przyjęcia go i wyraził życzenie, by czujność i stanowczość rządu stanęły na wysokości położenia. Uścisnął rękę każdemu z ministrów, a przechodząc mimo Grea-
tauka, szepnął mu na ucho:

— Trzymaj się porządnie, łotrze, inaczej ogłoszę sprawę Maloury.

W kilka dni później, na przychylnie podany projekt rządu, Izby jednogłośnie uznały sto-

warzyszenie antypyrotów za związek użyteczności publicznej.

Stowarzyszenie wysłało natychmiast do Marsuanji, do zamku Chitterlings, gdzie ksiązę Crucho spożywał gorzki chleb wygnania, delegację, mającą zapewnić księcia o miłości i poświęceniu członków ligi antypyrotów.

Tymczasem stronnictwo Pyrotów rosło w liczbę, było ich teraz około dziesięciu tysięcy. Mieli oni na bulwarach swoje urzędowe kawiarnie, patrjoci mieli też swoje, obszerniejsze i bogatsze; co wieczór z jednego tarasu kawiarni na drugi leciały kufle, spodki, zapalniczki, karafki, stolki i stoły; szyby tłukły się z brzękiem; a cień nocy, mieszając i jednocząc ciosy, wynagradzał nierówność liczebną: czarne zaś brygady kończyły walkę, ostro podkutemi butami tratując walczących jednego i drugiego stronnictwa.

Jednej z takich sławnych nocy, ksiązę de Boscenos wychodził z kilkoma patrjotami z modnej kawiarni. Pan de la Trumelle wskazał mu niskiego obrośniętego człowieka w binoklach, bez kapelusza, mającego jeden tylko rękaw u surduta i z trudem wlokącego się po zarzuconym szczątkami trotuarze.

— Patrz pan! — rzekł — oto Colomban!

Ksiązę jednoczył łagodność z siłą, był uosobioną słodyczą, ale na imię Colombana krew w nim zawrzała. Przyskoczył do małego człowieka i uderzeniem pięści w nos, powalił go na ziemię.

Pan de la Trumelle spostrzegł wtedy, że zmylony niezasłużonem podobieństwem, wziął za Colombana, pana Basile'a, byłego adwokata, sekretarza stowarzyszenia antypyrotów, gorącego i szlachetnego patriotę. Książę de Boscenos był z tych dusz hartownych, które nie ustępują nigdy, ale umiał jednak uznać swe błędy.

— Panie Basile — rzekł, uchylając kapelusza — chociaż musnąłem twarz pańską, wybacz mi i zrozumie mnie pan co mówię, przyznasz mi pan rację, pochwalisz mnie, powinszujesz, gdy dowiesz się, jaka była przyczyna tego czynu: Wziąłem pana za Colombana.

Pan Basile, chustką przyciskając nos krwią broczący i unosząc łokieć, świecący nieobecny rękawem odrzekł sucho:

— Nie panie — ani ci powinszuję, ani pochwalę, ani nie przyznam racji, bo czyn twój był co najmniej zbyteczny. Dziś wieczór trzy razy wzięto mnie za Colombana i potraktowano należycie, jak na to zasługuje. Patrjoci na mnie obili mu boki, połamali żebra i uważałem, mój panie, że dosyć tego.

Zaledwie skończył tę przemowę, gdy banda Pyrotów, również tem zdradzieckiem podobieństwem zmylona, myślała, że patrjoci zabijają Colombana. Z okutemi kijami i pletniami bawolemi rzucili się na księcia de Boscenos i jego towarzyszy, a zostawiając ich na pół martwych na placu, pochwycili adwokata Basile'a i mimo jego oburzenia i protestu ponieśli go triumfal-

nie na bulwary przy okrzykach: «Niech żyje Colomban! Niech żyje Pyrot!»

Dopiero wysłana za nimi czarna brygada, dopędziwszy ich, napadła, pobiła i zawlokła wszystkich do posterunku policji, gdzie adwokat Basile, jako Colomban, dokładnie stratoswany został grubemi podeszwami o niezliczonej liczbie ostrych gwoździ.

ROZDZIAŁ VII

BIDAULT-COQUILLE I MANIFLORE. SOCJALIŚCI

Podczas gdy w Alca srożyły się burze nienawiści i gniewu, Eugenjusz Bidault-Coquille, najuboższy i najszcześliwszy z astronomów, na starej sikawce pożarnej z czasów Drakonidów przez kiepską lunetę obserwował niebo i, na podniszczonych kliszach, ofotografowywał drogę przebiegu gwiazd spadających. Genjusz jego uzupełniał wady instrumentów, a miłość wiedzy przewyciężała niedokładności przyrządów. Z niegasnącym zapalem obserwował aerolity, meteory i bolidy, wszystkie gorejące szczątki, wszystkie płomienne pyły, z niesłychaną szybkością przebiegające atmosferę ziemską. Nagrodą tych pracowitych nocy była obojętność publiczności, niewdzięczność Państwa i niechęć uczonych towarzystw. Pograżony w otchłaniach niebieskich, nie wiedział nic o zdarzeniach, zachodzących na ziemi, gazet nie czytywał nigdy i gdy szedł przez miasto, mając umysł zajęty aste-

roidami listopadowemi, zdarzało mu się nieraz znaleźć się w sadzawce ogrodu publicznego lub pod kołami omnibusu.

Wyniosły wzrostem i myślą, miał szacunek dla siebie i drugich, wyrażający się w chłodnej grzeczności oraz długim czarnym surducie i cylindrze, który postaci jego nadawał wyraz wzniosły, uduchowiony.

Jadał w malej restauracji, opuszczonej przez wszystkich, mniej od niego spirytualistycznych klientów, gdzie odtąd tylko jedna jedyna jego serweta w drewnianem kółku spoczywała na opustoszałej półce. W tej to garkuchni pewnego wieczora wpadł mu w rękę memoriał Colombana na korzyść Pyrota napisany; przeczytał go, tłukąc puste orzechy i nagle przejęty podziwem, zgrozą, litością, zapomniał o spadających meteorach, o deszczu gwiazdzistym i widział już tylko niewinnego skazańca, kołysanego wichrami w klatce, na której siadują kruki.

Obraz ten już go nie opuszczał. Od ośmiu dni był pod natrętną wizją niewinnie skazanego, gdy wychodząc ze swej garkuchni, ujrzał gromadę obywateli, tłoczących się do knajpy, w której odbywało się zgromadzenie publiczne. Wszedł; zgromadzenie było opozycyjne, krzyczano, wymyślano sobie, bito się w zadymionej sali. Pyroci i antypyroci przemawiali, kolejno oklaskiwani i wygwizdywani. Jakiś niejasny, niewyraźny entuzjizm unosił obecnych.

Z odwagą ludzi nieśmiałych i samotnych, Bisdault-Coquille wskoczył na trybunę i przemawiał trzy kwadranse. Mówił bardzo prędko, bezładnie, ale gwałtownie i z całym przekonaniem mistycznego matematyka. Przyjęto go oklaskiem. Gdy zszedł z estrady, wysoka kobieta, nieokreślonego wieku, w czerwonych szatach i olbrzymim kapeluszu, zdobnym bohaterskimi piórami, rzuciła się nań uroczyście i namiętna zarazem i pocałowała go ze słowami:

— Jesteś piękny!

W prostocie swej pomyślał, że musi w tem być coś z prawdy.

Oświadczyła mu, że żyje jedynie dla obrony Pyrota i w uwielbieniu dla Colombana. Wydała mu się wzniosłą i piękną. Była to Maniflore, stara kokota, biedna, zapomniana, wyszła już z użytku, która nagle przerodziła się w wielką obywatelkę.

Już go nie opuściła. Spędzali razem niezapomniane chwile w kawiarenkach i pokojach umeblowanych, w redakcjach dzienników, w salach zebrań i odczytów. Ponieważ był idealistą, trwał w mniemaniu, że jest zachwycająca, choć sówicie dała mu sposobność spostrzec, że nigdzie i żadnych nie posiada już wdzięków. Z minionej swej piękności zachowała tylko niezłomną pewność podobania się i dumne żądania hołdów. Jednak przyznać trzeba, że ta sprawa Pyrota, bogata w cuda, oblekała Maniflorę rodzajem obywatelskiego majestatu, i przekształcała ją na zgro-

madzeniach publicznych w dostojny symbol sprawiedliwości i prawdy.

U żadnego antypyrota, u żadnego obrońcy Grea-
tauka, u żadnego zwolennika szabli, Bidault-Co-
quille i Maniflore nie wzbudzali ani szczypty iro-
nii lub wesołości. Bogowie w swym gniewie od-
mówili tym ludziom cennego daru uśmiechu.

Poważnie oskarżali oni astronoma i kurtyzanę
o szpiegostwo, zdradę, spisek przeciw ojczyźnie,
zaś Bidault-Coquille i Maniflore rośli we własnem
pojęciu pod obelgą, zniewagą i oszczerstwem.

Pingwinja od długich miesięcy podzielona była
na dwa obozy i co na pierwszy rzut oka dziwnem
wydać się może, socjaliści dotąd nie oświadczyli
się byli, po której stronie stoją w tej sprawie. Gru-
py ich obejmowały wszystkich pracowników, pra-
cą ręczną się trudniących, jakich wogóle kraj po-
siadał, była to siła rozpiezchła, złamana, roze-
rwana, lecz potężna. Sprawa Pyrota wprowadzi-
ła głównych wodzów grup w wielki kłopot; nie
mieli oni ochoty stanąć ani po stronie finansi-
stów, ani po stronie wojskowych. Wielkich i ma-
łych Żydów uważali za nieprzejednanych wro-
gów. Zasady ich nie wchodziły w grę, interesy
ich nie były narażone w tej sprawie. Poczęści
czuli jednak, jak trudnem się staje pozostać obo-
jętnym w walkach, w których cała Pingwinja
udział bierze.

Przywódcy grup zgromadzili się w siedzibie
swego związku przy ulicy Czarci-ogon Świętego-
Maëla, by postanowić, jak im wypada postąpić

w obecnych okolicznościach i przyszyłych, przypuszczalnych wypadkach.

Towarzysz Phoenix pierwszy zabrał głos.

— Zbrodnia — rzekł — najohydniejsza i najnikczemniejsza zbrodnia, zbrodnia sądowa popełniona! Sędziowie wojskowi, zmuszeni lub oszukani przez swych hierarchicznych zwierzchników, skazali niewinnego na hańbiącą i okrutną karę.

Nie mówcie, że ofiara nie jest z naszego obozu, że należy do kasty, która była zawsze i będzie nam wroga. Stronnictwo nasze jest stronnictwem sprawiedliwości społecznej; niema bezprawia, które byłoby dla nas obojętne.

Jakąż hańbą byłoby dla nas, gdybyśmy pozwolili, aby radykał Kerdanic, burzuj Colomban i kilku umiarkowanych republikanów, sami tylko wystąpili przeciwko zbrodniom szpady. Jeśli ofiara nie jest z naszego stronnictwa, kaci jej są katami naszych braci i Greatauk, zanim w wojskowego ugodził, kazał rozstrzeliwać naszych strajkujących braci.

Towarzysze! Energicznym wysiłkiem intelektualnym, moralnym i materjalnym, zbawicie Pyrota od męki, a spełniając ten czyn szlachetny, pozostaniecie wiernymi rewolucyjnemu i wyzwolenicznemu zadaniu, jakie wzięliście na siebie; bo Pyrot stał się symbolem gnębionego, a wszystkie bezprawia społeczne tworzą jeden łańcuch. Niweczając jedno ogniwo, osłabia się wszystkie inne.

Gdy towarzysz Phoenix skończył, towarzysz Sapor głos zabrał.



— Doradzają wam porzucić wasze cele i zadania dla spełnienia czynności, która was się nie tyczy. Poco rzucać się w wir walki, w której, gdziekolwiekbyście się zwrócili, znajdziecie się wobec naturalnych, nieubłaganych przeciwników? Czyż finansiści nie są wam równie nienawistni, jak wojskowi? Jakąż kasę będziecie ocalać? Kasę Wahadel Banku, czy kasę Pajaców Odwetu? Jakąż głupia i zbrodnicza wspaniałomyślność kazałaby wam biec na pomoc siedmiuset Pyrotom, których w walce socjalnej znajdziecie zawsze w szeregu waszych wrogów.

Proponują wam, byście zaprowadzili porządek wśród waszych nieprzyjaciół, byście przywrócili ład, zmacony ich zbrodniami. Do tego punktu doprowadzona wspaniałomyślność, inaczej się nazywa.

Towarzysze! Jest stopień nikczemności, dla społeczeństwa śmiertelny; burżuazja pingwińska doszła do niego, dławi się w swej nikczemności. Od was żądają, byście ją ocalili, byście odświeżyli powietrze, którem oddycha. Są to kpiuny z was.

Dajmy jej zdychać i z odrazą, pełną radości, przypatrujmy się ostatnim jej drgawkom, żalując tylko, że tak głęboko zepsuła grunt, na którym budowała, że nam zostanie się tylko zatrute bagno dla stawiania podwalin nowego społeczeństwa!

Sapor skończył swą przemowę, po nim towarzysz Lapersonne rzekł krótko:

— Phoenix wzywa nas na pomoc Pyrota, z racji, że Pyrot jest niewinny. Zdaje mi się, że to nie jest racja. Jeśli Pyrot jest niewinny, to jednak zawsze postępował jak dobry żołnierz, zawsze sumiennie spełniał swe rzemiosło, zaszczepiając się głównie na strzelaniu do ludu. To nie jest powód, by lud brał go w obronę z narażeniem się na niebezpieczeństwa. Jeśli udowodnią mi, że Pyrot jest winny, że ukradł siano rządowe, pójdę go bronić.

Na mównicę wstąpił towarzysz Larrivéé.

— Nie podzielam zdania towarzysza Phoenixa, ani zdania towarzysza Sapor; nie sądzę, by partja winna przyłączać się do sprawy, z chwilą, gdy sprawa jest słuszna. Obawiam się w tem przykrego nadużywania zdań i opinij i niebezpiecznej dwuznaczności. Bo sprawiedliwość społeczna nie jest sprawiedliwością rewolucyjną. Obie są względem siebie w wiecznym antagonizmie: służyć jednej znaczy zwalczać drugą. Co do mnie, wybór mój dokonany: jestem za sprawiedliwością rewolucyjną przeciw sprawiedliwości socjalnej. A jednak w obecnym wypadku potępiam wahanie. Mówię, że jeśli przychylny los nastręczył taką sprawę, jak ta, trzeba by być głupcami, żeby z niej nie korzystać.

Jakto, nadarza się sposobność wymierzyć militaryzmowi ciosy straszne, może śmiertelne. I chcecie, bym założył ręce? Uprzedzam was, towarzysze, nie jestem fakirem; nigdy nie będę

w partji fakirów, jeśli są tu fakirzy, niech nie liczą na mnie, bym im dotrzymywał towarzysztwa. Patrząc na swój pępek jest polityką bez rezultatu, której uprawiać nie będę.

Stronnictwo nasze, musi utwierdzać się nieustannie, musi przez ciągłą działalność dowieść swego istnienia. Wmieszamy się w sprawę Pyrota, ale wmieszamy się rewolucyjnie; prowadzić będziemy akcję gwałtowną... Czyż sądzicie, że gwałt jest sposobem starym, wynalazkiem przebrzmiałym, który odłożyć trzeba do lamusa wraz z dylizansem, tłoczną ręczną i telegrafem sygnałowym? Mylicie się. Dziś, jak i dawniej wszystko otrzymuje się jedynie przez gwałt; to narzędzie skuteczne; należy tylko umiejętnie się niem posługiwać. Jakąż będzie nasza czynność? Zaraz wam powiem. Musimy podjudzić klasy rządzące jedne na drugie; armję przeciwko finansom, rząd przeciwko sądownictwu, szlachtę i duchowieństwo przeciwko Żydom; trzeba, jeśli można, przecić ich do wzajemnego zniszczenia się; musimy podtrzymywać agitację, która tak osłabia rządy, jak gorączka chorych. Sprawa Pyrota, jeśli wyzyskać ją należycie, o dziesięć lat przyspieszy rozrost partji socjalistycznej i wyzwolenie proletariatu przez rozbrownienie, bezrobocie ogólne i rewolucję.

Gdy wodzowie partji wyrazili w ten sposób każdy zdanie przeciwne, ożywiona dyskusja ciągnęła się dalej: mówcy, jak się to zdarza w podobnych razach, przytaczali już raz podawane

argumenty, wypowiadając je tylko z mniejszym ładem i miarą, niż za pierwszym razem.

Sprzeczano się długo i nikt nie zmienił swego zdania. Ale treściwszy je, zdania te redukowaly się do dwóch: do zdania Sapura i Lapersonne'a, którzy radzili trzymać się zdala od sprawy, i do zdania Phoenixa i Larrivée, którzy radzili wmieszać się do niej. Przytem te dwa sprzeczne zdania łączyły się we wspólnej nienawiści do wojskowych i ich sądów i we wspólnej wierze w niewinność Pyrota. Opinia publiczna nie myliła się zatem, uważając socjalistów za bardzo szkodliwych pyrotystów.

Co zaś do szerokich mas, w imię których przemawiali i które reprezentowali—o ile słowo reprezentować może coś niewysłowionego—co do proletarjuszów samych, których idee i przekonania, są im samym nieznane—trudno jest poznać, zdaje się, że sprawa Pyrota nie interesowała ich wcale. Była dla tego proletarjatu zanadto literacką, zbyt w klasycznym guście, w tonie wysokiej burżuazji i wyższych finansistów, które nie podobały mu się zgoła.

ROZDZIAŁ VIII

PROCES COLOMBANA

Gdy rozpoczął się proces Colombana, Pyrotów nie było wiele więcej nad trzydzieści tysięcy, ale byli wszędzie, nawet wśród duchowieństwa i wojskowych. Jednak najwięcej szko-

dziły im sympatje wielkich Żydów. Zato swej liczebnie małej sile zawdzięczali bardzo cenne korzyści, a w pierwszej linji, że w ich szeregach mniej było głupców, niż u przeciwników, u których aż się od nich roilo. Stanowiąc tylko nieznaczną mniejszość, porozumiewali się łatwo, działali zgodnie, nie zamierzali rozdzielać się i paraliżować swych usiłowań; każdy z nich czuł potrzebę by działać dobrze i tem bardziej trzymał się tej zasady, im bardziej był na widoku. Wreszcie wszystko pozwalało im przypuszczać, że zyskają nowych zwolenników, podczas gdy przeciwnicy ich, odrazu zebrawszy tłumy, już tylko tracić ich mogli.

Postawiony przed sądem na jawnej rozprawie Colomban spostrzegł natychmiast, że sędziowie jego nie są ciekawi. Gdy tylko usta otwierał, prezydent nakazywał mu milczenie ze względu na wyższe interesy Państwa. Z tej samej racji, która jest racją najwyższą, świadkowie obrony nie zostali przesłuchani. Jeneral Panther, szef jeneralnego sztabu, stanął przed kratką w pełnym mundurze, ze wszystkimi orderami.

W te słowa zeznawać zaczął:

— Niecny Colomban utrzymuje, że nie mamy dowodów przeciw Pyrotowi. Skłamał bezczelnie: mamy je; przechowuję w moich archiwach siedmset trzydzieści dwa metry kwadratowe dowodów, co licząc po pięćset kilo każdy, wynosi trzysta sześćdziesiąt sześć tysięcy kilo.

Wyższy ten oficer z elegancją i swobodą podał następnie ogólne streszczenie tych dowodów.

— Są one we wszelkich barwach i odcieniach — rzekł — mamy je w rozlicznych kształtach i formatach, w kształcie garnka, korony, dukata, winnego grona, gołębnika, wielkiego orła i t. d. Najmniejszy niema milimetra kwadratowego, największy — mierzy siedmdziesiąt metrów wzdłuż, na 0,90 wszerz.

Na to oświadczenie słuchacze zadrżeli ze zgrozy.

Następnie zeznawał Greatauk. Prostszy i może przez to nacechowany pewną wyższością, ubrany był w skromną, szarą kurtkę, ręce miał na plecach skrzyżowane.

— Pozostawiam — rzekł spokojnie, głosem cichym — pozostawiam panu Colomban odpowiedzialność za czyn, który postawił kraj nasz o dwa palce od zguby. Sprawa Pyrota jest tajemna i musi zostać tajemną. Gdyby ją ujawnić, najokrutniejsze nieszczęścia, wojny, grabieże, rabunki, pożogi, mordy, epidemie spadłyby natychmiast na Pingwinję. Poczytywałbym się za zdrajcę, gdybym choć słowo jeszcze dodał.

Kilka osób, znanych ze swego politycznego doświadczenia, między innymi pan Bigourd, było zdania, że zeznanie ministra wojny było zręczniejsze i donioślejsze, niż zeznanie jego szefa sztabu.

Zeznanie świadka pułkownika Boisjoli wywarło wielkie wrażenie.

— Na wieczorze w ministerjum wojny — rzekł ten oficer — attaché wojskowy sąsiedniego mocarstwa zwierzył mi się, że przy przeglądzie stajen swego władcy podziwiał tam siano miękkie, wonne, pięknego zielonego odcienia, najpiękniejsze jakie kiedykolwiek widział! «Skąd pochodziło?» zapytałem. Nie odpowiedział, ale dla mnie pochodzenie to nie było wątpliwe. Było to siano skradzione przez Pyrota. Te zalety zieleni, miękkości, aromatu są zaletami naszego narodowego siana. Siano sąsiedniego mocarstwa jest szare, kruche, dźwięczy pod widłami i czuć je kurzem. Każdy może stąd wyciągnąć odpowiedni wniosek.

Podpułkownik Hastaing wśród urągań powiedział u kratki, że nie sądzi, by Pyrot był winnym.

Natychmiast przez żandarmów pochwycony został i strącony w głąb lochu, gdzie żywiono go żmijami, ropuchami i szkłem tłuczonym: nieczułym pozostał zarówno na obietnice, jak na groźby.

Woźny wywołał:

— Hrabia Piotr de Maubec de la Dentdu-lynx.

Nastąpiła wielka cisza; ujrzano zbliżającego się do krutek wspaniałego, lecz zaniedbanego szlachcica, którego wąsy groziły niebu, a bure żrenice rzuciły błyskawice.

Zbliżył się do Colombana i ciskając mu wejście niewysłowionej wzgardy, rzekł:

— Chcecie mego zeznania? — oto jest: gówno.

Na te słowa cała sala wybuchnęła entuzjastycznym oklaskiem i podniosła się, porwana jednym z tych uniesień, które serca i dusze do nadzwyczajnych czynów sposobia. Ani słowa więcej nie dodawszy, hrabia de Maubec de la Dentdulynx usunął się.

Wychodząc za nim z sali sądowej, obecni tworzyli mu pochód triumfalny. Pochylona do nóg jego, księżna de Boscenos silnie obejmowała mu kolana; on szedł niewzruszony i ponury pod deszczem chustek i kwiatów. Wicehrabina Olive, uwieszona u jego szyi, oderwać się nie dała; powiewną, jak lekką szarfę, uniósł ją bohater na swej piersi szlachetnej.

Gdy rozprawę, którą na chwilę zawiesić musiano, na nowo podjęto, prezydent wezwał ekspertów.

Znamienity ekspert pisma, Vermillard, przedstawił wynik swych poszukiwań:

— Uważnie przestudjowawszy papiery, pochwycone u Pyrota, mianowicie jego książkę wydatków i spisy bielizny do prania, przekonałem się, że pod banalnym pozorem stanowią one nieprzenikniony kryptogram, którego klucz udało mi się jednak odnaleźć. Nikczemność zdrajcy widzę tam w każdej pozycji. W tym systemie pisma, słowa «Trzy piwa i dwadzieścia franków dla Anieli» znaczą: «Wydałem trzydzieści tysięcy wiązek siana sąsiedniemu mocarstwu». Według tych dokumentów udało mi się nawet ustalić skład siana, wydanego przez tego oficera.

Istotnie słowa koszula, kamizelka, kalesony, chustki do nosa, kołnierzyki, przekąska, tabaka, cygara, oznaczać mają koniczynę, wykę, luzernę, macierzankę, owies, lubin. A te właśnie aromatyczne rośliny wchodziły w skład siana dostarczonego przez hrabiego Maubec dla kawalerji pingwińskiej. Tak więc Pyrot wzmiarkował o swem przestępstwie w języku, który wydawał mu się niemożliwym do odczytania. Zdumienie ogarnia wobec takiej chytryści, połączonej z taką nieświadomością.

Colombana uznano za winnego bez łagodzących okoliczności, i skazano na maximum kary.

Przysięgli podpisali natychmiast prośbę o wypełnienie wyroku z całą surowością.

Na placu Sądowym nad rzeką, której brzegi były świadkami dwunastu wieków wielkich dziejów, pięćdziesiąt tysięcy osób w zgielku i wrzawie czekało na koniec procesu. Tu żywo gestykulowali dygnitarze stowarzyszenia anty-pyrotów, wśród których widziano księcia de Boscenos, hrabiego Cléna, wicehrabiego Olive, pana de la Trumelle; tu tłoczyli się wielebny ojciec Agarie i profesorowie szkoły Św. Maëla ze wszystkimi swymi uczniami; tu mnich Douillard i generalissimus Caraguel, trzymając się w uścisku, tworzyli wzruszającą grupę; a od strony Starego Mostu biegły przekupki i praczki z różnemi łopatkami, szczypcami, haczykami, kijankami i kołtami mydlin i wody chlorowej; przed monumentalnemi spiżowemi drzwiami, na stopniach zgro-

madzeni byli wszyscy znajdujący się w Alca obrońcy Pyrota, profesorowie, dziennikarze, robotnicy, jedni konserwatywni, drudzy radykalni lub rewolucyjni. Po zaniechanej i posępnej minie poznawano towarzyszy Phoenixa, Larrivée, La-personne, Dagobert i Varambille.

Szczelnie obciśnięty w swym pogrzebowym surducie i paradnym kapeluszu, Bidault-Cocuille wzywał tkliwie matematyka Colombana i pułkownika Hastaing na pomoc. Na najwyższym stopniu jaśniała posępna i uśmiechnięta Maniflore, bohaterska kurtyzana, jak Leena, pragnąca zasłużyć na pomnik zaszczytny, lub jak Epicharys — na pochwały historii.

Siedmiuset Pyrotów, przebranych za roznościeli lemoniady, przekupniów, zbieraczy odpadków i antypyrotów, błędziło około obszernego budynku. Gdy ukazał się Colomban, podniósł się taki wrzask, że ptaki uderzone wstrząśnieniem powietrza i wody pospadały z drzew, a ryby ukazały się na powierzchni rzeki brzuchami do góry. Krzyczano ze wszystkich stron.

— Do wody Colombana, do wody, do wody!

Kilka głosów odezwało się:

— Sprawiedliwości i prawdy!

Daly się nawet słyszeć śmiałe głosy:

— Niech zginie armja!

Było to sygnałem do straszliwej utarczki. Walczący padali tysiącami i z ciał swych tworzyli wyjące i ruchome wzgórze, na których nowi zapaśnicy skakali sobie do gardła. Kobiety

roznamiętnione, blade, rozczochrane, ze zgrzytaniem zębów i drżącemi rękami rzucały się na Colombana z uniesieniem, które twarzom ich, w dziennem świetle publicznego placu, nadawało cudny wyraz, jaki jedynie widzieć się zdarza w cieniu kotar, w zagłębieniu poduszek. Już mają pochwycić Colombana, gryźć go, dusić, ćwiartować, rozszarpać i wydzierać sobie jego strzępy, gdy Maniflore, wyniosła, czysta, w czerwonej swej tunice, staje pogodna i straszna przed temi furjami, cofającemi się z przerażeniem. Colomban zdawał się ocalony, przyjaciółom jego udało się przeprowadzić go przez plac Sądowy do fiakra, stojącego na rogu Starego Mostu. Koń biegł już klusem, ale księżę de Boscenos, hrabia Cléna, pan de la Trumelle zrzucili stangreta z koźła, wtył pchnęli konia i powóz aż do mostu potoczyli, silnem przyparciem do parapetu zrzucili go do rzeki przy oklaskach rozszalałego tłumu. Z dźwięcznym i orzeźwiającym pluskiem trysnął słup wody, potem już tylko lekkie falowanie widoczne było na błyszczącej powierzchni rzeki.

Prawie natychmiast towarzysze Dagobert i Varambille, poparci przez siedmiuset przebranych Pyrotów, zrzucili księcia de Boscenos, głową wdół, do łodzi praczki, w której rozbił się sromotnie.

Cicha noc zaległa plac Sądowy, i na szczątki, któremi był pokryty, zesłała ukojenie i ciszę. Tymczasem o trzy kilometry wgórę, pod mostem, przykucnięty, cały wodą ociekający, obok starego

okaleczalego konia, Colomban rozmyślał nad zaślepieniem i niesprawiedliwością tłumów.

— Sprawa—myślał sobie—cięższa jest niż sądziłem. Przewiduję nowe trudności.

Wstał, zbliżył się do biednego zwierzęcia.

— Cóżes ty im zawinił, biedny przyjacielu? To z mojej przyczyny tak okrutnie obeszli się z tobą.

Objął nieszczęsne zwierzę i złożył pocałunek na białej gwiazdce jego czoła. Potem pociągnął konia za uzdę i sam kulejąc, przeprowadził kulejącego przez uśpione miasto, aż do domu swego, gdzie sen pozwolił im zapomnieć o ludziach.

ROZDZIAŁ IX

OJCIEC DOUILLARD

W nieskończonej swej dobroci, za sprawą wspólnego ojca wszystkich wiernych, biskupi, kanonicy, proboszczowie, wikarjusze, opaci i przeorowie Pingwinji postanowili odprawić solenne nabożeństwo w katedrze Alca, by uprosić miłosierdzia boskiego dla położenia kresu zamieszkom, szarpiącym jeden z najpiękniejszych krajów chrześcijaństwa, i o udzielenie Pingwinom przebaczenia za ich grzechy względem Boga i sług Jego.

Ceremonja odbyła się piętnastego czerwca. Generalissimus Caraguel siedział w ławce urzędowej otoczony swoim sztabem. Zebranie było

liczne i świetne; według określenia pana Bigourd był to jednocześnie tłum i śmietanka. W pierwszym rzędzie widziano pana de la Berthoscille, szambelana Jego Wysokości, księcia Crucho. Koło ambony, z której przemówić miał ojciec Douillard, franciszkanin, stali z rękami skrzyżowanymi na swych kijach, z miną skupioną, wielcy dygnitarze stowarzyszenia antypyrotów, wicehrabia Olive, pan de la Trumelle, hrabia Cléna, księżę de Boscenos. Ojciec Agaric z profesorami i uczniami szkoły Świętego Maëla zajęli miejsca za chórem. Boczną nawę z prawej strony, jako miejsce honorowe, gdyż w tę stronę Zbawiciel, umierając, skłonił głowę, zarezerwowano dla oficerów i żołnierzy. Panie z arystokracji, między niemi hrabina Cléna, wicehrabina Olive, księżna de Boscenos, zajmowały trybuny. W olbrzymiej nawie, w kruchcie i na placu przed Katedrą tłoczyło się dwadzieścia tysięcy mnichów wszelkich reguł i trzydzieści tysięcy ludzi świeckich.

Po skończeniu pokutnego i błagalnego nabożeństwa, ojciec Douillard wszedł na ambonę. Początkowo miał wypowiedzieć kazanie ojciec Agaric, ale mimo jego zasług, uznano go za niedość uczonego i żarliwego do tej okoliczności i przelożono nadeń wymownego kapucyna, który od sześciu miesięcy wygłaszał po koszarach kazania przeciwko nieprzyjaciolom Boga i władzy.

Wielebny ojciec Douillard, biorąc za tekst *Deposit potentes de sede*, wykazał, że każda wła-

dza ziemską ma Boga za początek i koniec, i że ginie ona i upada sama przez się, jeśli odwróci się od dróg, które zakreśliła jej Opatrzność i od celu jaki jej wyznaczyła.

Tę świętą regułę do rządów Pingwinji zastosowując, skreślił przerażający obraz nieszczęść, których władcy tego kraju ani przewidzieć ani powstrzymać nie umieli.

— Pierwszego twórcę tylu nieszczęść i hańby — rzekł — znacie aż nadto dobrze, bracia moi! Jest to potwór, którego nazwisko opatrnościowo wieściło przyszłość. Pochodzi ono z greckiego *pyros*, co znaczy ogień; mądrość boska, tu filozoficzna, uprzedziła nas, że Żyd roznieci pożar w kraju, który go przygarnął.

Przedstawił ojczyznę, prześladowaną przez prześladowców Kościoła, wołającą na swej kalwarji: «O bólu! O chwalo! Ci, co ukrzyżowali Boga mego, i mnie krzyżują!»

Na te słowa dreszcz przebiegł zgromadzenie. Potężny mówca jeszcze większe wywołał oburzenie, wspominając pysznego Colombana, rzuconego do rzeki, której wszystkie wody nie zdolne są obmyć go z grzechów. Przytoczył wszystkie upokorzenia i niebezpieczeństwa Pingwinji, by uczynić z nich zarzut prezydentowi republiki i jego pierwszemu ministrowi.

— Minister ten — rzekł — dopuścił się haniebnego tchórzostwa, nie wytępiając, jak Saul Filistynów w Gabaon, siedmuset Pyrotów z ich sprzymierzeńcami i obrońcami, przeto stał się

niegodnym sprawować władzę, którą mu Bóg porucił, i każdy dobry obywatel może i powinien odtąd urągać wzgardliwie jego zwierzchności. Niebo życzliwie patrzeć będzie na hańbicieli jego. *Deposuit potentes de sede.* Bóg odwoła wodzów tchórzliwych, a na miejsce ich postawi ludzi silnych, którzy na Nim opierać się będą.

— Uprzedzam was, panowie, upprzedzam was oficerowie, podoficerowie, żołnierze, którzy mnie słuchacie, upprzedzam cię generalissimusi armij pingwińskich, godzina wybiła! Jeśli nie posłuchacie rozkazów Boga, jeśli w Jego imieniu nie złożycie z urzędów ludzi niegodnych, jeśli nie ustanowicie w Pingwinji rządu religijnego i silnego, Bóg chociaż zniszczy, co na zagładę skazał, jednak ocali swój naród; ale ocali go bez was, przez pokornego rzemieślnika lub prostego kaprała. Godzina wkrótce przeminie. Śpieszcie się!

Porwany tem płomiennem napomnieniem, sześćdziesiątytysięczny tłum podniósł się jak jeden mąż, ozwały się okrzyki: «Do broni! Do broni! Śmierć Pyrotom! Niech żyje Cruchol!»... i wszyscy: zakonnicy, niewiasty, żołnierze, szlachta, mieszczaństwo, pospólstwo pod nadziemskim ramieniem, błogosławiącym z kazalnicy, intonując hymn *Ocalmy Pingwinję*, wybiegli z bazyliki i wzdłuż brzegów rzeki pociągnęli do Izby deputowanych.

Pozostawszy sam w opróżnionej nawie, mądry Cornemuse, wznosząc ręce do nieba, szepnął złamanym głosem:

— *Agnosco fortunam ecclesiae pingucianae.* Aż nazbyt jasno widzę dokąd nas to wszystko doprowadzi.

Szturm, jaki święta falanga przypuściła do izby prawodawczej został odparty. Gwałtownie naciskani przez czarne bandy i straż Alca, napastnicy uciekali w popłochu, a gdy towarzysze nadbiegli z przedmieść, mając na czele Phoenixa, Dagoberta, Lapersonne'a i Varambille'a rzucili się na nich i dokończyli ich porażki. Panowie de la Trumelle i d'Ampoule zabrani zostali na odwach. Książę de Boscenos po bohaterskiej walce, padł z rozstrzaskaną głową na zakrwawiony bruk ulicy.

W uniesieniu zwycięstwa, towarzysze wraz z licznymi przekupniami ulicznymi i posłańcami, całą noc przebiegali bulwary, obnosząc Maniflorę w triumfie, tłukąc szyby kawiarni i latarni przy okrzykach «Niech zginie Crucho! Niech żyje socjalka!» Antypyroci również przebiegali miasto, przewracając kioski z dziennikami i słupy afiszowe.

Był to widok, któremu zimny rozum przyklasnąć nie mógł i który zdolnym był zasmucić radców miejskich, troskliwych o ład i porządek dróg i ulic; najsmutniejszym jednak dla ludzi serca był widok obłudników, co z obawy razów w jednakiej odległości od obu obozów się trzymali i którzy, okazując się takimi egoistami i tchórzami, chcieli jeszcze, by podziwiano szlachetność ich uczuć i wzniosłość ich duszy. Tarli oni sobie oczy cebulą, usta wykręcali w rybi pyszczek, hałaśliwie ucierali sobie nosy i z głębi

brzucha dobywając głosu, jęczeli: «O Pingwini, zaprzestańcie tych walk bratobójczych; przestańcie szarpać łono matki waszej!», jakgdyby ludzie mogli żyć razem bez klótni i sprzeczek, jakgdyby niezgody wewnętrzne nie były koniecznym warunkiem narodowego życia i postępu obyczajów; lotry obłudni, proponujący kompromis między słusznem a niesłusznem, w taki sposób ubliżali słusznosci w jej prawach, a niesłusznosci w jej odwadze. Jeden z tych obłudników, bogaty i możny Machimel, piękny tchórzostwem, górował nad innymi, jak kolos bólu; lzy przezeń wylane utworzyły u jego stóp zarybione stawy, a westchnienia jego przewracały krążące po nich rybackie łodzie.

Podczas tych niespokojnych nocy, Bidault-Coquille na szczycie swej starej sikawki pożarnej, pod niebem pogodnem, gdy spadające gwiazdy odbijały się na kliszach fotograficznych — Bidault-Coquille sam czcił się w sercu swoim. Walczył za sprawiedliwość, kochał i był kochany miłością wzniosłą. Obelgi i potwarz pod niebo go wynosiły, karykatura jego widniała w kioskach dzienników, obok karykatur Colombana i pułkownika Hastaing: antypyroci głosili w gazetach, że otrzymał pięćdziesiąt tysięcy franków od wielkich finansistów żydowskich. Reporterzy pism wojskowych zapytywali urzędowych uczonych o jego wartość naukową; i ci odmawiali mu wszelkiej znajomości planet, nie uznawali jego najtrwalszych obserwacyj, jego najpewniej-

szych odkryć, potępiali jego najmądrzejsze i najplodniejsze hipotezy. Pod pochlebniemi ciosami nienawiści i zawiści, Bidault-Coquille nie posiadał się ze szczęścia.

Patrząc na rozciągnięty u jego stóp ogromny, czarny przestwór, mnóstwem światełek usiany, nie myślał o tem, ile noc dużego miasta kryje ciężkich snów, bolesnych bezsenności, próżnych marzeń, radości zawsze zmaconych i żądź przeróżnych.

— W tym to ogromnym grodzie szepnął — słuszność i bezprawie wypowiedziały sobie walkę.

I przeciwstawiając różnorodnej i pospolitej rzeczywistości poezję prostą a wspaniałą, przedstawił sobie sprawę Pyrota jako walkę dobrych i złych aniołów; — czekał wieczystego triumfu Synów światła i wieszował sobie, że jest Synem dnia, pokonywającym Synów nocy.

ROZDZIAŁ X

RADCA SĄDOWY CHAUSSEPIED

Strachem dotąd zaślepieni, nieprzezorni i głupi republikanie, wobec zastępców kapucyna Douillarda i stronników księcia Crucho, otwarli oczy i zrozumieli wreszcie prawdziwe znaczenie sprawy Pyrota. Deputowani, od dwóch lat bledący przed wyciem patrijotycznych tłumów, nie stali się odważniejszymi, ale zmienili rodzaj tchórzstwa; ministerjum Robin Mielleux czynili odpowiedzialnem za bezład, do którego sami przy-

czynili się swojemi ustępstwami i którego twórcom nieraz z łękiem winszowali. Zarzucali mu, że republikę wystawił na niebezpieczeństwo przez słabość swoją, która była ich słabością i przez ustępstwa, które narzucili mu byli; inni nie byli pewni, czy nie leży w ich interesie wierzyć raczej w niewinność Pyrota, niż w jego winę i odtąd spokoju im nie dawała myśl, że ten nieszczęśliwy był może skazany niewinnie i pokutuje w swej klatce za cudze zbrodnie.

— Spać mi to nie daje — mawiał w zaufaniu do kilku członków większości, minister Guillaumette, marzący o zastąpieniu swego zwierzchnika.

Zacni ci prawodawcy obalili gabinet i prezydent republiki, na miejsce Robina Mielieux powołał zagorzałego republikanina o bujnej brodzie, imieniem La Trinité, który, jak większość Pingwinów, ani słowa nie rozumiał z całej sprawy, ale był zdania, że istotnie za dużo w niej mnichów.

Przed opuszczeniem ministerjum, jeneral Grea-tauk dał ostatnie polecenie jeneralowi Panther, szefowi sztabu.

— Odchodzę, a ty zostajesz — rzekł ściskając mu rękę. Sprawa Pyrota jest moją córką; powierzam ci ją; jest godna twej miłości i starań; jest piękna. Nie zapomnij, że piękność jej szuka cienia, lubuje się w tajemniczości i chce zostać w osłonie. Oszczędzaj jej wstydlivość. Już i tak dość niedyskretnych spojrzeń zbez-

cześciło jej wdzięki... Panther, pragnąłeś dowodów i otrzymałeś je. Masz ich dużo, masz ich zanadto. Przewiduję natrętnie wtrącania się, niebezpieczne ciekawości. Na twojem miejscu, zniszczyłbym wszystkie te akty. Wierz mi, najlepszym dowodem jest nie mieć go wcale. Jest to jedyny dowód, nad którym się nie rozprawia.

Niestety! Jenerał Panther nie rozumiał mądrości tych rad. Przyszłość miała potwierdzić przewidywania Greatauka. Wszedłszy do ministerjum, La Trinité zażądał aktów sprawy Pyrota.

Péniche, jego minister wojny, odmówił w imię wyższych interesów obrony narodowej, mówiąc, że akta te pod strażą jenerała Panther, stanowią same, największe archiwum świata. La Trinité zbadał proces jak mógł, i nie zgłębiwszy go nawet, podejrzewał w nim niedokładności. Zgodnie więc ze swym prawem i przywilejami, nakazał jego rewizję. Natychmiast Péniche, minister wojny, oskarżając go o ublżenie armji i zdradę ojczyzny, cisnął mu w głowę swoją tekę. Zastąpiony został przez drugiego, który toż samo uczynił, potem nastąpił trzeci i ten poszedł za temi przykładami, a i następni aż do siedemdziesiątego, zachowali się jak ich poprzednicy, tak że czcigodny La Trinité jęczał tylko pod stosem wojowniczych tek.

Siedemdziesiąty pierwszy minister wojny, van Julep, pozostał na stanowisku nie dlatego, że się nie zgadzał z tyloma tak zacnymi kolegami, lecz, że ci polecili mu zdradzić szlachetnie swe-

go prezydenta, okryć go hańbą i wstydem, a rewizję pokierować na chwałę Greatauka, ku zadowoleniu antypyrotów, na korzyść mnichów i gwoli przywrócenia księcia Crucho.

Jeneral van Julep, obdarzony wielkimi zaletami wojskowemi, nie był dość sprytny, by używać subtelnych sposobów i doskonałych metod Greatauka. Myślał jak jeneral Panther, że trzeba dowodów dotyczalnych przeciwko Pyrotowi, że nigdy nie można mieć ich za dużo, że nigdy nie można mieć ich dość. Ten pogląd wyraził swemu szefowi sztabu, który aż nazbyt skwapliwie podzielił jego zapatrywanie.

— Panther — rzekł — nadchodzi chwila, w której będziemy potrzebowali licznych, bardzo licznych dowodów.

— Dobrze, jenerale — odrzekł Panther — uzupełnię moje akta.

W sześć miesięcy później, dowody przeciw Pyrotowi zajmowały dwa piętra ministerjum wojny. Podłoga zapadła się pod ciężarem aktów i zwalone dowody zgmiotły swą lawiną dwóch szefów sekcji, czternastu szefów kancelarji i sześćdziesięciu ekspedjentów, zajętych na parterze przeróbką kamaszy dla pułku strzelców. Trzeba było podeprzeć mury obszernego budynku. Przechodnie ze zdumieniem patrzyli na wielkie belki, na olbrzymie podpórki skośnie przyparte do dumnej fasady teraz chwiejącego i walącego się gmachu, które zajmowały pół ulicy i tamowały ruch powozów i pieszych, a dla

automobilów stanowiły przeszkodę, o którą rozbiły się wraz z pasażerami.

Sędziowie, którzy skazali Pyrota, nie byli właściwie sędziami, lecz wojskowymi. Sędziowie Colombana byli sędziami, ale mizernymi sędziami, w nędznej, czarnej szacie, jak zamiatacze zakrystji, nędzota sędziowska, sędziowskie głodomory. Ponad nimi byli wyżsi sędziowie, na czerwonej swej sukni noszący gronostajowe peleryny. Ci, słynni z wiedzy i stanowiska, składali sąd, którego imię straszną wyrażało potęgę. Zwał się sądem kasacyjnym, co oznaczało, że jest młotem, zawieszonym nad sądami i wyrokami wszystkich innych: jurysdykcyj.

Jeden z tych wielkich, czerwonych sędziów najwyższego sądu, nazwiskiem Chaussepied, wiódł wtedy na przedmieściu Alca życie skromne i ciche. Dusza jego była czysta, serce uczciwe, umysł trafny. Gdy kończył studjowanie swych aktów, grał na skrzypcach i hodował hiacynty. W niedzielę chodził na obiady do sąsiadek swych, panien Halbiroze. Starość jego była zdrowa i pogodna; przyjaciele wychwalali łagodność jego charakteru.

Od jakiegoś czasu jednak był zirytowany i smutny; jeśli przeglądał gazetę, różowa, pełna twarz jego ściągała się w bolesne zmarszczki i ciemniała purpurą gniewu.

Pyrot był tego powodem. Radca Chaussepied nie mógł pojąć, by oficer popełnił tak niecny czyn, jak wydanie ośmdziesięciu tysięcy wię-

zek siana sąsiedniemu i wrogiemu narodowi, jeszcze mniej rozumiał, by nędznik ten mógł znaleźć życzliwych obrońców w Pingwinji. Myśl, że w ojczyźnie jego istniał taki Pyrot, taki pułkownik Hastaing, taki Colomban, Kerdanic, Phoenix, psuła mu jego hiacynty, skrzypce, niebo i ziemię, przyrodę całą i obiady panien Hal-biroze.

Otóż, gdy proces Pyrota został wniesiony przez ministra sprawiedliwości przed sąd kasacyjny, właśnie radcy Chaussepied przypadło zbadać go i wykryć błędy procedury, jeżeli jakie popełniono. Chociaż rzetelny i uczciwy, o ile nim być można, długiem nawykniem wyćwiczony w pełnieniu swych obowiązków sędziowskich, bez nienawiści ani względów, spodziewał się znaleźć w aktach dowody winy pewne, o dotykanej przewrotności. Po wielu trudnościach i kilkakrotnej odmowie jenerała van Julepa, radca Chaussepied otrzymał wreszcie akta procesu. Zebrane i ułożone były one w liczbie czterestu milionów sześćset dwudziestu sześciu tysięcy trzystu dwunastu. Badając je, sędzia był naprzód zdziwiony, potem zdumiony, zmieszany. Znajdował w aktach prospekty magazynów mód i dzienników, ryciny mód, torebki od bakalji, stare korespondencje handlowe, kajety szkolne, papiery do pakowania, szklany papier do czyszczenia posadzek, karty do gry, sześć tysięcy egzemplarzy *Sennika*, ale ani jednego dokumentu, w którym byłaby mowa o Pyrocie.

ZAKOŃCZENIE

Wyrok skasowano i Pyrota uwolniono z klatki. Antypyroci nie uznali się za pobitych. Sędziowie wojskowi powtórnie sądzili Pyrota. W tej drugiej rozprawie Greatauk przeszedł samego siebie. Uzyskał drugi wyrok skazujący, a uzyskał go, oświadczając, że dowody przedstawione kasacji, były bez wartości i, że prawdziwych nie przedstawiono, ponieważ te muszą pozostać tajne. Zdaniem znawców nigdy jeszcze nie wykazał był takiej zręczności. Przy wyjściu z sądu, gdy krokiem wolnym, z rękoma na plecach skrzyżowanymi przechodził wśród ciekawych przez szeroki korytarz gmachu, kobieta w czerwonych szatach, z twarzą szczelnie czarną woalką osłoniętą, rzuciła się nań i wywijając nożem kuchennym zawołała:

— Giń nędzniku!

Była to Maniflore. Zanim obecni zrozumieli, co się dzieje, jeneral złapał ją za rękę i z pozorną łagodnością ścisnął ją tak mocno, że nóż wypadł z obolałej ręki. Poczem podniósł go i podając Maniflorze, rzekł z ukłonem:

— Pani—upuściłaś sprzęt kuchenny.

Nie mógł już przeszkodzić odprowadzeniu bohaterki na posterunek policyjny, ale kazał wypuścić ją natychmiast i użył potem całego swego wpływu, by powstrzymać dochodzenie sądowe.

Drugi wyrok, potępiający Pyrota, był ostatniem zwycięstwem Greatauka.

Radca Chaussepied, który niegdyś tak kochał był dzieci Marsa i tak cenil ich sprawiedliwość, teraz wściekły na sędziów wojskowych, łamał wszystkie ich wyroki, jak małpa rozgryza orzechy. Po raz drugi rehabilitował Pyrota; gdyby trzeba było, rehabilitowałby go pięćset razy.

Wściekli, iż byli tchórzami, że dali się oszukiwać i wyszydzać, republikanie zwrócili się przeciw mnichom i proboszczom; deputowani wydali przeciw nim surowe prawa, skazujące na wydalenia, rozdział od Państwa i konfiskaty. Zdarzyło się, co przewidział był ojciec Cornemuse. Poczciwy ten mnich wygnany został z lasu des Conils. Urzędnicy podatkowi skonfiskowali jego retorty i kolby, a zwykli dostawcy, likwidując rachunki, podzielili między sobą butelki likieru Świętej Orberozy. Pobożny dystylator stracił przytem owe trzy i pół miljona franków rocznego dochodu, jakie mu przynosił jego drobny przemysł. Ojciec Agaric poszedł na wygnanie, pozostawiając szkołę swoją w świeckich rękach, które powoli doprowadziły ją do upadku. Odłączony od Państwa żywiciela, Kościół Pingwinji wysechł, jak kwiat święty.

Teraz zwycięscy obrońcy niewinnego poczęli szarpać się między sobą i wzajemnie obrzucać się obelgami i potwarzami. Gwałtowny Kerdanic rzucał się na Phoenixa, gotowy go pożreć. Wielcy Żydzi i siedmuset Pyrotów ze wzgardą odwró-

cili się od socjalistów, których pomocy niedawno pokornie wzywali.

— Nie znamy was więcej! — mówili. — Dajcie nam pokój z waszą sprawiedliwością socjalną. Sprawiedliwość socjalna — to obrona bogactw.

Wybrany na deputowanego i przywódcę nowej większości, towarzysz Larrivéé, został przez Izbę i opinię ogłoszony prezydentem Rady. Na tem stanowisku okazał się energicznym obrońcą sądów wojskowych, które skazały były Pyrota. Socjaliści, dawni towarzysze jego, zażądali więcej sprawiedliwości i wolności dla urzędników państwowych i dla ludzi z ręcznej pracy żyjących: Larrivéé zwalczał ich żądania w gorącej przemowie:

— Wolność — mówił — nie jest samowolą. Między ładem a bezładem wybór mój dokonany; rewolucja — to niemoc; gwałt jest najgroźniejszym wrogiem postępu. Przez gwałt nic się nie otrzymuje. Panowie, kto, jak ja, pragnie reform, przede wszystkim winien się przyczynić do uspokojenia wzburzonej opinji, co osłabia rządy, tak, jak gorączka wyczerpuje chorego. Czas już uspokoić porządných ludzi.

Przemowę tę zagłuszono oklaskami.

Rząd Rzeczypospolitej dalej podlegał kontroli wielkich towarzystw finansowych, armja poświęcona była wyłącznie obronie kapitału, flota przeznaczona jedynie do dostarczania obstalunków hutom żelaznym. Bogaci nie chcieli płacić słusznie

przypadającej na nich części podatków, więc biedni, jak dawniej, płacili za nich.

Bidault-Coquille tymczasem, ze szczytu swej sikawki pożarnej, pod mirjadami gwiazd nocnych, ze smutkiem patrzył na uśpione miasto. Maniflora, trawiona potrzebą nowych poświęceń i nowych ofiarności, porzuciła go była i w towarzystwie młodego Bułgara, pojechała do Sofji wnosić sprawiedliwość i zemstę. Nie żałował jej, przekonawszy się, po sprawie, że jest mniej piękna z kształtów i ducha, niż to sobie wyobrażał z początku. Wrażenia i uczucia jego zmieniły się na niekorzyść także co do innych form i innych myśli. A najboleśniejsem dlań było to, że siebie samego nie uważał już za tak pięknego i wzniosłego, jak myślał.

I dumał:

— Miałeś się za wzniosłego Bidault-Coquille, kiedy miałeś jedynie naiwność i dobrą wolę. Z czegoś byłeś dumny, Bidault-Coquille? Że jeden z pierwszych wiedziałeś, że Pyrot jest niewinny, a Greatauk — nędznik? Ależ trzy czwarte obrońców Greatauka przeciw siedmiuset Pyrotom, wiedziało o tem lepiej od ciebie. Nie o to szło. Z czegoś więc byłeś tak dumny? Żeś śmiały wypowiedzieć myśl swoją? Jest to odwaga cywilna, a ta, jak i odwaga wojenna jest czystym skutkiem nieostrożności. Byłeś nieostrożny. No, dobrze, ale niema powodu się tem przechwalać. Nieostrożność twoja była niewielka, nie narażała cię na straszne niebezpieczeństwa, nie ry-

zykowałeś swojej głowy. Pingwini stracili już tę okrutną i krwiożerczą dumę, która dawniej nadawała tragiczną wielkość ich rewolucjom; jest to fatalny wynik osłabienia wierzeń i charakterów. Dlatego, że na jednym punkcie wykazałeś więcej przenikliwości niż zwykły ogół, czyż trzeba zaraz uważać się za umysł wyższy?

Obawiam się raczej, Bidault-Coquille, żeś dał dowód wielkiego niezrozumienia warunków moralnego i intelektualnego rozwoju ludów. Wyobrażałeś sobie, że krzywdy społeczne nawieszane są jak paciorki i, że dość zdjąć jedną, by przesunąć cały różaniec. Jest to pojęcie bardzo naiwne. Pochlebiałeś sobie, że za jednym zamachem zaprowadzisz sprawiedliwość w twoim kraju i w świecie całym. Byłeś porządnym człowiekiem, spirytualistą uczciwym, z niewielkim zapasem filozofji doświadczalnej. Ale wejrzyj w siebie i przyznaj, że miałeś jednak swój spryt i, że w naiwności twojej była pewna chytrość. Sądziłeś, że robisz dobry interes moralny. Mówiłeś sobie: Oto jestem sprawiedliwy i odważny raz na zawsze. Będę mógł spokojnie zażywać potem szacunku ogółu i pochwał historii. A teraz, kiedy utraciłeś twoje złudzenia, kiedy wiesz, że ciężko jest poprawić błędy i winy, i że ciągle rozpoczynać trzeba na nowo, powracasz do twoich asteroidów. Masz rację, Bidault-Coquille, masz rację, ale powróć do nich skromnie.

CZASY NOWOŻYTNE: PANI CÈRES

Znośne są tylko ostateczności.
Hrabia Robert de Montesquiou.

ROZDZIAŁ I

SALON PANI CLARENCE

Pani Clarence, wdowa po wysokim urzędniku republiki, lubiła przyjmować; co czwartek zbierało się w jej salonie grono przyjaciół skromnej kondycji, gustujących w rozmowie. Z dam bywających u niej, bardzo różnych wiekiem i stanem, żadna nie miała pieniędzy, a wszystkie przechodziły smutne koleje. Była między niemi księżna, wyglądająca na kabalarkę, i kabalarka, wyglądająca na księżnę.

Pani Clarence dość piękna jeszcze, by zachować dawne stosunki miłosne, nie była już nią na tyle, by mogła zawierać nowe; zażywała też cichego szacunku. Miała córkę bardzo ładną i bez posagu, której lękali się goście; Pingwini bowiem, jak ognia bali się ubogich panien. Ewelina Clarence miarkowała, że trzymają się od niej zdaleka; domyślała się przyczyny i ze wzgardą podawała im herbatę. Zresztą niewiele pokazywała się na tych przyjęciach, rozmawiała tylko z damami lub z bardzo młodymi ludźmi.

Jej krótka i dyskretna obecność nie przeszkadzała rozmawiającym, którzy myśleli, że albo jako panna nie rozumie, albo, jako mająca lat dwadzieścia pięć, wszystko słyszeć może.

Pewnego czwartku rozmawiano więc w salonie pani Clarence o miłości: panie mówiły o niej z dumą, delikatnie i tajemniczo, panowie niedyskretnie, z zarozumiałością, i każdy interesował się w tej rozmowie tem tylko, co sam mówił. Szafowano hojnie dowcipem, ciskało świetnymi zwrotami i ożywioną repliką.

Ale gdy odezwał się profesor Haddock — pobił wszystkich.

— Z naszymi ideami o miłości — rzekł — jest to samo, co z poglądami o reszcie rzeczy; polegają one na dawnych nawyknieniach, których nawet pamięć już się zatarła. W kwestji moralności, przepisy, które straciły rację bytu, zobowiązania najmniej potrzebne, przymusy najszkodliwsze, najokrutniejsze, są z powodu głębokiej swej starożytności i tajemniczości swego pochodzenia najmniej zaprzeczane i najmniej sporne, najmniej badane, i najbardziej szanowane. Przekroczyć ich nie można bez narażenia się na najsurowsze potępienie. Cała moralność, tycząca się stosunku płci, opiera się na zasadzie, że kobieta, raz nabyta, należy do mężczyzny, że jest jego własnością, jak koń jego i zbroja. A że to przestało być prawdą, wynikają stąd absurda takie, jak małżeństwa, czyli kontrakt sprzedaży kobiety mężczyźnie — z umowami, ogranicza-

jącami prawa własności, które wprowadzono później wskutek stopniowego osłabienia posiadacza.

— Zobowiązanie nałożone na dziewczynę, by małżonkowi przyniosła dziewictwo swoje, pochodzi z czasów, gdy poślubiano dziewczęta jak tylko były dojrzałe. Smiesznem jest, by dziewczyna, wychodząca zamąż w wieku dwudziestu pięciu, trzydziestu lat, podlegała temu zobowiązaniu. Powiecie, że jest to dar, który małżonkowi jej, jeśli go wreszcie znajdzie, miłym będzie, że mu pochlebi?! Ależ widzimy ciągle mężczyzn, ubiegających się o kobiety zamężne i bardzo zadowolonych, że biorą je takimi, jakimi są.

— Dziś jeszcze obowiązek dziewcząt określa się w moralności religijnej przez tę starą wiarę, że Bóg, najpotężniejszy z wodzów wojny, jest wielożeńcem, że dla siebie zachowuje wszystkie dziewictwa i że brać można to tylko, co z nich pozostawił. Wiara ta, której ślady pozostały w kilku metaforach mowy mistycznej, dziś zatracona jest u większości ludów cywilizowanych; przeważa jednak dotąd w wychowaniu dziewcząt, nie tylko u rodzin wierzących, ale nawet u wolnomyślnych, którzy najczęściej wolno nie myślą, z tej prostej przyczyny, że nie myślą wcale.

— Mówią, że dziewczyna jest czysta i przyzwoita, kiedy nic nie wie. Pielęgnuje się jej nieświadomość. Ale mimo wszelkie starania,

najporządniejsze dziewczęta są uświadomione, skoro nie można ukryć przed nimi własnej ich natury, własnych stanów, własnych wrażeń. Wiedzą, ale wiedzą źle, wiedzą naopak. Tyle tylko daje im troskliwa kultura...

— Panie — ozwał się gwałtownie, z miną ponurą, Józef Bontourli, jeneralny skarbnik Alca—bywają dziewczęta niewinne, zupełnie niewinne i nieuświadomione; i to jest wielkie nieszczęście. Znałem takie trzy; wyszły zamąż: było to straszne. Jedna, gdy mąż zbliżył się do niej, wyskoczyła z łóżka przerażona i zawołała przez okno: «Ratujcie! Ten pan zwarzował!» Drugą zastano nazajutrz po ślubie w koszuli, na szafie, z której zejść nie chciała. Trzecia miała tę samą niespodziankę, ale zniosła wszystko bez skargi. Tylko w kilka tygodni po ślubie szepnęła do ucha swej matki: «Między mną a mężem moim dzieją się rzeczy niesłychane, rzeczy, których wyobrazić sobie nie można, rzeczy, których tobie nawet powiedzieć nie śmiem». Nie chcąc gubić swej duszy, zwierzyła się z nich swemu spowiednikowi i od niego dowiedziała się może z pewnym zawodem, że rzeczy te wcale nie są nadzwyczajne.

— Zauważyłem — mówił dalej profesor Had-dock — że Europejczycy wogóle, a szczególnie Pingwini, zanim zajmować się zaczęli sportami i samochodami, niczem się tak nie trudnili jak miłością. Jest to nadawać zbyt wielką wagę rzeczy, która jest małoważna.

— Więc mój panie—zawołała pani Crémier zaperzona — gdy kobieta oddaje się cała, pan uważa, że niema w tem nic ważnego.

— Nie, moja pani, może to mieć swoje znaczenie—odrzekł profesor Haddock—ale trzebaby jeszcze wiedzieć, czy oddając się, daje ona ogród czarownicy czy zagon ostu i chwastów. Zresztą czy nie nadużywa się tego słowa «oddawać»? W miłości kobieta raczej używa się, niż oddaje. Naprzykład, piękna pani Pensée...

— To moja matka! — rzekł wysoki jasnowłosy młodzieniec.

— Szanuję ją niezmiernie, mój panie — odrzekł profesor;—nie obawiaj się pan, bym o niej choć jedno obrażające powiedział zdanie. Ale pozwól, że ci powiem, że wogóle opinia synów o ich matkach jest fałszywa; nie zastanawiają się dość nad tem, że matka jest matką dlatego, że kochała i że jeszcze kochać może. Tak jest jednak i smutno byłoby, gdyby było inaczej. Zauważyłem, że córki, przeciwnie, nie myślą się co do zdolności kochania u swych matek i co do użytku jaki z tej zdolności robią: są rywalkami, mają ich spostrzegawczość.

Niecznośny profesor długo jeszcze mówił, dodając nieprzyzwoitości do niezręczności, imperzynencje do niegrzeczności, gardząc tem, co szacunku godne, a szanując to, czem gardzić należy; ale nikt go nie słuchał.

Przez ten czas Ewelina Clarence, w swym skromnym bez wdzięku pokoju, w pokoju, gdzie

zyła niekochana, a który, jak wszystkie panieńskie pokoje, miał chłód poczekalni — Ewelina przeglądała roczniki klubów i prospekty zakładów dobroczynnych, by z nich nabyć wiadomości o sferach towarzyskich. Pewna, że matka, zasklepiąca w środowisku intelektualnym i ubogiem, nie potrafi ani jej zaprodukować ani oceny nadać, decydowała się sama poszukać sfery sprzyjającej do wyrobienia sobie stanowiska; zarazem uparta i spokojna, bez marzeń, bez złudzeń, upatrywała w małżeństwie tylko sposób wstąpienia na arenę życia i jasno zdawała sobie sprawę z przypadkowości, trudności i szans swego przedsięwzięcia. Posiadała sposoby podobania się i chłód, pozwalający posługiwać się niemi. Słabostką jej było, że nie umiała patrzeć bez olśnienia na wszystko, co miało pozór arystokratyczny.

Gdy znalazła się sama z matką, rzekła:

— Mamo — pójdziemy jutro na rekolekcje ojca Douillard.

ROZDZIAŁ II

FUNDACJA ŚWIĘTEJ ORBEROZY

Rekolekcje wielbnego ojca Douillard gromadziły, w piątek o dziewiątej wieczór śmietankę towarzystwa Alca w arystokratycznym kościele Świętego Maëla. Księżę i księżna de Boscenos, wicehrabia i wicehrabina Olive, pan Bigourd, pan i pani de la Trumelle nie opusz-

czali ani jednej; widziało się tam kwiat arystokracji i piękne baronowe żydowskie, które tu wnosiły swój blask, bo żydowskie baronowe Alca były chrześcijankami.

Celem tej rekolekcji, jak każdej rekolekcji religijnej, było dostarczyć ludziom światowym trochę skupienia, by o zbawieniu swem pomyśleć mogli; — miała też ona ściągnąć błogosławieństwo świętej Orberozy, kochającej Pingwinów, na tyle wielkich i znamienitych rodów. Z gorliwością prawdziwie apostołską, wielebny ojciec Douillard przeprowadzał swe dzieło: przywrócenie świętej Orberozie jej prerogatyw patronki Pingwinji i wzniesienia na jednym z pagórków miasta monumentalnego kościoła, poświęconego jej chwale. Usiłowania jego uwieńczone zostały niezmiernem powodzeniem; dla dokonania tego wielkiego, narodowego przedsięwzięcia zjednał przeszło sto tysięcy uczestników i zebrał więcej niż dwadzieścia milionów franków!

W chórze kościoła Świętego Maëla wznosi się połyskujący od złota, błyszczący od drogich kamieni, otoczony światłem i kwiatami nowy relikwiarz Świętej Orberozy.

Oto co czytamy w *Historji cudów patronki Alca*, przez księdza Plautain.

«Dawny relikwiarz przetopiono podczas Terroru i drogocenne szczątki świętej wrzucono w stos płonący na placu de Grève; ale uboga pobożna niewiasta, imieniem Rouquin, poszła w nocy, z narażeniem życia, wybrać z zarzewia

zwęglone kości i popioły świętej; przechowała je w słoju konfitur i z chwilą powrotu narodu do religijności oddała je wielebnemu proboszczowi kościoła Świętego Maëla. Jejmość Rouquin pobożnie zakończyła swój żywot: sprzedawała gromnice i wynajmowała krzesła w kaplicy Świętej».

Pewnem jest, że za czasów ojca Douillard, mimo zaniku wiary, kult Świętej Orberozy, od trzystu lat przez krytykę kanonika Princeteau i milczenie uczonych Kościoła zaniedbany, odradzał się na nowo i otoczony był większą wspa- nialością, większą uroczystością, większą żarli- wością niż kiedykolwiek. Teraz teologowie na jotę już nie utracali legendy; przyjmowali za stwierdzone wszystkie fakty, przytoczone przez księdza Simplicissimusa; wierzyli mianowicie, na wiarę tego księdza, że djabeł w postaci mnicha porwał świętą do jaskini i dopóty z nią walczył, póki nie odniosła nad nim zwycięstwa. Nie bróździly im ani miejsca ani daty i wy- strzegali się przypisywać wiedzy to, co niegdyś przyznawał jej kanonik Princeteau; zbyt dobrze wiedzieli, dokąd to prowadzi.

Kościół jarzył się od światła i kwiatów. Tenor z opery śpiewał sławny hymn świętej Orberozy:

*Dziewico Raju
Przyjdź nocą ciemną
I jako księżyc
Nad nami świeć.*

Panna Clarence umieściła się obok swej matki przed wicehrabiną Cléna i długo klęczała na swym klęczniku, bo poza rozmodlonej, właściwa jest dla dziewic czystych i korzystnie uwydatnia kształty.

Wielebny ojciec Douillard wszedł na ambonę. Był to znakomity mówca; umiał ugodzić, zadziwić, wzruszyć. Kobiety uskarżały się, że przeciwko grzeszkom miłości występuje ze zbytnią szorstkością, w wyrażeniach dosadnych, które zmuszały je rumienić się. Niemniej jednak lubiły mnicha.

W kazaniu swem traktował o siódmej próbie świętej Orberozy, jak kuszona była przez smoka, którego szła zwalczać. Nie uległa jednak i rozbroiła potwora.

Mówca bez trudu wykazał, że z pomocą świętej Orberozy, silni cnotami, które za jej przyczyną w nas wstępują, i my pokonamy smoków, czyhających na nas i gotowych nas pożreć: smoka zwątpienia, smoka bezbożności, smoka zaniedbania obowiązków religijnych. Wydobył stąd dowód, że fundacje, będące wyrazem dewocji dla świętej Orberozy, są dziełem odrodzenia socjalnego i zakończył gorącym wezwaniem do «wiernych, pragnących być narzędziami miłosierdzia boskiego, podporami i żywicielami fundacji świętej Orberozy, by dostarczali fundacji tej potrzebnych środków, by rozwinąć się mogła i zbawienne wydała owoce».

Po skończonej ceremonji wielebny ojciec Douillard pozostał w zakrystji na usługi wier-

nych, pragnących otrzymać wyjaśnienia o fundacji lub chcących wnieść dla niej swój datek. Panna Clarence miała słówko do powiedzenia wielebnemu ojcu Douillard, wicehrabina Cléna także; ciżba była wielka, tworzone długie łańcuch. Szczęśliwym trafem panna Clarence i wicehrabicz Cléna znaleźli się obok siebie, może nieco ściśnieni. Ewelina zauważyła była tego eleganckiego młodzieńca, w świecie sportowym prawie tak dobrze znanego, jak jego ojciec. Cléna zauważył ją także, a że wydała mu się ładna, uklonił się, przeprosił i udał, że mu się zdaje, iż był już przedstawiony tym paniom, nie pamięta tylko gdzie. One udały także, że tak było.

W następnym tygodniu zjawił się u pani Clarence, którą miał trochę za stręczycielkę, co mu bynajmniej nie przeszkadzało i zobaczywszy Ewelinę, przekonał się, że się nie mylił, że jest bardzo ładna.

Wicehrabicz Cléna miał najpiękniejszy automobil w Europie. Przez trzy miesiące codziennie obwoził w nim panie Clarence po wzgórzach, błoniach, lasach, dolinach; z niemi przebiegał ciche ustronia i zwiedzał dawne zamki. Powiedział już Ewelinie wszystko, co powiedzieć można i starał się jak najpilniej dojść do celu. Ona nie kryła przed nim, że go kocha, zawsze kochać go będzie, jego jednego i nikogo więcej. U jego boku była poważna i drżąca. Chwilom miłosnego upojenia przeciwstawiała, gdy trzeba było, niezwalczoną obronę cnoty, świa-

domej niebezpieczeństwa. Po trzech miesiącach, w ciągu których kazał jej wsiadać, wysiadać i znów wsiadać i wysiadać, znalazł ją równie dobrze jak ster swej maszyny, ale też nie inaczej. Wymyślał niespodzianki, przygody, nagle postoje w głuchych lasach, lub u drzwi nocnych knajp, ale to wszystko nanic mu się nie zdało. Mówił sobie, że to głupio i ze złości biorąc ją znów do automobilu, wściekle odkładał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, gotów rzucić ją do rowu lub razem z nią rozbić się o drzewo przydrożne.

Pewnego dnia zaszedł do niej, by znów zabrać ją na jakąś wycieczkę; zastał ją cudowniejszą jeszcze i bardziej podniecającą, niż sobie wyobrażał; spadł na nią jak huragan na sitowie nad brzegiem stawu. Ugięła się z czarującą niemocą, dwadzieścia razy już była bliska tego, że zerwaną i złamaną uniesie ją tchnienie burzy — i dwadzieścia razy podnosiła się gibka i smagła jak trzcina; po tylu szturmach zdawało się, że lekkie tchnienie zaledwo musnęło śliczną jej łodygę; uśmiechała się słodko, jakgdyby gotowa ofiarować siebie zuchwalej ręce. Wtedy nieszczęsny jej napastnik zły, wściekły, nawpół szalony, ucieka, żeby jej nie zabić, przez omyłkę wpada na inne drzwi, do sypialnego pokoju pani Clarence, która kładła właśnie kapelusz przed lustrem; porywa ją, rzuca na łóżko i posiada, zanim ona spostrzec się zdołała, co się z nią dzieje.

Tegoż samego dnia Ewelina, prowadząc śledztwo, dowiedziała się, że wicehrabicz ma tylko dlugi, żyje za pieniądze starej kokoty i puszcza w świat nową markę automobilów.

Rozeszli się za wspólną zgodą i Ewelina na nowo zaczęła niechętnie podawać herbatę gościom swojej matki.

ROZDZIAŁ III

HIPOLIT CÉRÈS

W salonie pani Clarence rozmawiano o miłości, a mówiono o niej cudne rzeczy.

— Miłość, to ofiara — westchnęła pani Cremier.

— Wierzę — odrzekł żywo pan Bontourli.

Ale profesor Haddock wystąpił wkrótce ze swą nudną czelnością.

Zdaje mi się — rzekł — że Pingwinki okropnie dużo robią ze sobą ambarasu, od czasu, gdy dzięki przemianie, uskutecznionej przez świętego Maëla, nie niosą jajek. Jednak niema się z czego pysznić: zaszczyt ten dzielą z krowami i świniami, a nawet z drzewami pomarańczowemi i cytrynowemi, skoro nasiona tych roślin kiełkują w nasienniku.

— Ta próżność Pingwinek nie datuje się od tak odległych czasów — odrzekł pan Bontourli — datuje się ona od dnia, gdy święty apostoł dał im odzież, a i tak próżność ta długo hamowana, wybuchnęła dopiero wraz ze zbytkiem tualet

i to w małej części społeczeństwa. Bo idź pan tylko dwie mile za Alca, na wieś, podczas żniw, a zobaczysz pan czy kobiety puszą się i robią jakieś ceregiele.

Tegoż dnia, pan Hipolit Cérés kazał się przedstawić; był on deputowanym z Alca i jednym z najmłodszych członków Izby; mówiono, że jest synem szynkarza, ale on sam, adwokat, znakomity mówca, silny, okazały, z miną poważną, uchodził za zdolnego.

— Panie Cérés — rzekła gospodyni domu — reprezentujesz pan najpiękniejszy okręg Alca.

— I który codzień upiększa się jeszcze, szanowna pani.

— Niestety nie można przechadzać się w nim swobodnie — zawołał pan Bontourli.

— Dlaczego? — zapytał pan Cérés.

— Z powodu automobilów!

— Nie mów pan źle o nich — odrzekł deputowany; — są one naszym wielkim przemysłem narodowym.

— Wiem, mój panie. Dzisiejsi Pingwini przypominają mi dawnych Egipcjan. Egipcjanie, jak mówi Taine według Klemensa z Aleksandrji, którego tekst zmienił się zresztą, Egipcjanie ubóstwiali krokodyle, które ich pożerały; Pingwini ubóstwiają automobile, które ich rozgniatają. Bezwątpienia przyszłość należy do metalowego konia: Nie powróci się więcej do fiakra, jak nie powrócono do dylizansu. Automobil, który szalona chciwość przemysłowców rzuciła jak wóz

Jagernouta na wystraszone ludy i z którego próżniaki i snoby uczynili głupi i szkodliwy szyk, wkrótce spełni swą właściwą czynność i odda siłę swą na usługi całego narodu: stanie się potworem uległym i pracowitym. Ale na to, by, przestawszy być szkodliwym, stał się dobroczynnym, trzeba zbudować drogi dlań odpowiednie, szosy, których swemi gumami szarpać już nie będzie i których zatrutego pyłu nie będzie mógł do płuc ludzkich wysyłać.

— Te nowe drogi powinny być wyłącznie dlań przeznaczone, powozy mniej szybkie i wszelkie zwierzęta nie powinny być na nie dopuszczalne, należałoby ustanowić postoje i pomosty, jednym słowem stworzyć ład i harmonję w urządzeniu przyszłych dróg. Oto życzenie dobrego obywatela.

Pani Clarence sprowadziła rozmowę na temat upiększenia okręgu, reprezentowanego przez pana Cérès, który okazał entuzjazm swój dla burzenia, przebijania, budowania i przebudowywania i dla wszelkich innych owocnych przedsięwzięć.

— Budują obecnie w sposób przedziwny — rzekł — wszędzie wycinają i obsadzają majestyczne aleje. Czy widziano kiedykolwiek coś piękniejszego, jak nasze mosty z pylonami i nasze pałacyki z kopułami?

— Zapomina pan o tym wielkim pałacu, nakrytym ogromnym kloszem od melonów — mruknął z głuchą złością pan Daniset, stary amator sztuki. — Podziwiam do jakiego stopnia brzydoty

dojść może miasto nowoczesne. Alca amerykanizuje się, wszędzie niszczą to, co pozostało jeszcze wolne, niespodziane, umiarkowane, ludzkie, tradycyjne; wszędzie niszczą tę rzecz śliczną: kawałek muru z za którego wymykają się gałęzie kwitnące; wszędzie pracują nad tem, by odjąć trochę powietrza i światła, trochę przyrody, trochę pamiątek pozostałych jeszcze, trochę z naszych ojców, z nas samych, i wznoszą domy straszne, ogromne, nieczne, zakończone po wiekańsku śmieszniemi, lub zastosowanemi do nowej sztuki kopułami bez wcięć, bez profilów, ze złowrogimi występami, z koniecznymi szczytami, i rozmaite te potwory bezwstydnie wznoszą się ponad okoliczne dachy. Na wszystkich fasadach widać z obrzydliwą miękkością wystające, krągłe wyniosłości; nazywają to motywami sztuki nowej. Widziałem ja nową sztukę w innych krajach; nie jest tak brzydka. U nas tylko mamy smutny przywilej patrzenia na architekturę najbrzydszą, najmodniej i najrozmaiciej brzydka: zazdrości godny przywilej!

— Czy nie obawia się pan — zapytał surowo pan Cérés — by gorzkie te krytyki nie odwróciły od naszej stolicy cudzoziemców, napływających do niej z wszystkich krańców świata, i pozostawiających w niej miljardy?

— Bądź pan spokojny — odrzekł pan Daniset — cudzoziemcy nie przyjeżdżają podziwiać naszych budowli; przyjeżdżają do naszych kokot, krawców i knajp.

— Mamy bardzo złe nawyknięcia — westchnął pan Cérès — lubimy obmawiać się sami.

Pani Clarence, jako doskonała gospodyni domu sądziła, że czas powrócić do miłości i zapytała pana Jumel, co myśli o nowej księżce, w której pan Leon Blum żali się:

— ...Że niewytłumaczony zwyczaj — dokończył profesor Haddock — pozbawia panny z towarzystwa swobody oddawania się praktykom miłości, co czyniłyby z przyjemnością, podczas gdy dziewczęta prostego stanu oddają się im zanadto i bez zamięlowania.

— To smutne w istocie; ale niech pan Leon Blum nie martwi się zbyt. Jeśli zło jest w naszym społeczeństwie burżuazyjnym takim, jak mówi, mogę go zapewnić, że wszędzie zresztą ujrzałby bardziej pocieszający widok. U ludu, u licznego ludu miast i wsi, dziewczęta nie odmawiają sobie praktyk miłosnych.

— To demoralizacja, mój panie — rzekła pani Cremenc.

I zaczęła wychwalać niewinność pańien w wyrazach pełnych wstydlivosti i wdzięku. Było to wzruszające!

Zato wywodów profesora Haddocka na ten sam temat przykro było słuchać.

— Panny z towarzystwa — rzekł — są strzeżone i pilnowane. Zresztą mężczyźni ich nie chcą, przez uczciwość, z obawy strasznej odpowiedzialności i dlatego, że uwiedzenie panny nie przyniosłoby im honoru. Zresztą niewiadomo,

co się dzieje, z tej racji, że tego, co ukryte, się nie widzi. A to warunek konieczny dla egzystencji każdego społeczeństwa. Panny z towarzystwa, gdyby były o to proszone, byłyby przystępniejsze od mężatek, a to z dwóch przyczyn: mają więcej złudzeń, i ciekawość ich nie jest zaspokojona. Kobiety zamężne przeważnie tak źle napoczęte zostały przez swoich mężów, że nie mają odwagi rozpocząć zaraz z drugim. Ja sam kilkakrotnie natrafiałem na taką przeszkodę w moich próbach uwodzenia.

W chwili gdy profesor Haddock kończył te niesmaczne dowodzenia, panna Ewelina Clarence weszła do salonu i podała herbatę z wyrazem znudzenia, nadającym wschodni wdzięk jej urodzie.

— Ja — rzekł Hipolit Cérés, patrząc na nią — ogłaszam się rycerzem dziewic.

— «To jakiś głupiec» — pomyślała Ewelina.

Hipolit Cérés, który dotąd obracał się wyłącznie w swoim światku politycznym, wyborców i wybieranych, uważał salon pani Clarence za bardzo dystyngowany, gospodynię domu za miłą, córkę jej za osobę dziwnie piękną; stał się też częstym ich gościem i zalecał się do jednej i drugiej. Pani Clarence, którą teraz wzruszały atencje, uważała że jest sympatyczny. Ewelina nie okazywała mu żadnej życzliwości i traktowała go z dumą i lekceważeniem, co on przyjmował za maniery arystokratyczne i dystynkcję; i za to jeszcze bardziej ją podziwiał i uwielbiał.

Ten człowiek tak czynny i zajęty, przemysłował nad tem, jak zrobić tym paniom przyjemność i udawało mu się to niekiedy. Przynosił im bilety wstępu na ważniejsze posiedzenia i łoże do Opery. Pannie Clarence nastęrczył kilka razy sposobność bardzo korzystnego przedstawienia się, głównie na wielkiej zabawie, która chociaż wydana przez ministra, uznaną została za zabawę prawdziwie światową i przyniosła republice jej pierwszy sukces u eleganckiego świata.

Na tej zabawie Ewelina, bardzo wyróżniana, zwróciła na siebie uwagę młodego dyplomaty, pana Rogera de Lambilly, który, przypuszczając, że należy do światka łatwych zdobyczy, naznaczył jej schadzkę w swem kawalerskiem mieszkaniu. Wydał jej się pięknym, myślała że jest bogaty; poszła więc do niego. Trochę wzruszona, prawie zmieszana, omal nie padła ofiarą swej odwagi; a uniknęła porażki tylko przez manewr obronny, śmiało wykonany. Było to największe szaleństwo jej żywota młodej panny.

Wszedłszy w poufne koła ministrów i prezydenta, Ewelina wnosila tam przesadną arystokratyczność i pobożność, czem zyskała sympatje wysokich osobistości republiki demokratycznej i antyklerykalnej. Hipolit Cérés widząc, że ma powodzenie i zaszczyt mu przynosi, kochał ją coraz bardziej; był w niej do szaleństwa zakochany.

Odtąd, mimo wszystko, Ewelina zaczęła obserwować go bacznie, ciekawa, czy to wzmagać

się będzie. Wydawał się jej nieelegancki, nie-
delikatny, źle wychowany, ale zabiegliwy, roz-
tropny, pomysłowy i nie nudny. Szydziła jesz-
cze z niego, ale już zajmowała się nim. Pew-
nego dnia zapragnęła wystawić na próbę jego
uczucie.

Było to podczas wyborów, gdy ubiegał się,
wedle utartego wyrażenia, o odnowienie swego
mandatu do Izby. Miał przeciwnika, kiepskiego
mówcę, z początku nie niebezpiecznego ale bo-
gatego i, jak mówiono, zyskującego coraz więcej
głosów. Hipolit Cérés, odganiając z myśli za-
równo bezwzględny spokój jak próżne obawy,
podwajał jednak czujność.

Głównym jego sposobem działania były zgro-
madzenia publiczne, gdzie siłą płuc obalał prze-
ciwną kandydaturę. Komitet jego zwolywał wiel-
kie zgromadzenia opozycyjne w sobotę wieczór
i w niedzielę punktualnie o trzeciej po południu.

Otóż pewnej niedzieli, poszedłszy z wizytą
do pań Clarence, zastał Ewelinę samą w salonie.
Rozmawiał z nią ze dwadzieścia, dwadzieścia
pięć minut, gdy spojrzawszy na zegarek prze-
konał się, że jest trzy kwadransy na trzecią.
Panna stała się uprzejmą, nęcącą, podniecającą,
pełną obietnic. Cérés wzruszony wstał.

— Jeszcze chwilę — rzekła głosem łagod-
nym, nalegającym, który znów przykuł go do
krzesła. Okazała mu zainteresowanie, ciekawość,
niemoc.

Czerwieniał, bladł i wstał znowu.

Wtedy, żeby zatrzymać go, spojrzała nań wymownemi oczami, których szare źrenice mętne były i zamglone i z piersią falującą, wzruszona, nic już nie mówiła. Pokonany, oszalały padł jej do nóg; potem raz jeszcze, wyjmując zegarek, zerwał się i zaklął straszliwie:

— Ps.....! Pięć minut do czwartej, najwyższy czas zmykać.

I wybiegł na schody.

Odtąd nabrała dlań pewnego szacunku.

ROZDZIAŁ IV

MAŁŻEŃSTWO MĘŻA POLITYCZNEGO

Nie kochała go, ale widziała chętnie, że jest przezeń bardzo kochana. Była z nim zresztą powściągliwa, nietylko z powodu małej swej dla niego skłonności (bo w rzeczach miłosnych robi się wiele, pomimo obojętności) lecz z roztargnienia, z instynktu kobiecego, ze zwyczaju i ducha tradycji, żeby spróbować swej władzy i żeby zobaczyć jej skutki. Powodem tej ostrożności było, że miała go za «pyszalka», gotowego do podkreślania swej przewagi, opartej na zażyłościach i do grubjańskich wyrzutów, w razie gdyby owych zażyłości zaniechała.

Ponieważ był z przekonania antyklerykałem i wolnomyślnym, uznała za stosowne pozować na dewotkę, pokazywać mu się zawsze z książką do nabożeństwa, w czerwony safian oprawną i w dużym formacie, takim jak *Tydzień Wielka-*

nocny królowej Marji Leszczyńskiej i Marji Józefy, żony Delfina; ciągle kładła mu przed oczy listę skladek, jakie zbierała dla zapewnienia narodowego kultu świętej Orberozy.

Ewelina nie czyniła tego, by go drażnić, by mu się sprzeciwiać lub też z żartów, nawet nie przez snobizm, choć posiadała go szczyptę; ona w ten sposób odróżniała się, nadawała sobie charakter, wywyższała i, aby podniecić odwagę deputowanego, otaczała się religją, podobnie jak Brunhilda dla zwabiania Sygurda otaczała się płomieniami.

Jej śmiałość podobała mu się. Uważał, że jest piękniejsza w tej roli. Klerykalizm w jego oczach stał się rzeczą wytworną.

Ogromną większością obrany ponownie, Cérés wstąpił do Izby, która silniej skłaniała się ku lewicy, była bardziej postępową niż poprzednia i jak się zdawało, skłonniejszą do reform. Ale zaraz zrozumiał, że tak wielka gorliwość zdradza strach przed zmianami i ukryte życzenie, żeby nic nie robić, przyrzekł więc sobie uprawiać politykę, któraby odpowiadała tym aspiracjom.

Zaraz na początku sesji wypowiedział mowę, zręcznie pomyślaną i dobrze ułożoną, dowodząc, że każda reforma musi być długo odkładana; okazał się mówcą zapalonym, nawet płomiennym, jakgdyby w myśl zasady, że umiarkowanie należy zalecać z niezmierną gwałtownością. Całe zgromadzenie przyklasnęło mu.

Panie Clarence przysłuchiwały się mowie z trybuny prezydjalnej i Ewelina drgała mimo

woli na odgłos oklasków. Na tej samej ławce piękną panią Pensée przejmował dreszcz na dźwięk tego męskiego głosu.

Zeszedłszy z mównicy, Hipolit Cérès, nie odświeżywszy się nawet, przy odgłosie oklasków poszedł powitać panie Clarence w ich trybunie. Ewelina uznała, że jest mu do twarzy z tem powodzeniem i, podczas gdy nachylony nad paniami, przyjmował ich powinszowania ze skromną miną, zaprawioną szczyptą zarozumiałości, młoda panna, rzuciwszy okiem na panią Pensée, spostrzegła, że ta z upojeniem wdycha pot bohatera, dyszy z ociężałemi powiekami i głową odchyloną, gotowa zemdleć. Natychmiast Ewelina czule uśmiechnęła się do pana Cérès.

Mowa deputowanego z Alca miała wielki rozgłos. W «sferach politycznych» uznano, że jest bardzo zręczny. «Usłyszeliśmy wreszcie uczciwe słowa» — pisał wielki dziennik umiarkowany. «To kompletny program!» — mówiono w Izbie. Godzono się, że z tej przemowy przebija wielki talent. Hipolit Cérès wskazany był teraz na wodza radykałów, socjalistów, antyklerykałów, którzy mianowali go prezesem swej grupy, najznacniejszej w Izbie. Upatrzony był do piastowania teki w przyszłej kombinacji ministerjalnej.

Po długim wahaniu, Ewelina Clarence pogodziła się z myślą poślubienia pana Hipolita Cérès. Na jej gust wielki ten człowiek był nieco popolity; nie było jeszcze żadnej pewności, że do-

sięgnie kiedyś tego punktu, w którym polityka przynosi wielkie sumy pieniędzy; ale miała lat dwadzieścia siedem i dość poznała życie, by wiedzieć, że nie można być zbyt wybredną ani zanadto wymagającą.

Hipolit Cérés był sławny, Hipolit Cérés był szczęśliwy. Nie poznawano go; wytworność jego ubrania i manier wzrastała straszliwie, białe rękawiczki nosił aż do przesady. Teraz, gdy zanadto był światowcem, zmuszał Ewelinę do zastanawiania się czy nie gorzej to, niż być nim za mało. Pani Clarence zadowolona była z tych zaręczyn, spokojna o los córki i rada mieć co czwartek kwiaty w swym salonie.

Obchód ślubu wywołał jednak trudności. Ewelina była pobożna i obstawała przy błogosławieństwie Kościoła. Hipolit Cérés, tolerancki lecz wolnomyślny, uznawał tylko ślub cywilny. Były z tego powodu spory, a nawet rozdzierające sceny. Ostatnia odbyła się w pokoju panny w chwili redagowania kart zapraszających. Ewelina oświadczyła, że bez błogosławieństwa kościelnego nie uważałaby się za mężatkę. Mówiła o zerwaniu, o wyjeździe z matką zagranicę, o usunięciu się do klasztoru. Potem stała się tkliwą, słabą, błagającą; jęczała. I wszystko jęczało z nią razem w jej panińskim pokoju, kropielnica i palma święcona nad białem dziewczęcym łóżkiem, książki do nabożeństwa na półce, i na marmurze kominka biało błękitny posążek świętej Orberozy, pokonywającej smoka kapadockiego.

Hipolit Cérès był wzruszony: zmiękł, odtajał.

Piękna bólem, z oczyma błyszczącemi od łez, z rękami okręconemi różańcem z lapis lazuli, niby skuta wiarą, Ewelina rzuciła się do nóg Hipolita, i objęła mu kolana z rozwianym włossem, umierająca.

Uległ prawie; — szeptał:

— Ślub religijny, ślub kościelny, będzie można jeszcze kazać strawić moim wyborcom, ale mój komitet nie przelknie tego tak łatwo... Wreszcie, wytłumaczę im... tolerancja... konieczności towarzyskie... Oni wszyscy posyłają córki swe do katechizacji... Co zaś do teki, moja kochana, to zdaje się, że utonie ona w tej święconej wodzie.

Na te słowa Ewelina wstała poważna, szlachetna, zrezygnowana, pokonana teraz.

— Nie nalegam więcej, mój kochany.

— Zatem bez ślubu religijnego! To lepiej, daleko lepiej!

— Nie! Ale daj mnie to załatwić. Postaram się urządzić wszystko ku twojemu i mojemu zadowoleniu.

Poszła do wielebnego ojca Douillard i przedstawiła mu sytuację. Ksiądz okazał się przystępniejszym i wyrozumialszym, niż się spodziewała.

— Małżonek twój jest człowiekiem inteligentnym, człowiekiem ładu i rozsądku; przyjdzie ku nam. Ty go uświęcisz; nie darmo obdarza go Bóg małżonką chrześcijańską. Kościół, dla swych błogosławieństw ślubnych, nie zawsze żąda oka-

załości i blasku uroczystości. Teraz, gdy jest prześladowany, przystoi mu cień krypt i kręte ścieżki katakumb. Moje dziecko, po załatwieniu formalności cywilnych, przyjdź do mnie, do mojej prywatnej kaplicy, w sukni spacerowej, z panem Cérès; dam wam ślub z zachowaniem wszelkiej dyskrecji. Otrzymam od arcybiskupa potrzebne dyspensy i wszelkie ułatwienia, co się tyczy zapowiedzi, kartki spowiedniczej i t. d.

Hipolit, uważając kombinację tę za nieco niebezpieczną, zgodził się. W gruncie rzeczy pochlebiali mu to.

— Pójdę w kurtce! — rzekl.

Poszedł w surducie, w białych rękawiczkach w lakierkach i przyklękiwał.

— Skoro ludzie są uprzejmi!...

ROZDZIAŁ V

GABINET VISIRE

Stadło Cérès z przyzwoitą skromnością zajęło ładne mieszkanie w nowym domu. Cérès ubóstwiał swą żonę szczerze i spokojnie. Zresztą, często zajęty w komisji budżetowej, pracował nieraz przeszło trzy noce na tydzień nad swym raportem o budżecie poczt, z którego uczynić chciał pracę pomnikową. Ewelina miała go za «pyszałka», ale nie był jej nieprzyjemny. Złą stroną położenia było, że mieli bardzo mało pieniędzy.

Sługi republiki nie tak zbogacają się na jej służbie, jakby się zdawało. Odkąd niema monar-

chy do rozdawania łask, każdy bierze, co może, a te grabieże, ograniczone grabieżami innych, redukują się do skromnych rozmiarów. Stąd ta surowość obyczajów, znana u wodzów demokracji. Wzbogacać mogą się tylko w okresie wielkich interesów i wtedy wystawieni są na zawiść swych mniej szczęśliwych kolegów. Hipolit Cérés przewidywał w niedalekim czasie okres wielkich interesów, był z tych, co przygotowują jego przyjście; tymczasem z godnością znosił ubóstwo, a Ewelina, dzieląc je, mniej cierpiała nad tem, niżby sądzić można. Była w ciągłych stosunkach z wielbnym ojcem Douillard i uczęszczała do kaplicy świętej Orberozy, gdzie spotykała towarzystwo poważne i ludzi gotowych oddać jej usługi. Umiała ich dobierać i darzyła zaufaniem tylko tych, co byli tego godni. Nabyła doświadczenia od czasu swych przejażdżek w automobilu wicehrabiego Cléna, a głównie nabyła waloru kobiety zamężnej.

Deputowany z początku zaniepokoił się temi pobożnymi praktykami, które dzienniki demagogiczne wyszydzały, ale uspokoił się wkrótce, widząc, jak wkoło niego, wodzowie demokracji z radością zbliżają się do arystokracji i Kościoła.

Przeżywano wówczas jeden z tych okresów (powtarzających się często), w którym spostrzegano, że za daleko się zagalopowano. Hipolit Cérés przyznawał to bardzo trafnie. Polityka jego nie była polityką prześladowania, lecz polityką tolerancji. Położył był jej podwaliny w swej

wspaniałej mowie o przygotowaniu reform. Ministerjum uchodziło za zbyt postępowe. Broniąc projektów, dla kapitału uznanych za niebezpieczne, miało przeciwko sobie wielkie towarzystwa finansowe, a co za tem idzie, dzienniki wszelkich odcieni. Wobec wzrastającego niebezpieczeństwa, gabinet porzucił swe projekty, swój program, swe przekonania, ale za późno; nowy rząd był gotów. Wskutek podstępnych pytań Pawła Visire'a, natychmiast przemienionych na interpelację, i dzięki bardzo pięknej przemowie Hipolita Cérés, gabinet upadł.

Prezydent republiki, dla utworzenia nowego gabinetu, wybrał tegoż Pawła Visire'a, który, choć bardzo jeszcze młody, dwa razy już był ministrem. Był to czarujący człowiek, bywalec foyer i kulis teatralnych, bardzo światowy, dowcipny, rzadkiej inteligencji i ruchliwości. Paweł Visire utworzył ministerjum, mające uspokoić zatrwożoną opinię publiczną i określić długość fazy wyczekującej; Hipolit Cérés także do niego powołany został.

Nowi ministrowie, należący do wszystkich grup większości, przedstawiali opinie najrozmaitsze i najbardziej z sobą sprzeczne, ale byli wszyscy umiarkowani i niezdecydowanie konserwatywni. *) Z dawnego gabinetu zachowano tylko

*) Ponieważ ministerjum to, wywarło wpływ znaczny na losy kraju i świata, uważamy za stosowne podać jego skład: sprawy wewnętrzne i prezydjum Rady—Paweł Visire; sprawiedliwość—Piotr Boac; sprawy zagraniczne—Wiktor Crombile; finanse—Terrasson; oświata—Labil-

ministra spraw zagranicznych, małego, czarnego człowieka, nazwiskiem Crombile, który pracował w wielkości szale, czternaście godzin na dobę, milczący, wystrzegający się własnych agentów dyplomatycznych, strasznie niepokojących. Nie niepokoił nikogo, bo nieskończenie nieprzewidywane są narody; dorównuje im tylko brak przewidywania u rządzących.

Do robót publicznych powołano socjalistę Fortunata Lapersonne. Było wtedy zwyczajem najuroczystszym, najsurowszym i śmiem twierdzić, że najstraszniejszym i najokrutniejszym, że do każdego ministerjum, mającego zwalczać socjalizm, powoływano członka partji socjalistycznej; a to dlatego, by wrogowie majątku i własności, mieli gorycz i wstyd, że jeden z ich grona jest przeciwko nim i, by nie mogli na zgromadzeniach swoich nie ścigać wzrokiem tego, który jutro karcić ich będzie. Głęboka nieznanomość serca ludzkiego jedynie wierzyć kazała, że trudno będzie znaleźć socjalistę do objęcia tych czynności. Obywatel Lapersonne wszedł do gabinetu Visire'a z własnej chęci; nie potrzeba było żadnego przymusu. Znalazł chwalców tego czynu nawet między dawnymi przyjaciółmi swymi, tak dalece władza wywiera urok na Pingwinów!

lette; handel, poczta i telegraf — Hipolit Cérès; rolnictwo — Aulac; roboty publiczne — Lapersonne; wojna — generał Debonaise; marynarka — admirał Vivier des Muriens.

Jeneral Debonnaire objął tekę wojny; uchodził on za jednego z najinteligentniejszych jenerałów w armji, ale był całkowicie pod wpływem kobiety z półświatka, pani baronowej Bildermann, która piękna jeszcze, w wieku intryg, zaprzędana była sąsiadnemu i wrogiemu mocarstwu.

Nowy minister marynarki, czcigodny admirał Vivier des Murenes, ogólnie uważany za doskonałego marynarza, wykazywał pobożność, która wydalaby się była zbytnią w ministerstwie antyklerykalnem, gdyby republika świecka nie była uznała religji za rzecz użyteczną na morzu. Na zalecenie wielebnego ojca Douillard, swego duchowego kierownika, czcigodny admirał Vivier des Murenes okręty floty poświęcił świętej Orberozie, chrześcijańskim bardom kazał napisać psalmy ku czci świętej dziewicy z Alca, które to psalmy zastąpiły hymn narodowy w marynarce wojennej.

Ministerjum Visire'a ogłosiło się za jawnie antyklerykalne, nie szanujące wierzeń; hasłem miały być rozumne reformy.

Paweł Visire i jego koledzy pragnęli reform, i dlatego, by reform nie skompromitować, nie przedkładali ich; byli bowiem istotnie politycznymi mężami i wiedzieli, że reformy są już skompromitowane, gdy tylko się je przedłoży. Rząd ten został dobrze przyjęty, uspokoił porządnych ludzi i wpłynął na podniesienie się renty.

Zapowiedział też zamówienie czterech pancerników, rozpoczęcie kroków przeciwko socjalistom i stanowczy zamiar odrzucenia dokuczliwego podatku od dochodów. Wybór ministra finansów, Terrassona, szczególnie przychylnie przyjęła wielka prasa. Terrasson, stary minister, sławny ze swych obrotów na giełdzie, upoważniał do wielkich nadziei i zapowiadał okres wielkich interesów. Niedługo miały wezbrać mlekiem bogactwa, te trzy wymiona nowoczesnych narodów: wykup, gra giełdowa i oszukańcze spekulacje. Już przebąkiwano o dalekich wyprawach, o kolonizacji, a najśmielsze dzienniki rzucały projekt wojskowego protektoratu nad Nigrycją.

Hipolit Cérés, choć nie dał jeszcze miary swej wartości, uważany był za człowieka niepośledniego; świat wielkich interesów cenił go. Ze wszech stron winszowano mu zerwania ze stronictwami krańcowymi, z ludźmi niebezpiecznymi i zrozumienia odpowiedzialności rządowych.

Pani Cérés sama tylko błyszczała wśród dam ministerstwa. Crombille zesechł w celibacie, Paweł Visire ożenił się był bogato z córką wielkiego przemysłowca na Północy, panną Blampignon, osobą dystygowaną, szanowaną, prostą, zawsze chorą i z tego powodu przebywającą z matką na cichej, dalekiej prowincji. Inne ministrowe nie były stworzone dla rozkoszy oczów; uśmiechano się, gdy czytano w gazetach, że pani Labillette ukazała się na balu u prezydenta w uczesaniu z piórami rajskich ptaków. Pani

admiralowa Vivier des Murennnes, z dobrej rodziny, szersza niż długa, z karmazynową twarzą i głosem przekupnia, sama chodziła na targ. Jeneralowa Debonnaire długa, sucha, trędownata, nienasycenie pożądana młodych oficerów, zniszczona rozpustą i grzechami, jeśli otrzymywała objawy szacunku, to jedynie dzięki brzydocie i arogancji.

Pani Cérés była poszanowaniem i wdziękiem ministerjum. Młoda, piękna, bez zarzutu, by czarować elitę towarzystwa i tłumy ludowe łączyła wytworność tualet z wdziękiem uśmiechu.

Salony jej zapelniały wielkie finanse żydowskie. Dawała *garden-party* najszykowniejsze w całej republice; dzienniki opisywały jej tualety, a krawcy nie kazali jej płacić za nie. Chodziła na mszę, broniła kaplicy świętej Orberozy przeciwko niechęci ludowej, a w sercach arystokratycznych nieciła nadzieję nowego konkordatu.

Była istotnie ładną ze swemi złotymi włosami, szaremi źrenicami, gibka, szczupła, z krągłą kibicią; przytem cieszyła się doskonałą reputacją, którą zachowałaby nienaruszoną wobec największych pokus; tak umiała okazać się zręczną, spokojną, panią siebie.

Sesja parlamentarna zakończyła się zwycięstwem gabinetu, który odrzucił, przy jednogłośnych prawie oklaskach Izby, projekt dokuczliwego podatku, i triumfem pani Cérés, która wydała przyjęcie dla trzech przejezdnych monarchów.

SOFA FAWORYTY

Prezydent ministrów zaprosił był w czasie wakacji panią i pana Cérés dla spędzenia dwóch tygodni w górach, w małym zameczku, który najął był na sezon i w którym zamieszkiwał sam. Oplakany stan zdrowia pani Pawłowej Visire nie pozwalał jej towarzyszyć mężowi: przebywała ze swymi rodzicami w jednej z północnych prowincji. Zameczek ten należał niegdyś do kochanki jednego z ostatnich królów Alca; w salonie znajdowały się jeszcze dawniej zdobiące go meble, stała nawet sofa faworyty. Okolica była prześliczna; ładna, błękitna rzeczka l'Aiselle płynęła u stóp wzgórza, wznoszącego się nad zamkiem. Hipolit Cérés lubił łowić ryby na wędkę; przy tem monotonnem zajęciu przychodziły mu na myśl najlepsze jego kombinacje parlamentarne i najpiękniejsze krasomówcze natchnienia. Pstrągi obficie znajdowały się w rzeczce, łowił je też od rana do wieczora, w łódce, którą prezydent ministrów uprzejmie oddał do jego rozporządzenia.

Ewelina i Paweł Visire odbywali tymczasem przechadzki po ogrodzie lub rozmawiali w salonie. Ewelina, mimo że zdawała sobie sprawę z uroku, jaki Paweł wywiera na niewiasty, dotąd rozwijała względem niego tylko kokieterję przelotną i powierzchowną, bez głębszych zamiarów ani powziętego planu. Był on znawcą i oce-

niał jej urodę; zazwyczaj Izba i Opera zajmowały go całkowicie, ale w małym zameczku, szare źrenice i krągła kibić Eweliny nabierały ceny w jego oczach. Pewnego dnia, gdy Hipolit Cérés łowił pstrągi w Aiselle, Paweł Visire kazał Ewelinie usiąść obok siebie na sofie faworyty. Przez szpary spuszczonej firanek, które broniły ją przed żarem i jasnością upalnego dnia, długie złote promienie padały na Ewelinę, niby strzały ukrytego Amora. Pod białym muślinem sukni kształty jej, krągłe i smukłe zarazem, uwydatniały cały swój wdzięk i młodość. Miała skórę miękką i świeżą i pachniała skoszonem sianem. Paweł Visire okazał się takim, jak wymagały okoliczności; ona nie broniła się igraszkom wypadku i towarzystwa. Myślała, że będzie to niczem lub blahostką; omyliła się.

«Była — mówi słynna ballada niemiecka — na placu miejskim, po stronie słońca, na murze oplecionym powojem, ładna skrzynka do listów, błękitna jak chabry, uśmiechnięta i spokojna.

«Cały dzień przychodzili do niej w swem ciężkiem obuwiu, drobni kupcy, zamożni wieśniacy, mieszczanie, poborcy, żandarmi i wrzucali listy w sprawach pieniężnych, rachunki, wezwania i awizacje o zapłaceniu podatków, raporty dla sędziów trybunału i karty, powołujące rekrutów; skrzynka była uśmiechnięta i spokojna.

«Weseli lub zatroskani, podchodzili do niej wyrobnicy, parobcy wiejscy, służące, mamki,

rachmistrze, urzędnicy biurowi, gosposie z małemi dziećmi na ręku i wrzucali do niej listy, zawiadamiające o narodzinach, ślubach, śmierci, listy narzeczonych, listy małżonków i małżonek, matek do synów, synów do matek; skrzynka dalej była uśmiechnięta i spokojna.

«O zmierzchu młodzi chłopcy i młode dziewczęta ukradkiem sunęli ku niej i wrzucali listy miłosne, jedne zmoczone łzami, od których rozpląnął się atrament, inne z małym kółeczkiem, oznaczającym miejsce złożonego pocałunku, a wszystkie bardzo długie; skrzynka niewzruszenie pozostawała uśmiechnięta i spokojna.

«Bogaci kupcy przychodzili sami w porze opróżniania skrzynki i wsuwali w nią listy pieniądze, listy z pięcioma czerwonymi pieczętkami, pełne biletów bankowych, lub czeków na wielkie zakłady finansowe Cesarstwa; skrzynka była uśmiechnięta i spokojna.

«Ale pewnego dnia Kacper, którego nie widziała nigdy, którego nie znała nawet ze słyszenia, przyszedł wsunąć bilecik, o którym to tylko wiadano, że złożony był w trójkąt. Natychmiast ładna skrzynka do listów spadła ze wzruszenia. Odtąd nie może pozostać na miejscu, biega po ulicach, łąkach, lasach, przepasana bluszczem, uwieńczona różami. Wiecznie błądzi po drogach i rozstajach; strażnik miejski zastał ją w zbożu w objęciach Kacpra: całowała go w usta».

Paweł Visire prędko odzyskał swobodę umysłu; Ewelina leżała jeszcze na sofie faworyty w rozkosznem zdziwieniu.

Wielebny ojciec Douillard, znakomitość w teologii moralnej, który nawet w upadku Kościoła zachowywał zasady, słusznie nauczał, zgodnie z doktryną Ojców, że jeśli kobieta popełnia wielki grzech, oddając się za pieniądze, stokroć więcej grzeszy, oddając się za darmo. Bo w pierwszym wypadku czyni to dla zarobku na życie i jest niekiedy, jeśli nie wytłumaczoną, to jednak zasługuje na przebaczenie i może być jeszcze łaski boskiej godna, skoro Bóg zabrania samobójstwa i nie chce, aby istoty Jego, świątyniami Jego będące, same się unicestwiały. Zresztą oddając się dla chleba, pozostaje pokorną i nie doznaje przyjemności, co zmniejsza grzech.

Ale niewiasta, oddająca się za darmo, grzeszy z rozkoszą, raduje się w błędzie. Duma i rozkosz, któremi obciąża swój grzech, powiększają jego śmiertelne brzemię.

Przykład pani Hipolitowej Cérès wykazać miał głębokość tych prawd moralnych. Spozstrzegła, że ma zmysły; dotąd nie domyślała się tego, sekunda wystarczyła jej do zrobienia tego odkrycia, do przemiany duszy, przekształcenia życia. Poznanie siebie, wedle filozofji starożytnej, nie jest przepisem, którego wypełnienie sprawia duchową przyjemność, bo poznanie swej duszy nie daje żadnego zadowolenia. Przeciwnie rzecz się ma z ciałem, gdzie nowe źródła rozkoszy

mogą nam być objawione. To też zaraz odkrywcy swemu ślubowała wdzięczność równą dobrodziejstwu, i wyobraziła sobie, że ten, co jej odkrył takie niebiańskie otchłanie, sam tylko klucz do nich posiada. Byłaż to omyłka i czy nie mogła znaleźć innych, którzyby również złoty klucz posiadali? Trudno to rozstrzygnąć; i profesor Haddock — gdy fakta zdradzone zostały (co jak zobaczymy nie omieszkało nastąpić) — traktował o nich z punktu widzenia eksperymentalnego, w specjalnym naukowym miesięczniku, i doszedł do wniosku, że szanse, jakie mogłaby mieć pani C...., dla znalezienia ścisłego ekwiwalentu pana V.... są w proporcji 3,15 do 975,008. Znaczy tyle, że nie znajdzie go więcej. Zapewne instynktownie wiedziała o tem, bo namiętnie przywiązała się do niego.

Przytoczyłem te fakty ze wszystkimi okolicznościami, które, jak sądzę, winny zwrócić uwagę umysłów medytacyjnych i filozoficznych.

Sofa faworyty godna jest majestatu historii: rozstrzygnęły się na niej losy wielkiego narodu; co mówię, dokonał się na niej czyn, którego rozgłos rozciągnąć się miał na narody sąsiednie, zaprzyjaźnione lub wrogie, na ludzkość całą. Zbyt często zdarzenia tego rodzaju, choć doniosłe w skutkach, wymykają się z pod uwagi umysłów powierzchownych, dusz lekkomyślnych, które niebaczenie podjęły zadanie pisania historii. To też tajemne sprężyny zdarzeń pozostają dla nas ukryte. Upadek państw, zmiany

rzędów dziwią nas, są dla nas niepojęte, z braku niewidocznego punktu dotknięcia ukrytej sprężyny, która w ruch wprowadzona zatrzęsa wszystkim, wszystko przewróciła. Autor tej wielkiej historii lepiej niż ktokolwiek zna błędy swe i niedostatki, ale musi oddać sobie sprawiedliwość, że zawsze zachował miarę, powagę, surowość, tak potrzebną w przedstawianiu spraw Państwa i ani na chwilę nie odstąpił od powagi należnej opowieści o czynach ludzkich.

ROZDZIAŁ VII

PIERWSZE SKUTKI

Gdy Ewelina zwierzyła się Pawłowi Visire, że nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego, nie uwierzył jej. Znał kobiety i wiedział, że chętnie mówią takie rzeczy mężczyznom, by ich miłość podniecić. Właśnie doświadczenie, jak to zdarza się niekiedy, kazało mu nie dostrzec prawdy. Nie dowierzał; jednak pochlebiało mu to, niedługo uczuł też dla niej miłość i coś więcej jeszcze. Stan ten z początku okazał się pomyslnym dla jego władz intelektualnych; Visire wypowiedział w głównem mieście swego okręgu mowę pełną wdzięku, świetną, udaną, którą uznano za arcydzieło.

Powrót do prac parlamentarnych był pogodny; zaledwie jeszcze kilka odosobnionych niechęci, kilka nieśmiałych ambicyjek podniosło w Izbie głowę. Uśmiech prezesa rady wystarczył dla

rozproszenia tych cieni. On i ona widywali się dwa razy na dzień, w przerwach pisywali do siebie. On przyzwyczajony był do tajemnych stosunków, był zręczny i umiał je skrywać; ale Ewelina okazywała szaloną nieostrożność, afiszowała się z nim w salonach, teatrach, w Izbie, w ambasadach; nosiła miłość swą na twarzy, na całej swej osobie, w wilgotnym blasku spojrzenia, w omdlewającym uśmiechu warg, w falowaniu piersi, w miękkości bioder, w całej swej urodzie ożywionej, podnieconej, namiętnej. Wkrótce kraj cały wiedział o ich stosunku; obce dwory zostały o tem powiadomione, jedynie prezydent republiki i mąż Eweliny nic o nim nie wiedzieli. Prezydent dowiedział się o tem na wsi przez raport policyjny, który niewiadomo w jaki sposób znalazł się w jego walizie.

Hipolit Cérés ani zbyt delikatny, ani zbyt przenikliwy miarkował jednak, że coś zmieniło się w ich pożyciu małżeńskim. Ewelina niedawno jeszcze interesowała się jego sprawami i okazywała mu, jeśli nie czułość, to przynajmniej szczerą przyjaźń, teraz miała dla niego tylko obojętność i wstręt. Zawsze zdarzały się okresy nieobecności, długo przeciągane wizyty w fundacji świętej Orberozy; teraz wyszedłszy rano, całe dni spędzała za domem, a o dziewiątej siadała do stołu z twarzą lunatyczki. Mąż jej uważał to za śmieszne; i byłby może nigdy niczego się nie dowiedział. Głęboka nieznajomość kobiet i wielkie zaufanie do swych zasług i swego

szczęścia byłyby mu zawsze może zasłaniały prawdę, gdyby kochankowie, że tak powiem, nie zmusili go do odkrycia tej prawdy.

Gdy Paweł Visire przychodził do Eweliny i zastawał ją samą, mówili sobie, całując się: «Nie tutaj! Nie tutaj!» i natychmiast trzymali się wobec siebie w przyzwoitej odległości. Było to ich niewzruszoną regułą. Otóż pewnego dnia, Paweł Visire udał się do kolegi swego Cérèsa, któremu wyznaczył był spotkanie. Przyjęła go Ewelina; minister poczt zajęty był «w łonie» jakiejś komisji.

— «Nie tutaj!» — powiedzieli, uśmiechając się kochankowie.

Powiedzieli to sobie z ustami na ustach, wśród pocałunków, objęć, klękań. Powtarzali to jeszcze, gdy Hipolit Cérès wszedł do salonu.

Paweł Visire, nie tracąc przytomności umysłu, oświadczył pani Cérès, że nie potrafi wyjąć jej pyłka z oka. Tem powiedzeniem nie udało mu się złudzić małżonka, ale ratował swoje położenie. Hipolit Cérès był zdruzgotany. Postępowanie Eweliny wydało mu się niezrozumiałem; pytał ją o przyczyny.

— Dlaczego, dlaczego? — powtarzał bezustannie. — Dlaczego?

Zaprzeczyła wszystkiemu, nie ażeby go przekonać — widział ich przecie — ale z wygody, przez dobry smak, aby uniknąć przykrego tłumaczenia się.

Hipolit Cérès przechodził wszystkie tortury zazdrości. Przyznawał to sam przed sobą; mówił

sobie: «Jestem człowiekiem silnym, mam puklerz, ale rana jest pod nim, jest w sercu».

I zwracając się ku swojej żonie, jakby przyozdobionej rozkoszą, pięknej swym grzechem, spoglądał na nią boleśnie i mówił:

— Z tym nie powinnaś była.

I miał rację, Ewelina nie powinna była szukać miłostek w sferze rządowej.

Cierpiał tak, że pochwycił rewolwer, wołając: «Zabiję go!» Ale pomyślał, że minister poczt i telegrafów nie może zabić prezesa ministrów i schował rewolwer zpowrotem do szuflady.

Tygodnie mijaly, nie lagodząc jego cierpienia. Co rano zaciskał na swej ranie puklerz człowieka silnego; w pracy i zaszczytach szukał spokoju, który go omijał. Co niedziela odsłaniał popiersia, pomniki, fontanny, studnie artezyjskie, szpitale, ambulatorja, drogi żelazne, kanały, hale targowe, ścieki, luki triumfalne, targowiska i rzeźnie, przyczem wypowiadał drgające zapalem mowy Niespokojna, paląca pracowitość jego pożerała całe stosy aktów, w ciągu tygodnia czternaście razy zmieniał kolor znaczków pocztowych. Miał jednak wściekle napady bólu i gniewu, które doprowadzały go do szaleństwa, całemi dniami rozum go opuszczał. Gdyby zajmował posadę w jakim urzędzie prywatnym, spostrzeżonoby ten obłęd natychmiast, ale daleko trudniej poznać obłęd lub szal w administracji spraw Państwa. Urzędnicy rządowi tworzyli wtedy spółki i federacje wśród rozgorączkowania, które przerażało parlament

i opinię. Szczególnie żarliwi w tworzeniu syndykatów okazali się listonosze.

Hipolit Cérés cyrkularzami zawiadomił, że akcja ich jest ściśle legalna. Nazajutrz drugim cyrkularzem zakazywał jako nielegalne wszelkie federacje urzędników państwowych. Zawiesił w czynnościach stu ośmdziesięciu listonoszów, przyjął ich napowrót, dał im dziś naganę, a nazajutrz doręczył im gratyfikacje. Na radzie ministrów zawsze gotów był wybuchnąć i tylko obecność głowy Państwa nie pozwalała mu przekroczyć granic przyzwoitości, a że nie śmiał skoczyć do gardła swego rywala, by ulżyć sobie, obsypywał obelgami szanownego wodza armji, generała Debonnaire, który nie słyszał ich, gdyż był głuchy i zajęty układaniem rymów dla pani baronowej Bildermann. Hipolit Cérés instynktownie oponował wszystkiemu, co projektował prezydent rady. Jednym słowem, był szalony. Jedną tylko władza została nietkniętą w tem rozbiciu jego umysłu: pozostał mu zmysł parlamentarny, przenikliwość zrozumienia większości, głęboka znajomość grup i pewność kontrolowania wyborów.

ROZDZIAŁ VIII

DALSZE SKUTKI

Sesja parlamentarna w spokoju dobiegała końca, ministerjum na ławach większości nie widziało żadnych złowrogich znaków. Z pewnych

artykułów wielkich dzienników umiarkowanych widać było jednak, że wymagania finansistów żydowskich i chrześcijańskich rosły z dniem każdym, że patriotyzm banków domagał się cywilizacyjnej wyprawy do Nigrycji i, że trust stalowy, pełen gorliwości w zabezpieczaniu naszych wybrzeży i w obronie naszych kolonij, namiętnie żądał pancerników i jeszcze pancerników. Krążyły pogłoski o wojnie, ale pogłoski te powtarzały się co rok z regularnością wichrowych prądów; ludzie poważni nie zwracali na nie uwagi, a rząd pozwalał im ścichnąć samym przez się. Finansiści chcieli tylko wojen kolonialnych, naród nie chciał wojen wcale; był rad, gdy rząd okazywał dumę, a nawet arogancję, ale na pierwsze przypuszczenie, że szykuje się konflikt europejski, gwałtowne jego wzruszenie prędko udzieliłoby się Izbie. Paweł Visire był spokojny, jego zdaniem, sytuacja europejska przedstawiała się bardzo pokojowo. Irytowało go tylko manjackie milczenie jego ministra spraw zagranicznych. Gnom ten przychodził na sesje z teką grubszą, niż on sam, wypchaną aktami, nic nie mówił, odmawiał odpowiedzi na wszelkie pytania, nawet na zadawane przez czcigodnego prezydenta republiki i zmęczony wytrwałą pracą, usypiał w fotelu, tak, że wkrótce nad zielonem suknem, pokrywającym stół, widać było tylko jego małą, czarną czuprynkę.

Hipolit Cérés powoli stawał się znów człowiekiem silnym; w towarzystwie kolegi Laper-

sonne'a wyprawiał częste bibki z chórzystkami teatrów; widywano ich nocą, wchodzących do modnych knajp w towarzystwie zakapturzonych kobiet, nad którymi górowali wysokim wzrostem i nowiuteńkimi kapelusami; wkrótce zaliczono ich do najsympatyczniejszych postaci bulwarowych. Bawili się, lecz cierpieli. Fortunat Lapersonne także miał swą ranę pod puklerzem; żona jego, młoda modniarka, którą odbił jakimś margrabiemu, porzuciła go z chauffeur'em. Kochał ją jeszcze, niepokieszony był, że ją utracił i bardzo często w separacie, w gronie śmiejących się i raczących homarami dziewcząt, obaj ministrowie, zamieniając pełne bólu spojrzenie, ukradkiem łzę ocierali. Hipolit Cérés, chociaż ugodzony w serce, zmóc się nie dał. Poprzysiągł, że się zemści.

Pani Pawłowa Visire, którą oplakany stan zdrowia zmuszał do przebywania u rodziców w głębi ponurej prowincji, otrzymała list anonimowy, z zawiadomieniem, że Paweł Visire, który ożenił się był, nie mając grosza przy duszy, traci z kobietą zamężną E... C... (szukajcie) posag pani Pawłowej, daje tamtej kobiecie automobile po trzydzieści tysięcy franków, naszyjniki z pereł po osmdziesiąt tysięcy i pędzi ku ruinie, hańbie i zgubie. Pani Pawłowa Visire dostała ataku nerwowego i podała list ojcu.

— Natrę ja mu uszów, twemu mężowi! — rzekł pan Blampignon. — To urwis, który, jeśli go nie przypilnować, na barłóg cię sprowadzi.

Niech sobie będzie dziesięć razy prezydentem ministrów, nie boję się go.

Wysiadłszy z pociągu, pan Blampignon udał się do ministerjum spraw wewnętrznych. Natychmiast został przyjęty. Wszedł wściekły do gabinetu premiera.

— Mam z panem do pomówienia!

I wywijał listem anonimowym.

Paweł Visire przyjął go uśmiechnięty.

— Serdecznie witam, kochany ojcie. Miałem właśnie pisać... Tak jest, miałem donieść ojcu o nominacji jego na oficera Legji Honorowej. Dziś rano kazałem dekret podpisać.

Pan Blampignon podziękował bardzo swemu zięciowi i anonimowy list wrzucił do pieca. Powróciwszy do swej prowincjonalnej siedziby, zastał córkę zirytowaną, omdlewającą.

— No, widziałem twego męża; jest on czarujący. Ale, ot co: nie umiesz się wziąć do niego.

W tym czasie Hipolit Cérés dowiedział się z małej gazetki, uprawiającej skandale (zawsze przez gazety dowiadują się ministrowie o sprawach Państwa), że prezydent rady co wieczór jada obiad u panny Lysiane z Folies Dramatiques, której wdzięki, jak się zdaje, podbiły go. Odtąd Cérés miał posępną radość w obserwowaniu swej żony. Wraciała co wieczór z opóźnieniem, na obiad lub dla przebrania się, z miną szczęśliwego zmęczenia, z pogodą doznanej rozkoszy.

Myśląc, że nie wie ona o niczem, posyłał jej anonimowe zawiadomienia. Czytała je przy stole, wobec niego, dalej uśmiechnęta i szczęściem znużona.

Wyobraził więc sobie, że nie przywiązuje wagi do tych niejasnych ostrzeżeń i że w celu wywołania zaniepokojenia, trzeba jej dać ściślejsze określenia, dać jej samej sposobność przekonania się o niewierności i zdradzie. Miał w ministerstwie agentów bardzo pewnych, których obowiązkiem było prowadzenie sekretnych dochodzeń, obchodzących obronę narodową i którzy w chwili obecnej pilnowali szpiegów, utrzymywanych przez sąsiednie i wrogie mocarstwo w samym zarządzie poczt i telegrafów. Hipolit Cérés wydał im rozkaz zawieszenia poszukiwań i dowiedzenia się, gdzie, kiedy i jak prezydent ministrów widuje pannę Lysiane. Ajenci sumiennie wypełnili dane polecenie i zawiadomili ministra, że kilkakrotnie przydybali prezydenta ministrów z jakąś damą, ale nie była to panna Lysiane. Hipolit Cérés nie pytał ich już więcej. Miał rację; miłości Pawła Visire z Lysiane było to *alibi*, wymyślone przez Pawła samego dla zadowolenia Eweliny, której przeszkadzała jego sława i która wzdychała za cieniem i tajemnicą.

Tropili ich nie tylko ajenci ministerjum poczt, byli również śledzeni przez agentów prefekta policji, tych, z ministerstwa spraw zagranicznych, którzy ubiegali się o zaszczyt czuwania nad nim, nadto przez kilka agencji monarchicznych,

imperjalistycznych, klerykalnych, przez ośm czy dziesięć biur szantażu, kilku agentów z amatorsztwa, przez mnóstwo reporterów i tłum fotografów, którzy wszędzie—gdzie oni kryli się ze swemi koczowniczymi miłośkami: w wielkich czy małych hotelach, w domach miejskich czy wiejskich, mieszkaniach prywatnych, zamkach, muzeach, pałacach, norach—zjawiali się na ich przybycie i czyhali na nich na ulicy, w okolicznych domach, na drzewach, na parkanach, na schodach, w sieniach, na dachach, w sąsiednich mieszkaniach, w kominkach. Minister i jego kochanka ze strachem widzieli wokoło sypialnego pokoju świderki, przewiercające drzwi i okiennice oraz narzędzia, wybijające dziury w murach. Otrzymało, z braku czegoś lepszego, kliszę pani Cérés w koszuli, zapinającą buciki.

Paweł Visire, zniecierpliwiony, zirytowany, tracił czasem swój wesoły humor i dobroduszość, przychodził wściekły na posiedzenia i niegrzecznościami obsypywał, także, generała Debonnaire, tak walecznego w boju, ale pozwalającego na wkradanie się niesubordynacji do szeregów, sztyrderstwami obrzucał nawet czcigodnego admirała Vivier des Marenes, którego okręty tonęły odrazu bez widocznej przyczyny.

Fortunat Lapersonne słuchał ironicznie z oczami zaokrąglonemi ze zdziwienia i mruczał przez zęby:

— Nie dość mu, że zabrał żonę Hipolita Cérés, przejmuje jeszcze jego maniery.

Wybryki te, znane na skutek niedyskrecji ministrów i skarg tych dwóch starych, którzy zapowiadali, że cisną swoje teki w łeb temu facetowi, a nie czynili tego,—zamiast zaszkodzić szczęśliwemu prezydentowi ministrów wywarły jak najlepsze wrażenie w parlamencie i opinji; widziano w nich dowód troskliwości o armję i marynarkę narodową. Prezydent Rady dostąpił ogólnego uznania.

Na powinszowania grup i znaczniejszych osobistości, odpowiadał z prostotą i stanowczo: — Takie są moje zasady.

I kazał uwięzić siedmiu czy ośmiu socjalistów. Z zakończeniem sesji parlamentarnej Paweł Visire, bardzo zmęczony, pojechał do wód. Hipolit Cérés nie chciał opuścić ministerstwa, gdzie właśnie bardzo żywo agitował syndykat panien telefonistek. Obszedł się z niemi z niesłychaną surowością, stał się bowiem wrogiem kobiet. W niedzielę szedł za miasto łowić ryby na wędkę w towarzystwie swego kolegi Lapersonne'a, zawsze w cylindrze, z którym nie rozstawał się, odkąd został ministrem. I obaj, zapominając o rybach, wyrzekali na niestałość kobiet i łączyli swój ból i smutek.

Hipolit kochał jeszcze Ewelinę i cierpiał ciągle. Jednak nadzieja wniknęła do jego serca. Trzymał ją zdala od jej kochanka i myśląc, że będzie mógł ją odzyskać, skierował ku temu wszystkie swe usiłowania, rozwijał całą zręczność, okazywał się szczerym, uprzedzającym, przyjaciel-

skim, poświęcającym, dyskretnym nawet, serce podsuwało mu tysiączne atencje. Mówił niewiernej rzeczy cudne i rzeczy tkliwe, by ją wzruszyć, wyznawał jej, ile przecierpiał.

Zakładając na brzuchu pasek spodni, mówił:
— Widzisz? Schudłem.

Obiecywał jej wszystko to, co jak sądził, pochlebiać powinno kobiecie: wycieczki na wieś, kapelusze, klejnoty.

Czasem zdawało mu się, że ją wzruszył. Nie pokazywała mu już twarzy bezczelnie szczęśliwej; od rozłączenia z Pawłem smutek jej przybierał cechę łagodności; ale za pierwszym gestem, jaki czynił, by ją odzyskać, broniła się dzika i posępna, grzechem swoim jak złotą opaską spowita.

Nie zniechęcał się, stawał się pokornym, błagającym. Pewnego dnia poszedł do Lapersonne'a i rzekł mu ze łzami w oczach:

— Pomów ty z nią.

Lapersonne wymówił się, nie sądził, aby jego wstawiennictwo było skutecznem, ale udzielił rad przyjacielowi.

— Udaj, że sobie nic z niej nie robisz, że kochasz inną, powróci do ciebie.

Hipolit, próbując tego sposobu, kazał zamieścić w dziennikach, że o każdej porze spotkać go można u panny Guinard, tancerki Opery. Wracał późno, albo nie wracał wcale; przyjmował wobec Eweliny minę rozradowaną szczęściem, niemożliwem do utajenia, przy obiedzie wyjmował z kieszeni pachnący liścik, który ni-

by czytał z rozkoszą, wargi jego zdawały się, jak we śnie, całować niewidzialne usta. Na nic mu się to nie zdało. Ewelina nie spostrzegła nawet tego całego fortelu. Nieczuła na wszystko, co ją otaczało, wyrywała się z tego letargu po to tylko, by zażądać paru luidorów od swego męża; a jeśli jej odmawiał, rzucała mu spojrzenia pełne wstrętu, gotowa obwiniać go o hańbę, któraby okrywała go przed całym światem. Odkąd kochała, wydawała dużo pieniędzy na toalety, a dla dostarczania ich miała tylko męża; była wierna. On stracił cierpliwość, stał się wściekłym, groził jej rewolwerem. Raz rzekł wobec niej do pani Clarence:

— Winszuję pani, wychowałaś pani córkę, jak kokotę.

— Zabierz mnie, mamó — zawołała Ewelina — chcę się rozwieść.

Kochał ją namiętniej niż kiedykolwiek.

W zazdrosnym szale, przypuszczając nie bez racji, że wysyła i odbiera listy, przysiągł jej przejmować, wznowił sekretny gabinet, wprowadził zamieszanie w korespondencje prywatne, powstrzymał rozporządzenia giełdowe, przeszkadzał schadzkom, wywołał bankructwa, spowodował samobójstwa. Prasa niezależna stała się wyrazem skarg publiczności i poparła je z całym oburzeniem. Dla usprawiedliwienia tych arbitralnych środków, dzienniki ministerjalne przejrzystymi słowy mówiły o spisku, o niebezpieczeństwie publicznem, dawały do zrozumienia,

że chodzi o konspirację monarchiczną. Pisma mniej dobrze poinformowane dawały ściślejsze wiadomości, wspominały o pochwyceniu pięćdziesięciu fuzyj i o wyładowaniu księcia Crucho. Wzruszenie wzrastało w kraju, organa republikańskie żądały natychmiastowego zwołania Izby. Paweł Visire wrócił do Paryża, zwołał swych kolegów, odbył ważną gabinetową naradę i przez ajencje swe zawiadomił, że istotnie uknuty był spisek przeciwko reprezentacji narodowej, że prezydent ministrów ma w ręku nici tego spisku i, że dochodzenie sądowe rozpoczęto.

Natychmiast nakazał aresztować trzydziestu socjalistów i podczas, gdy kraj cały witał go jak zbawcę, on, myśląc czujność swoich sześciuset agentów, chyłkiem wprowadzał Ewelinę do małego hotelu w okolicy dworca północnego, w którym pozostali aż do nocy.

Po ich odejściu, służąca hotelowa, zmieniając prześcieradła, ujrzała siedm małych krzyżyków szpilką od włosów nakreślonych na murze, w głowach łóżka.

To tylko otrzymał Hipolit Cérés jako nagrodę za swe trudy i usiłowania.

ROZDZIAŁ IX

OSTATNIE SKUTKI

Zazdrość jest cnotą demokracji, zabezpiecza od tyranów. Deputowani poczynali zazdrościć złotego klucza prezydentowi ministrów. Od roku

już cały świat wiedział o władzy jego nad piękną panią Cérés; prowincja, dokąd wiadomości i mody dochodzą dopiero po pełnym obiegu ziemi naokoło słońca, dowiadywała się wreszcie o nielegalnych miłostkach gabinetu. Prowincja zachowuje surowe obyczaje, kobiety są tam cnotliwsze, niż w stolicy. Wymieniają kilka po temu przyczyn: wychowanie, przykład, prostota życia. Profesor Haddock utrzymuje, że ich cnota wynika jedynie z ich bucików, mających płaskie obcasy. «Kobieta, mówi on w uczonym artykule w *Przeglądzie antropologicznym*, kobieta wywiera u cywilizowanego mężczyzny wrażenie erotyczne wtedy tylko, jeśli noga jej styka się z ziemią pod kątem dwudziestu pięciu stopni. Jeżeli noga odnośnie do gruntu tworzy kąt trzydziestu pięciu stopni, wrażenie erotyczne wydzielające się jest bardzo ostre. Istotnie, od położenia nogi na ziemi zależnem jest w pozycji stojącej wzajemne położenie rozmaitych części ciała, a mianowicie miednicy, jako też wzajemny stosunek i ruch bioder i warstw mięśni, wewnątrz i zewnątrz pokrywających łydkę. Otóż ponieważ każdy cywilizowany mężczyzna dotknięty jest zboczeniem płciowem i idee rozkoszy łączy z kształtem kobiecym tylko w pozycji stojącej, w warunkach nakazanych przez powyżej określone nachylenie nogi — wynika stąd, że damy z prowincji, mając niskie obcasy, mniej są pożądane (przynajmniej w pozycji stojącej) i łatwo zachować mogą swą cnotę». Wywody te nie zostały ogólnie przy-

jęte. Zauważono, że wprowadzone do stolicy pod wpływem mody angielskiej i amerykańskiej niskie obcasy nie wywarły skutku zaznaczonego przez uczonego profesora, że zresztą różnica, którą chce widzieć między obyczajami stolicy, a prowincji jest może złudna, a jeśli istnieje rzeczywiście, istnieje może dzięki temu, że wielkie miasta następują kochankom więcej korzyści i ułatwień, niż małe. Jakkolwiekby, prowincja zaczęła szemrać przeciwko prezydentowi ministrów i oburzać się na skandal. Nie było to jeszcze niebezpieczeństwo, ale mogło się niem stać.

W tej chwili niebezpieczeństwa nie było nigdzie i było ono wszędzie. Większość była jeszcze pewna, ale leaderzy okazywali się wymagający i niezadowoleni. Być może, że Hipolit Cérés nigdy nie byłby poświęcił swego interesu swojej zemście. Ale sądząc, że może teraz bez skompromitowania swojej kariery, zaszkodzić karierze Pawła Visire, umiejętnie i z umiarem starał się stwarzać trudności i niebezpieczeństwa szefowi rządu. Daleki od dorównania swemu rywalowi talentem, wiedzą, wpływem, przewyższał go znacznie skrytymi manewrami w kulisach Izby. Najsprytniejsi parlamentarzyści, jego powstrzymywaniu się przypisywali najświeższe wahania większości. W komisjach fałszywie nieprzezorny, przyjmował chętnie żądania kredytów, o których wiedział, że prezydent ministrów nie może się na nie zgodzić. Pewnego dnia je-

go wyrachowana niezręczność dała powód do gwałtownego i niespodzianego zajścia między ministrem spraw wewnętrznych, a referentem budżetowym tegoż wydziału. Wtedy Cérés zatrzymał się przerażony. Byłoby dlań niebezpieczne zbyt wcześnie obalać ministerjum. Przemysłna jego nienawiść znalazła ujście krętymi drogami.

Paweł Visire miał kuzynkę ubogą i złego prowadzenia, noszącą jego nazwisko. Cérés w porę przypomniał sobie tę pannę Celinę Visire i cisnął ją na szerokie fale życia, ułatwił jej stosunki z dwu znanymi mężczyznami i kobietami, postarał się dla niej o zamówienie na występy po kawiarniach. Wkrótce, za jego namową, grała w Eldorado pantominy wśród okrzyków zgorznięcia. Pewnej nocy letniej wykonała na scenie Pól Elizejskich, przed wzburzonemi tłumami, szereg sprośnych tańców, przy akompanjamentcie salonowej muzyki, donoszącej się aż do ogrodów, w których prezydent republiki wydawał *garden-party* dla królów. Nazwisko Visire w połączeniu z temi skandalami, pokrywało mury miasta, zapelniało dzienniki, obiegało na kartkach z rozpustnemi winietami wszystkie bary i kawiarnie, błyszczało na bulwarach literami z płomienia.

Nikt nie czynił prezydenta ministrów odpowiedzialnym za zachowanie się jego krewnej, ale powzięto złą opinię o jego rodzinie i urok męża stanu ucierpiał na tem.

Wkrótce wszczął się dość żywy popłoch. Pewnego dnia w Izbie, na proste zapytanie, mi-

nister oświecenia i wyznań Labillette, chory na wątrobę, którego zaczynały gniewać pretensje i intrygi duchowieństwa, zagroził, że zamknie kaplicę świętej Orberozy i odezwał się bez szacunku o świętej dziewicy narodowej. Prawica cała porwała się oburzona, lewica zdawała się niechętnie popierać śmiałego ministra. Przywódcy większości nie chcieli wystąpić przeciwko popularnemu kultowi, przynoszącemu krajowi trzydzieści milionów rocznie. Najbardziej umiarkowany członek prawicy p. Bigoure zmienił zapytanie w interpelację, przez co gabinetowi groziło niebezpieczeństwo. Na szczęście minister robót publicznych Fortunat Lapersonne, zawsze świadomy obowiązków władzy, potrafił w nieobecności prezydenta ministrów, naprawić niezręczność i nietakt swego kolegi. Wszedł na trybunę, by z niej zaznaczyć szacunek rządu względem niebiańskiej patronki kraju, pocieszycielki w tyłu cierpieniach, do których ulżenia wiedza uznała się niezdolną.

Gdy Paweł Visire, wyrwawszy się wreszcie z ramion Eweliny, ukazał się w Izbie, ministerjum było uratowane, ale prezydent ministrów widział się zmuszonym uczynić znaczne ustępstwa na rzecz opinii klas kierujących. Zapropozował w parlamencie budowę sześciu pancerników, czem odzyskał sympatje syndykatów stalowych; zapewnił na nowo, że renta nie będzie opodatkowana i kazał zaarrestować ośmnastu socjalistów.

Niebawem miał znaleźć się wobec groźniejszych trudności. Kanclerz sąsiedniego cesarstwa, w mowie swej, traktującej o stosunkach zewnętrznych swego władcy, pomiędzy sprytnie spostrzeżenia i głębokie poglądy, wsunął złośliwą wzmiankę o namiętnych miłostkach, które wpływają na politykę wielkiego kraju. Wzmianka ta, przyjęta uśmiechami parlamentu cesarskiego, musiała rozdrażnić łatwo obrażającą się republikę. Rozbudziła wrażliwość narodową, która zwróciła się przeciwko zakochanemu ministrowi. Dla śmiesznego zdarzenia: jakieś podprefektowej tańczącej w Moulin Rouge, Izba zmusiła ministerjum do wzięcia na się odpowiedzialności, i tylko dzięki kilku głosom ministerstwo nie upadło już przy tej okazji.

Zdaniem ogółu, Paweł Visire nigdy nie był tak słaby, tak miękki, tak mdły, jak podczas tego nieszczęsnego posiedzenia.

Zrozumiał, że utrzymać się może tylko przez jakiś czyn wielkiej polityki, i postanowił wyprawę do Nigrycji, żadaną przez wielkie finanse i wielki przemysł, a która towarzystwom kapitalistów zapewniała koncesje ogromnych lasów, zakładom kredytowym — pożyczkę ośmiomiljardową, rangi i ordery oficerom lądowym i morskimi. Pretekst się znalazł: obraza do pomszczenia, dług do odebrania. Sześć pancerników, czternaście krążowników i ośmnaście okrętów transportowych wpłynęło do ujścia rzeki Hipopotamów; sześćset pirog daremnie przeszkodzić chciało

wylądowaniu wojsk. Armaty admirała Vivier des Murènes wywarły piorunujący efekt na czarnych, którzy odpowiedzieli chmurą strzał, lecz mimo fanatycznej odwagi, zostali kompletnie zniesieni. Entuzjazm narodowy, podsycany dziennikami, będącymi na zoldzie finansistów, nie miał granic. Tylko kilku socjalistów protestowało przeciw wyprawie barbarzyńskiej, dwuznacznej i niebezpiecznej; natychmiast ich uwięziono.

W tej chwili, gdy ministerjum, popierane przez bogaczy i drogie prostaczkom, zdawało się niewzruszonym, Hipolit Cérés sam jeden w jasnowidzeniu nienawiści widział niebezpieczeństwo, i patrząc na swego rywala z posępną radością, mruczał przez zęby: «Przepadł rozbójnik!».

I gdy kraj cały upajał się sławą i świetnymi interesami, cesarstwo sąsiednie protestowało przeciw okupacji Nigracji przez mocarstwo europejskie, i protesty te, powtarzające się w coraz krótszych odstępach, stawały się coraz żywsze. Dzienniki odłamu zamieszanego w interesa, ukrywały wszelkie powody zaniepokojenia, ale Hipolit Cérés przysłuchiwał się wzrastającej groźbie i zdecydowany zaryzykować wszystko, nawet los ministerjum, by zgubić swego wroga — pracował w cieniu. Kazał przez oddanych sobie ludzi napisać i umieścić w kilku uprzejmych dziennikach artykuły, które, zdając się wyrażać myśl samego Pawła Visire'a, przypisywały głowie rządu zamiary wojownicze.

Artykuły te, wzbudzając groźne echo zagranicą, jednocześnie niepokoiły opinię narodu, który lubił żołnierzy ale nie lubił wojny. Interpelowany co do polityki zagranicznej rządu, Paweł Visire dał odpowiedź uspokajającą, przyrzekł utrzymać pokój, zgodny z honorem wielkiego narodu. Minister spraw zagranicznych Crombille, odczytał deklarację zupełnie niezrozumiałą skoro była zredagowana w języku dyplomatycznym; ministerjum otrzymało znaczną większość. Ale pogłoski o wojnie nie ucichły i aby uniknąć nowej i niebezpiecznej interpelacji, prezydent ministrów rozdzielił między deputowanych ośmdziesiąt tysięcy hektarów lasów w Nigrycji i uwięził czternastu socjalistów. Hipolit Cérés chodził po kularach i zwierzał się deputowanym, że stara się, by na radzie przeważała polityka pokoju i, że ma jeszcze nadzieję, że mu się to uda. Z dnia na dzień groźne pogłoski wzmagały się, przedostawały się do publiczności, siały niepokój i obawę. Paweł Visire sam lękać się poczynał. Niepokoiło go najwięcej milczenie i nieobecność Crombille'a, ministra spraw zagranicznych. Crombille nie przychodził teraz na posiedzenia; wstawał o piątej i pracował ośmnaście godzin na dobę przy swoim biurku, aż wycieńczony padał w kosz od papierów, skąd woźni wyciągali go wraz z papierami, które sprzedawali attachés wojskowym sąsiedniego cesarstwa.

Jeneral Debonnaire był zdania, że rozpoczęcie kampanji jest bliskie; i przygotowywał się

do niej. Nie lękał się wojny, przeciwnie—pragnął jej i z tych szlachetnych nadziei zwierzał się baronowej Bildermann, która uprzedzała o tem sąsiedni naród, a ten, ufając jej ostrzeżeniu, zarządził szybką mobilizację.

Minister finansów, mimowoli przyspieszył wypadki. W tej chwili grał na zniżkę, a chcąc wywołać popłoch, puścił na giełdzie wiadomość, że wojna jest teraz nieunikniona. Cesarz sąsiedni, zmylony tym manewrem i spodziewając się, że terytorjum jego zostanie lada dzień zajęte, zmobilizował śpiesznie swoje wojska. Izba przerażona, ogromną większością (814 głosów przeciwko 7 i 28 powstrzymującym się) obaliła ministerjum Visire'a. Było już za późno; w sam dzień tego wypadku, sąsiedni nieprzyjacielski naród odwołał swego ambasadora i ciskał ośm milionów wojska do ojczyzny pani Cérés: wojna stała się powszechną i świat cały zatopiono w potokach krwi.

APOGEUM CYWILIZACJI PINGWIŃSKIEJ.

W pięćdziesiąt lat po opowiedzianych powyżej wypadkach, pani Cérés umarła w siedemdziesiątym dziewiątym roku życia, otoczona czcią i szacunkiem; dawno już owdowiała po mężu stanu, którego nazwisko godnie nosiła. Za skromnym i poważnym jej pogrzebem szły sieroty z parafji i siostry Przenajświętszego Miłosierdzia.

Nieboszczka cały swój majątek zapisała fundacji świętej Orberozy.

— Niestety! — westchnął, otrzymując ten pobożny legat pan Monnoyer, kanonik kościoła świętego Maëla — czas był najwyższy, by jaka szlachetna fundatorka pomyślała o zaopatrzeniu naszych potrzeb. Bogaci i biedni, uczeni i prostaczkowie odwracają się od nas. A gdy chcemy nawrócić dusze zbłąkane — groźby, obietnice, łagodność, surowość — nic już nam nie pomaga. Duchowienstwo Pingwinji biada w rozpacz i opuszczeniu, proboszczowie nasi, by żyć, zmuszeni są zajmować się najlichszymi rzemiosłami, chodzić w łapciach i jadać, co dostaną z jałmużny. W naszych zrujnowanych kościołach, deszcz pada na głowy wiernych i podczas nabożeństw słychać sypiący się ze sklepień gruz. Dzwonnica katedralna pochyla się i grozi zawaleniem. Święta Orberoza poszła w niepamięć u Pingwinów, kult jej zniesiony, świątynia opustoszała. Na relikwiarzu jej, odartym ze złota i drogich kamieni, pająk spokojnie siatkę swą przędzie.

Słyszając te żale, Piotr Mille, który w dziewięćdziesiątym ósmym roku życia nic nie utracił był ze swych władz intelektualnych i moralnych, zapytał kanonika, czy nie sądzi, że święta Orberoza wyjdzie jeszcze kiedyś z tego zapomnienia.

— Nie śmiem żywić tej nadziei — westchnął pan Monnoyer.

— To szkoda — odrzekł Piotr Mille. — Orberozą to śliczna postać; legenda jej ma wiele wdzięku. W tych dniach odnalazłem przypadkowo jeden z najładniejszych jej cudów, cud Jana Violle. Czy nie chciałbyś go pan usłyszeć, panie Monnoyer?

— Usłyszę go chętnie, panie Mille.

— Opowiem go panu tak, jak znalazłem go w manuskrypcie z XIV wieku.

«Cecylja, żona Mikołaja Gaubert, złotnika z Pont au Change, po wielu latach życia czystego i porządnego, nie młodą już będąc, zakochała się w Janie Violle, paziku hrabiny de Maubec, mieszkającej w pałacu pod Pawiem na placu Grève. Paź nie miał jeszcze lat ośmnastu, figurka i twarzyczka jego była drobna i delikatna. Cecylja, nie mogąc pokonać swej miłości, postanowiła ją zaspokoić. Zwabiła pazia do swego domu, obsypała go pieścizotami, dała mu lakoci, i wkońcu zażyła z nim rozkoszy.

«Otóż pewnego dnia, gdy leżeli oboje w łóżku złotnika, imcipan Mikołaj wrócił do domu wcześniej, niż się go spodziewano. Zastał rygiel zasunięty i słyszał przeze drzwi żonę, wzdychającą czule: «Moje serce! Mój aniołku! Mój szczurku!» Podejrzewając ją, że zamknęła się z gachem, zaczął walić we drzwi i wrzeszczeć: «Nędznico, rozpustnico, otwórz, żebym ci poobcinał nos i uszy!» W tem niebezpieczeństwie żona złotnika wezwwała opieki świętej Orberozy i ślubowała postawić jej piękną gromnicę na oltarzu,

jeśli wybawi z tych opresji ją i małego pазia, który cały nagi, umierał ze strachu w al-kowie.

«Święta wysłuchała tej prośby. Przemieniła natychmiast Jana Violle w dziewczynę. Co widząc, Cecylja, uspokojona zupełnie, zaczęła wołać do męża: «Brzydki brutalu, szkaradny zazdrośniku! Mów spokojniej i grzeczniej, jeśli chcesz, aby ci otworzono». I zrzędząc tak, biegła do szafy i wyciągała stary kapturek, stanik i długą, szarą spódnicę i śpiesznie odziewała przemienionego pazia. Gdy to dokonaniem zostało rzekła głośno: «Kasiu, moja miła Kasiu, mój koteczku — idź otwórz twemu wujowi, on jest nie taki zły, jak głupi i nic ci złego nie zrobi». Chłopiec zamieniony w dziewczynę usłuchał. Imć Mikołaj, wszedłszy do pokoju, zastał młodą dziewczynę, której nie znał i zaczął swą żonę w łóżku: «Stary głupcze — rzekła doń — nie dziw się temu, co widzisz. Właśnie położyłam się do łóżka, bo miałam boleści, gdy przyszła Kasia, córka siostry mej Joanny z Palaiseau, z którą byliśmy poróżnione od dziesięciu lat. Uściskaj naszą siostrzenicę, mój stary! Warta jest tego». Złotnik pocałował Violle'a, którego skórka wydała mu się świeżą i miękką i w tej chwili zapragnął gwałtownie znaleźć się z mniemaną Kasią sam na sam na dole, by móc wy-całować ją do woli. To też pod pozorem poczęstowania winem i orzechami, sprowadził ją do dolnej sali, gdzie natychmiast miłośnie pieścić ją zaczął.

Pocziwiec nie byłby się tem zadowolnić, gdyby święta Orberozą nie była natchnęła jego zacnej małżonki myślą przydybania męża. Zastała męża z rzekomą siostrzenicą na kolanach, co widząc, zwymyślała go i żądała, by ją przeprosił. Nazajutrz przybrał Violle poprzednią formę».

Wysłuchawszy tego opowiadania, czcigodny kanonik Monnoyer podziękował za nie Piotrowi Mille i biorąc pióro, zaczął spisywać imiona koni-faworytów, o których przypuszczał, że wygrażą na najbliższych wyścigach. Bo prowadził on spisy jednego z bookmakerów.

Pingwinja tymczasem słyęła ze swego bogactwa. Ci, którzy wytwarzali artykuły potrzebne do życia odczuwali ich brak, ci którzy nie wytwarzali, posiadali je w obfitości. «Są to, jak mawiał członek Instytutu, nieuniknione fatalności ekonomiczne». Wielki naród pingwiński nie miał już ani tradycji, ani kultury intelektualnej, ani sztuk pięknych. Postęp cywilizacji objawiał się przez zabójczy przemysł, niecną spekulację, wstrętny zbytek. Stolica przywdziewała, jak wszystkie wielkie miasta ówczesne, charakter kosmopolityczny i kapitalistyczny: panowała w niej niezmierna i prawidłowa brzydota. Kraj korzystał z zupełnego spokoju. Było to apogeum.

HISTORJA BEZ KOŃCA

Τῆ Ἑλλάδι πενίη μὲν αἰεὶ κατὰ σύνορον ἔστιν,
ἀρετὴ δὲ ἑπαρκὴς ἔστι, ἀπὸ τε σοφίης κατεργασμένη
καὶ νόμου ἰσχυροῦ.

(Herodot. Hist. VII. c)

Nie widzieliście, że byli to aniołowie.

(Liber terribilis)

Bgsftt fusftprustbjuf bmbousp jufefloj tfueft
fng fs fo st bgs ftbzip jogsp dmbnfaspj łgp j tt
bm jcfenfm bgs bodftft upronj tfbeft dpng bhøj
flgjsbodj fsftrojej tgpt fone flejdf ttflergbst-
fung bsmfnpz fonroq gsfttfbd fuffej ejhfon
mpg jojpo.

Vonfn p jox fsjej rof

Jesteśmy w zaczątkach chemji, która zajmie
się zmianami, wytwarzaniem przez ciała o tak
skondensowanej energii, jakiej dotąd nie mie-
liśmy jeszcze do naszego rozporządzenia.

Sir William Ramsay

§ 1

Nigdy nie uważano domów za dość wysokie;
podwyższano je ciągle i budowano je na trzy-
dzieści do czterdziestu pięter, na których jedne

nad drugimi mieściły się biura, magazyny, kantory bankowe, siedziby różnych towarzystw; jednocześnie coraz głębiej kopano w ziemi tunele i piwnice.

Piętnaście milionów ludzi pracowało w mieście-olbrzymie, przy świetle latarni płonących dniem i nocą. Żadne światło z nieba nie mogło przebić dymów fabryk, któremi opasane było miasto; niekiedy tylko widziano czerwoną tarczę słońca bez promieni, jak sunęła po czarnych niebiosach przerżniętych żelaznymi mostami, z których spadał nieustanny deszcz sadzy i iskier. Był to najbogatszy i najbardziej przemysłowy gród świata. Organizacja jego zdawała się być doskonałą, nic w nim nie przechowało się z dawnych, arystokratycznych lub demokratycznych form społeczeństwa, wszystko było podporządkowane interesom trustów. Wytworzył się w tem środowisku, tak nazwany przez antropologów, typ miliardera. Byli to ludzie jednocześnie energiczni i wątli, zdolni do wielkich kombinacji umysłowych i do długich godzin pracy biurowej, ale których wrażliwość podlegała dziedzicznym zaburzeniom, wzrastającym z latami.

Jak wszyscy prawdziwi arystokraci, jak patrycjusze Romy republikańskiej, jak lordowie dawnej Anglii, ludzie ci okazywali wielką surowość obyczajów. Ujrzano ascetów bogactwa: na zgromadzeniach trustów widziano twarze blade, policzki zapadłe, oczy wpadnięte, czoła zmarszczone. Z ciałem bardziej wyschniętem, z żółtszą

cerą, z suchszymi wargami, ze spojrzeniem płomienniejszem niż u dawnych fanatycznych mnichów hiszpańskich — miliardery z niegasnącą zarliwością poddawali się surowemu rygorowi handlu i przemyśłu. Odmawiali sobie wszelkiej radości, wszelkiej przyjemności, wszelkiego odpoczynku, wiedli nędzny żywot w pokoju, pozbawionym powietrza i światła, umeblowanym tylko przyrządami elektrycznymi, żywiąc się jajami i mlekiem i sypiając na łóżku polowem. Przyciskanie palcem niklowego guzika było ich jedynem zajęciem; mistycy ci gromadzili bogactwa, z którego nawet nie zdawali sobie sprawy, zdobywali daremnie możność zaspokajania pragnień, których nie odczuwali nigdy.

Kult bogactwa miał swoich męczenników. Jeden z tych miliardarów, sławny Samuel Box, wolał umrzeć, niż ustąpić najmniejszą część swego majątku. Jeden z jego robotników, ofiara wypadku podczas pracy, widząc że fabrykant odmawia mu odszkodowania, wystąpił do sądu o swe prawa; ale zniechęcony nieprzewyciężonymi trudnościami procedury, w ciężką nędzę popadłszy, do rozpaczki doprowadzony, dzięki przebiegłości i odwadze zdołał przyłożyć swemu chlebobdawcy do głowy lufę rewolweru i zagroził mu, że mu w łeb palnie, jeśli go nie wspomocze. Samuel Box nic nie dał i dał się zabić dla zasady.

Przykład działa, gdy idzie zgóry. Ci, co niewielkie posiadali kapitały (tych było naturalnie najwięcej) udawali przekonania i obyczaje mil-

jarderów, bo byli zmieszani z nimi. Wszelkie namiętności, szkodzące powiększeniu i utrzymaniu bogactw uchodziły za hańbiące: nie przebaczano ani lenistwu, ani próżniactwu, ani zamięłowaniu do bezinteresownych poszukiwań, ani miłości do sztuki, a głównie — rozrzutności: litość potępiana była jako niebezpieczna słabość. Podczas gdy wszelka skłonność do rozkoszy wywoływała publiczne potępienie, wybaczano chętnie gwałtowne zachcianki i brutalnie ich zaspokajanie; gwałtowność istotnie zdawała się być mniej szkodliwa dla obyczajów, jako jedna z form energii socjalnej. Państwo wspierało się silnie na dwóch wielkich cnotach publicznych: na szacunku dla bogacza i wzgardzie dla ubogiego. Dusze słabe, którym nieobojętne było cierpienie ludzkie, nie miały innej rady, jak zasłaniać się obludą, której nie można było zdemaskować, skoro przyczyniała się do utrzymania ładu i wzmacniania instytucyj.

Tak więc między bogatymi, wszyscy byli oddani społeczeństwu, lub udawali, że są oddani. Wszyscy świecili przykładem, choćby nawet nie wszystkim to dogadzało. Wszyscy boleśnie odczuwali ciężary, dźwigane stosownie do swego stanu, ale znosili je z pychą, jako obowiązek. Byli tacy, co usiłowali, choć chwilowo i podstępnie, zrzucić je. Jeden z takich, Edward Martin, prezes trustu żelaznego, przebierał się niekiedy za biedaka i szedł zebrać chleba, wystawiając się na szorstkość i urąganie przechodniów. Pewnego dnia, gdy wyciągał rękę na

moście, pokłócił się z prawdziwym żebrakiem i uniesiony szalem zawiści, udusił go.

Ponieważ całą inteligencję swą zużywali dla interesów, nie szukali już przyjemności umysłowych. Teatr, niegdyś bardzo kwitnący, ograniczał się teraz do pantomin i komicznych tańców. Nawet sztuki, w których przeważał udział kobiet, była w zaniedbaniu, porzucono zamięłowanie do pięknych kształtów i świetnych tualet; przekładano nad nie koziolki kłownów i murzyńską muzykę. Entuzjazm wzbudzały na scenie jedynie pochody brylantów na szyjach figurantek i sztaby złota niesione w triumfie.

Bogate damy w równej mierze jak mężczyźni, podległe były obowiązkowi życia czcigodnego.

Według tendencji wspólnej wszystkim cywilizacjom, opinia publiczna stawiała je jako symbol; miały one przez surowy swój przepych reprezentować wielkość majątku i jego nienaruszalność. Zmieniono dawne zwyczaje elegancji salonowej. Ale miejsce kochanków-światowców zajmowali pocichu silni masażyści lub lokaje. Skandale jednak rzadko się zdarzały, wyjazd za granicę skrywał je prawie wszystkie i księżne trustów były przedmiotem ogólnego szacunku.

Bogacze tworzyli tylko drobną mniejszość, ale współpracownicy ich, składający się z całego narodu, byli im całkowicie oddani lub całkowicie podlegli. Tworzyli oni dwie klasy: urzędników bankowych i kupieckich oraz robotników fabrycznych. Pierwsi dawali pracę olbrzymią i otrzy-

mywali za nią sute pensje. Niektórzy z nich zdołali sami założyć wielkie przedsiębiorstwa: ciągły wzrost bogactwa publicznego i niestałość majątków prywatnych upoważniały najinteligentniejszych i najśmielszych do wszelkich nadziei.

Bezwątpienia, w tym wielkim tłumie urzędników, inżynierów, rachmistrzów znalazłaby się pewna liczba niezadowolonych, zbuntowanych; ale społeczeństwo tak potężne, wycisnęło silną swą dyscyplinę nawet na umysłach swych przeciwników. Nawet anarchiści byli tam pracowici i systematyczni.

Co zaś do robotników, pracujących w fabrykach w okolicy miasta, to upadek ich fizyczny i moralny był okropny; tworzyli oni typ biedaka, ustanowiony przez antropologję.

Choć rozwój niektórych mięśni, zależny od natury zajęcia, ludzi mógł co do ich sił, wykazywali jednak nieomylnie znaki chorobliwego niedorozwoju. Wzrost niski, głowa mała, piersi wąskie. Prócz tego odróżniali się jeszcze od klas zamożnych mnóstwem anomalji fizjologicznych, mianowicie częstą niesymetrycznością głowy lub członków. I skazani byli na ciągłe i stopniowe zwyrodnienie, bo z najsilniejszych pośród nich Państwo tworzyło żołnierzy, którzy swe zdrowie niedługo mogli skutecznie bronić przed rozpustą i pijaństwem, szynki bowiem gęsto otaczały koszary. Umysłowe siły i zdolności proletarjuszów słabły coraz bardziej. To stałe osłabianie zdol-

ności intelektualnych nie wypływało jedynie z rodzaju ich życia; wynikało ono także z metodycznego wyboru dokonywanego przez chlebobawców. Ci obawiali się robotników o umyśle jasnym, niezamglonym, jako zdolniejszych do stawiania słuszných żądań i dlatego starali się usuwać ich, najmując wzamian robotników głupich, ograniczonych, niezdolnych bronić swych praw, ale inteligentnych na tyle, że mogli wykonywać robotę, którą ulepszone maszyny uczyniły bardzo łatwą.

To też proletariusze nic nie mogli wywalczyć dla poprawy swego bytu. Strajkami za ledwie mogli utrzymać wysokość swych płac. A i ten sposób zaczynał im się wymykać.

Przerwy w wytwórczości, nieodłączne od ustroju kapitalistycznego, wywołały taki brak pracy, że w niektórych gałęziach przemysłu za ledwie strajk rozpoczęto, już bezrobotni zajmowali miejsce strajkujących. Wreszcie ci nieszczęśliwi wytwórcy pogrążyli się w ponurej apatji, której nic nie zdołało rozweselić, nic nie gniewało. Były to narzędzia potrzebne i doskonale do stanu społeczeństwa przystosowane.

Zważywszy wszystko — ten układ socjalny zdawał się być jeszcze najpewniejszy, jaki kiedykolwiek widziano przynajmniej u ludzkości, bo u pszczoł i mrówek jest on niezrównany pod względem stałości. Nic nie pozwalało przewidywać upadku ustroju zbudowanego na tem, co jest najsilniejsze w naturze ludzkiej: na dumie

i chciwości. Jednak przezorni obserwatorzy odnajdywali kilka powodów do zaniepokojenia. Najpewniejsze, chociaż najmniej widoczne, były natury ekonomicznej i zasadały się na coraz wzrastającej nadprodukcji, wywołującej długie i okrutne bezrobocia, którym co prawda przemysłowcy zawdzięczali złamanie siły robotników, przeciwstawiając niepracujących pracującym. Dotkliwsze niebezpieczeństwo wynikało z fizjologicznego stanu prawie całej ludności. «Zdrowie klas biednych jest takim, jakim być może, mówili higieniści; ale zdrowie klas bogatych dużo do życzenia pozostawia». Nie trudno było znaleźć tego przyczyny. W mieście brak było potrzebnego tlenu; oddychano powietrzem sztucznym; trusty spożywcze, dokonywując najśmielszych syntez chemicznych, wytwarzały sztuczne wina, mięsiwa, mleko, owoce, jarzyny. Ten rodzaj pożywienia wywoływał zaburzenia żołądkowe i mózgowe.

Miljarderzy byli łysi w ośmnastym roku życia, niektórzy zdradzali chwilami niebezpieczną słabość umysłową; zaniepokojeni swem zdrowiem dawali olbrzymie sumy głupim czarownikom. Widziano w mieście wybuchające nagle, jak meteory wielkie fortuny medyczne lub teologiczne jakiegoś niecnego posługacza kąpielowego, pozującego na terapeutę lub proroka.

Liczba obłąkanych wzrastała ciągle, samobójstwa przerażająco mnożyły się w sferach zamożnych, a wiele z nich — w okolicznościach

okrutnych i dziwacznych, świadczących o niesłychanem zwyrodnieniu inteligencji i wrażliwości.

Inny złowrogi symptom uderzał silnie ogół umysłów. Katastrofy odtąd perjodyczne, regularne, zajmowały w statystyce miejsce coraz wydatniejsze. Codzień maszyny pękały, domy wyskakiwały w powietrze, pociągi pełne towarów wpadały na bulwary, burząc całe połacie nieruchomości i miażdżąc po kilka setek przechodniów, a przez zapadły grunt druzgocąc dwa, trzy piętra warsztatów i doków, w których pracowały liczne rzesze robotników.

§ 2

W południowo-wschodniej stronie miasta, na wzgórzu, które zachowało było dawną swą nazwę fortu Świętego Michała, rozciągał się skwer, na którym stare drzewa rozpościerały jeszcze nad trawnikami wyczerpane swe konary. Na północnym stoku wzgórza, architekci-pejzażyści zbudowali byli kaskadę, grotę, potok, jezioro, wyspy. Z tej strony widać było miasto jak na dłoni z jego ulicami, bulwarami, placami, niezliczonymi dachami i kopułami, nadpowietrznymi drogami i tłumem ludzkim; wszystko okryte milczeniem i jakby zaczarowane odległością. Skwer ten był najzdrowszym miejscem w stolicy, dymy nie zaćmiewały tu nieba, tutaj wyprowadzano też dzieci na przechadzkę. Latem kilku

urzędników sąsiednich biur i pracowni przychodziło spocząć tu chwilkę po śniadaniu; nie mając cichej samotni tego ustronia.

W ten sposób pewnego czerwcowego dnia, około południa, telegrafistka, Karolina Meslier, siadła na ławce na krańcu tarasy od północy. By oczy swe trochę zielenią ucieszyć, zwróciła się plecami do miasta. Brunetka, o burych źrenicach, silna i spokojna, Karolina wyglądała na lat dwadzieścia pięć, dwadzieścia ośm. Prawie zaraz urzędnik trustu elektrycznego, Jerzy Clair, zasiadł przy niej. Blondyn, szczupły, gibki, miał rysy twarzy prawie niewieściej delikatności; był może nie starszy od niej, a wydawał się młodszym. Prawie codzien spotykali się w tem miejscu i poczuli sympatję do siebie; mieli przyjemność w rozmawianiu ze sobą. Jednak rozmowa ich nie była nigdy tkliwą, miłosną, poufną, Karolina, choć w przeszłości zdarzyło jej się żałować swego zaufania, byłaby może zdobyła się na większe oddanie, ale Jerzy Clair okazywał się zawsze niezmiernie powściągliwym tak w wyrażeniach jak manierach, rozmowie nadawał stale charakter czysto intelektualny i utrzymywał ją w ideach ogólnych. O wszystkim zresztą mówił z największą swobodą.

Mówił z nią chętnie o organizacji społeczeństwa i o warunkach pracy.

— Bogactwo — mówił — jest jednym ze sposobów, by żyć szczęśliwie, bogacze zrobili zeń jedyny cel istnienia.

I ten stan rzeczy obojgu wydawał się potwornym. Powracali zawsze do pewnych kwestyj naukowych, które nie były im obce.

Tego dnia robili uwagi nad ewolucją chemji.

— Od chwili — rzekł Clair — gdy ujrzano rad, przekształcający się w hel, przestano wierzyć w niezmiennosc ciał prostych; tak zniesione zostały wszystkie dawne prawa stosunków prostych i prawo zachowania materji.

— Jednak — rzekła — istnieją prawa chemiczne.

Mówiła tak, bo będąc kobietą, potrzebowała wiary.

On ciągnął dalej niedbale:

— Teraz, kiedy można otrzymać rad w dostatecznej ilości, a wiedza posiada niezrównane środki analizy, można już przewidzieć w tak zwanych ciałach prostych, składniki niezmiernie potężne. Odnajdują się w materji energje, które wzrastać się zdają z racji samej swej mności.

Rozmawiając, ciskali okruszyny chleba ptakom; wokoło nich bawiły się dzieci.

Przechodząc z jednego tematu na drugi, rzekł:

— Wzgórze to, w epoce czwartorzędowej, zamieszkałe było przez dzikie konie. Przeszłego roku, gdy kopano tu wodociągi, znaleziono gruby pokład kości tych zwierząt.

Ona zapragnęła wiedzieć, czy w owej odległej epoce istniał już człowiek.

Odrzekł jej, że człowiek polował na konie te, zanim próbował je oswoić.

— Człowiek — dodał — był naprzód myśliwym, potem pasterzem, rolnikiem, przemysłowcem... I rozmaite te cywilizacje następowały po sobie przez warstwy czasu, jakich umysł pojąć nie może.

Wyciągnął zegarek.

Karolina zapytała, czy już czas powracać do biura.

Odrzekł, że nie, że jest zaledwie pół do pierwszej.

Dziewczynka jakaś stawiała babki z piasku przed ich ławką; mały siedmio-ośmioletni chłopczyk w podskokach przebiegł przed nimi. Podczas gdy matka jego szła na sąsiedniej ławce, on sam jeden bawił się w konia, co ponosi, i z siłą wyobraźni, do jakiej zdolne są dzieci, wyobrażał sobie, że jest jednocześnie koniem, tymi, co gonią, i tymi, co z przerażeniem uciekają przed nim. Biegł, skacząc i krzycząc: «Stój, łapaj, hu, hu! Ten koń jest straszny; jak on ponosi!»

Karolina zapytała:

— Czy sądzisz pan, że ludzie byli dawniej szczęśliwsi?

Towarzysz jej odpowiedział:

— Mniej cierpieli, gdyż byli młodzi. Czynili tak, jak ten chłopczyk — bawili się; bawili się w sztuki, w cnotę, w występki, w bohaterstwo, w wierzenia, w rozkosze; mieli złudzenia, które ich bawiły. Robili wrzawę, bawili się. A teraz...

Przerwał i znów spojrział na zegarek.

Biegający chłopczyk zawadził nogą o wiaderko dziewczynki i jak długi — upadł na żwir.

Pozostał chwilę nieruchomo, potem uniósł się na dłoniach; czoło jego zmarszczyło się, usta rozszerzyły i nagle wybuchnął płaczem. Matka przybiegła, ale Karolina już była go podniosła i ocierała mu oczy i buzię chusteczką. Dziecko szlochało jeszcze; Clair wziął je na rękę.

— No, nie płacz, mój mały! Opowiem ci bajkę.

«Rybak, zarzuciwszy sieci swe do morza, wyłowił mały, miedziany garnek, szczelnie zamknięty; otworzył go nożem. Z garnka wydobył się dym, który wzniósł się aż w obłoki i dym ten, gęstniejąc, utworzył olbrzyma, który kichnął tak mocno, że świat cały w proch się rozsypał»...

Clair umilkł, roześmiał się sucho i nagle zwrócił dziecko matce. Potem znów wyciągnął zegarek i klękawszy na ławce, z łokciami na poręczy, spojrział na miasto.

Jak okiem sięgnąć, wznosiły się domy drobne w swym ogromie.

Karolina zwróciła oczy w tę samą stronę.

— Jaka piękna pogoda! — rzekła. — Słońce świeci i zamienia w złoto dymy widnokręgu. Najprzykrszejszem w cywilizacji jest to że pozbawia nas ona światłości dziennej.

Nie odpowiadał, wzrok jego spoczywał na jednym punkcie miasta.

Po kilku sekundach milczenia ujrzeli, w odległości mniej więcej trzech kilometrów, poza

rzeką, w najbogatszej dzielnicy, wznoszący się rodzaj mgły tragicznej. W chwilę później doszedł aż do nich odgłos wybuchu, podczas gdy pod czyste niebo wzniosły się olbrzymie kłęby dymu. I z każdą chwilą powietrze nappełniało się nieuchwytnem brzęczeniem, utworzonym z okrzyków kilku tysięcy ludzi. Krzyki wybuchały też blisko na samym skwerze.

— Co wyleciało w powietrze?

Zdumienie było wielkie, bo choć katastrofy takie były częste, nie widziano nigdy wybuchu o takiej sile i każdy spostrzegal, że jest w tem coś nowego.

Próbowano oznaczyć miejsce katastrofy; nazywano dzielnice, ulice, różne gmachy, kluby, teatry, magazyny. Określenia topograficzne stawały się ściślejsze, utrwały się.

— To trust stalowy wyleciał w powietrze. Clair włożył zegarek do kieszeni.

Karolina patrzyła na niego z natężoną uwagą i oczy jej nappełniały się zdziwieniem.

Wreszcie szepnęła mu do ucha:

— Wiedziałeś pan o tem? Czekaleś?... To pan...

Odrzekł bardzo spokojny:

— Miasto to musi zginąć!

Odrzekła w słodkiem rozmarzeniu:

— I ja tak myślę.

I oboje spokojnie powrócili do swej pracy.

Począwszy od tego dnia, zamachy anarchistyczne powtarzały się cały tydzień bez przerwy. Ofiary były liczne, prawie wszystkie należały do klas ubogich. Zbrodnie te wywołały ogólne potępienie. Najżywsze oburzenie panowało wśród służby domowej, restauratorów, drobnych urzędników i wśród drobnego kupiectwa, któremu jeszcze trusty istnieć pozwalały. W ludowych dzielnicach, kobiety domagały się mąk niezwykłych dla dynamitardów. (Nazywano ich tak dawnem imieniem, nie bardzo dla nich stosownem, bo dla tych nieznanym chemików, dynamit był materją niewinną, dobrą jedynie dla niszczenia mrowisk. Uważali oni za dziecinną zabawkę doprowadzanie nitrogliceryny do wybuchu za pomocą rtęci). Interesy nagle stanęły i mniej bogaci, pierwsi uczyli się tem dotknięci. Mówili o wymierzeniu sprawiedliwości anarchistom. Robotnicy fabryczni byli obojętni lub wrodzy tym czynom gwałtu. Zagrożeni, wskutek zmniejszonych obrotów, bliskim brakiem pracy, lub może lokautem, obejmującym wszystkie warsztaty, oparli się federacji syndykatów, proponującej ogólny strajk, jako najpotężniejszy środek działania na chlebobawców i najskuteczniejszą pomoc dla rewolucjonistów; wszystkie rzemiosła z wyjątkiem pozłotników, odmówiły zaprzestania pracy.

Policja dokonała licznych aresztowań. Wojska ściągnięte ze wszystkich punktów kraju, strze-

gły budynków trustów, pałaców miliardów, zakładów publicznych, banków, wielkich magazynów. Dwa tygodnie minęło bez wybuchu. Wywnioskowano stąd, że dynamitardzi, których jest zapewne garstka, albo jeszcze mniej, zginęli, albo są ujęci, ukryci, lub też w ucieczce.

Ufność powróciła; powróciła najprzód u najbiedniejszych. Dwa czy trzykroć sto tysięcy żołnierzy rozmieszczonych w dzielnicach ludowych, ożywiło handel; wołano: «Niech żyje armja!»

Bogaci, którzy się byli mniej zaniepokoiłi, uspakajali się powolniej. Lecz na giełdzie grupa, spekulująca na zwyżkę, rozsiewała optymistyczne wiadomości i potężnym wysiłkiem zahamowała zniżkę; interesy ożywiły się. Poczytne dzienniki poparły ten ruch; z patryotycznym krasomówstwem przedstawiły one nietykalność kapitału, kpiącego sobie z nikczemnych ataków kilku niecznych zbrodniarzy. Oto bogactwo publiczne, mimo próżnych grózb, dalej pogodnie się zwiększa. Dzienniki były szczere i dobrze wychodziły na tem. Zapomniano o zamachach, zaprzeczano im.

W niedzielę na wyścigach, trybuny zapęłniły się paniami obarczonemi, obciążonemi perłami i brylantami. Z radością stwierdzono, że kapitaliści nic nie ucierpieli. Przy wadze powitano miliardów okrzykami.

Nazajutrz wyskoczył w powietrze dworzec południowy, trust naftowy i wspaniały kościół, wzniesiony kosztem Tomasza Moccelet; trzydzieści domów spłonęło, wybuchł pożar w dokach.

Strazacy zdumiewali poświęceniem i odwagą. Z automatyczną dokładnością manewrowali długimi, żelaznymi drabinami i wspinali się aż na trzydzieste piętro domów, by nieszczęśliwych wrywać z płomieni. Żołnierze z zapalem pełnili służbę w celu utrzymania porządku i dostali podwójną porcję kawy. Ale nowe te wybuchy wywołały panikę. Miljony osób, pragnących wyjechać natychmiast, podejmuje swe pieniądze, tłoczy się w wielkich zakładach kredytowych, które po trzydniowej wypłacie wśród pomruku buntu, zamknęły okienka kasowe. Tłumy uciekających, obciążonych bagażami oblegały dworce, szturmem zdobywały pociągi. Ludzie, którym śpieszno było schronić się do piwnic z zapasami żywności, rzucało się na sklepy korzenne i spożywcze, które strzeżone były przez żołnierzy, z zatkniętymi bagnetami. Władze publiczne wykazały energję. Dokonano nowych aresztowań, tysiące nakazów uwięzienia wydano przeciwko osobom podejrzanym.

Przez następne trzy tygodnie nie nastąpił wybuch. Obiegały pogłoski, że znaleziono bomby w sali Opery, w piwnicach ratusza i przy jednej z kolumn Gieldy. Ale dowiedziano się wkrótce, że były to pudelka konserw, podłożone przez żartownisiów lub obłąkanych.

Jeden z oskarżonych, badany przez sędziego śledczego, przyznał się, że jest głównym sprawcą wybuchów, których ofiarą — mówił — padli wszyscy jego współnicy. Zeznania te, ogłoszone

przez dzienniki, przyczyniły się do uspokojenia opinii publicznej. Dopiero pod koniec śledztwa sędziowie spostrzegli, że znajdują się wobec symulatora, nie mającego absolutnie nic wspólnego z zamachami.

Eksperci wyznaczeni przez sąd nie mogli odnaleźć żadnego odłamka, który pozwoliłby im odtworzyć przyrząd, użyty do zniszczenia. Według ich wniosków, nowy materiał wybuchowy był gazem, wydzielanym przez rad, i przypuszczano, że fale elektryczne wytworzone przez oscylator nowego typu, rozchodząc się w przestrzeni, wywoływały wybuch. Ale najzdolniejsi chemicy nie mogli nic ścisłego i pewnego wypowiedzieć w tej kwestji. Jednego dnia wreszcie dwóch agentów policji, przechodząc koło hotelu Mayera, znalazło na chodniku, tuż przy otworze kanałowym, jajko z białego metalu, zaopatrzone kapsłą w jednym końcu; podnieśli je ostrożnie i na rozkaz swego zwierzchnika zanieśli do laboratorjum miejskiego. Zaledwie eksperci zbliżyli się, by je zbadać, gdy jajko wybuchło, przewracając amfiteatr i kopułę. Wszyscy eksperci zginęli, a wraz z nimi generał artylerji Collin i znakomity profesor Tigve.

Nowa ta klęska nie zbiła z tropu społeczeństwa kapitalistycznego. Wielkie zakłady kredytowe na nowo otwarły swe kasy i zawiadomiły, że uskutecznią będą wypłaty częścią w złocie, częścią w papierach państwowych. Giędy pieniężna i towarowa, mimo zupełnego przerwa-

nia tranzakcyj, postanowiły nie zawieszać swych czynności.

Tymczasem śledztwo, dotyczące pierwszych oskarżonych było skończone. Może w innych okolicznościach nagromadzone przeciw nim poszlaki, byłyby niedostateczne; ale gorliwość sędziów i oburzenie ogólne brak ten zastępowały.

W wilgę dnia wyznaczonego dla rozprawy, sąd wyskoczył w powietrze; zginęło w tem ośmset osób, w czem wielu sędziów i adwokatów. Tłum wściekły wpadł do więzienia i zlynchował więźniów. Wojsko, przysłane dla przywrócenia porządku, przyjęło strzałami rewolwerowymi i gradem kamieni; kilku oficerów zrzucano z koni i potratowano. Żołnierze dali ognia, były liczne ofiary. Wojsku udało się przywrócić spokój. Nazajutrz Bank wyleciał w powietrze.

Odtąd oglądano rzeczy niesłychane. Robotnicy fabryczni, którzy odmówili byli strajku, tłumnie rzucili się na miasto i podpalali domy. Pułki całe pod wodzą oficerów przyłączały się do robotników podpalaczy, przebiegały z nimi miasto, śpiewając hymny rewolucyjne, a potem udały się do doków po beczki z naftą dla podsycenia ognia.

Pewnego ranka nagle wzniosło się drzewo olbrzymie, widmo palmy na trzy kilometry wysokie, nad miejscem, gdzie wznosił się ogromny pałac telegrafów, w jednej chwili pochłonięty ze szczytem.

Podczas gdy pół miasta gorzało, w drugiej połowie, życie toczyło się zwykłym trybem. Z rana

słysząc było blaszanki, dzwiczące na wózku rozwoziciela mleka. W opustoszałej alei, stary żołnierz wsparty o mur, z butelką między kolanami, zwolna żuł chleb i resztki jakiejś potrawy. Prezesowie trustów prawie wszyscy byli na swoich stanowiskach. Niektórzy spełniali swe obowiązki z bohaterską prostotą. Rafael Box, syn miliardera męczennika, wyleciał w powietrze, prezydując ogólnemu zgromadzeniu trustu cukrowego. Wyprawiono mu wspaniały pogrzeb; pochód musiał sześć razy wspinać się po szczątkach gruzów lub po deskach przechodzić przez zapadnięte ulice.

Zwykli pomocnicy bogaczy, subjekci, urzędnicy, ajenci, zachowali dla nich wierność niewzruszoną. W zwykłym terminie, woźni zburzonego banku, pozostali przy życiu, szli przedstawiać weksle przez zburzone drogi, do dymiących domostw. Kilku dla uskutecznienia swego inkasa zginęło w płomieniach.

Mimo to nie można było dłużej mieć złudzeń; niewidzialny nieprzyjaciół był panem miasta. Teraz odgłos wybuchów panował stale, jak milczenie za ledwie dosłyszalny, niepokonany i straszny.

Aparaty oświetlające zostały zniszczone, więc miasto w nocy pogrążone było w ciemnościach i działy się tam gwałty niesłychanej potworności. Tylko dzielnice ludowe, mniej doświadczone, broniły się jeszcze. Ochotnicy pełnili tam służbę bezpieczeństwa; rozstrzeliwali złodziei, na każdym rogu ulicy można było potknąć się o ciało,

leżące w kałuży krwi, z rękami związanemi, z chustką na twarzy i tablicą z napisem na pierśsiach.

Niepodobieństwem stawało się grzebanie zmarłych i oczyszczanie miasta z gruzów. Wkrótce woń, jaką wydawały rozkładające się ciała, stała się nie do zniesienia. Wybuchły epidemie, które spowodowały tysiące zgonów, pozostałych przy życiu uczyniły wątłymi i ogłupiałymi. Głód dokonał reszty.

Sto czterdziestego pierwszego dnia po pierwszym zamachu, kiedy nadciągnęło sześć korpusów armji z artylerją polową i oblężniczą, w nocy, w najuboższej dzielnicy miasta, jedynej jaka pozostała, a teraz otoczona była łańcuchem płomieni i dymów — Karolina i Clair na dachu wysokiego domu trzymali się za ręce i patrzyli. Zdołu dochodziły wesole śpiewy tłumu, który szalony tańczył na zgliszczach.

— Jutro — rzekł mężczyzna — wszystko się skończy i tak będzie lepiej.

Młoda kobieta z rozpuszczonym włosom, z twarzą oświetloną blaskiem pożaru, ze skupioną radością przyglądała się zaciskającej się wokół nich obręczy płomieni.

— Tak, będzie lepiej — powtórzyła.

I rzucając się w objęcia niszczyciela złożyła na jego ustach namiętny pocałunek.

Inne miasta w państwie ucierpiały także wskutek zamieszek i gwałtów, potem ład przywrócono. Wprowadzono reformy do instytucyj; w obyczajach wielkie zaszły zmiany; ale kraj nie przyszedł już do siebie po stracie swej stolicy i nie odzyskał nigdy dawniejszego dobrobytu. Handel, przemysł znikły; cywilizacja, która strony te nad inne ukochała, porzuciła je zupełnie. Stały się jałowe i niezdrowe; grunt, który żywił był tyle milionów ludzi, był już tylko pustynią. Na wzgórzu fortu Świętego Michała pasły się dzikie konie.

Dnie płynęły, jak źródlane wody; wieki miały niby krople, spadające z sopli stalaktytów.

Myśliwi przyszli polować na niedźwiedzie na wzgórzach zapomnianego miasta; pasterze przywiedli tu swoje stada; rolnicy pchali swoje pługi; ogrodnicy uprawiali sałatę i szczepili grusze w zagrodach. Nie byli bogaci, nie znali sztuk pięknych; latorośl winna i krzaki róż pokrywały ściany ich chat, owcza skóra służyła za odzież dla ich ogorzałych ciał; kobiety ich ubierały się w wełnę własnego przędzenia. Pastuchowie lepili z glinki małe figurki ludzi i zwierząt, lub śpiewali piosnki o dziewczynie, idącej do lasu ze swym kochankiem i o kozach, pasących się przy szumie drzew i szmerze strumyka. Gospodarz gniewał się, że robaki zjadają mu figi; rozmyślał nad zasadzkami, które broniłyby jego

kur przed lisem o puszystym ogonie. Nalewając wino sąsiadom, mówił:

— Pijcie! Koniki polne nie uszkodziły mi zbioru; gdy przyszły, winne grona były już zebrane.

Potem, z biegiem wieków, bogate wioski, pola ciężkie od plonu, zostały zniszczone, zrabowane przez barbarzyńskich najeźdźców. Kraj kilka razy zmieniał panów. Zdobywcy zbudowali zamki na wzgórzach; rolnictwo wzmogło się; powstały młyny, kuźnie, garbarnie, tkalnie, poprowadzono drogi przez lasy i bagna; rzeka pokryła się statkami i łodziami. Wioski powiększały się stale i razem połączone utworzyły miasto, które zabezpieczyło się głębokimi fosami i wysokimi murami. Potem już, jako stolicy wielkiego Państwa, ciasno mu było w obrębie tych stoków, odtąd zbytecznych, przekształcono je więc na piękne zielone planty.

Miasto wzbogaciło się i rozrosło niepomier- nie. Najwyższych domów nie uważano za dość wysokie, podwyższano je ciągle i budowano je na trzydzieści do czterdziestu pięter, gdzie jedne nad drugimi mieściły się biura i magazyny, kantory bankierskie, siedziby rozmaitych towarzystw. Coraz głębiej kopano w gruncie piwnice i tunele. Piętnaście milionów ludzi pracowało w tem mieście-olbrzymie.



S P I S R Z E C Z Y:

- Przedmowa* str. 1
- Księga pierwsza. Dzieje pierwotne* . . . „ 13
- Rozdziały: Żywot Świętego Maëla. — Powołanie apostołskie Świętego Maëla. — Kuszenie Świętego Maëla. — Żegluga Świętego Maëla po Oceanie Lodowatym. — Chrzest Pingwinów. — Narada w Raju. — Metamorfoza Pingwinów.*
- Księga druga. Czasy starożytne* . . . str. 50
- Rozdziały: Pierwsze szaty. — Pierwsze osłony. — Rozgraniczenie pól i początki własności. — Pierwsze zgromadzenie stanów pingwińskich. — Śluby Krakena i Orberozy. — Smok z Alca.*
- Księga trzecia. Wieki Średnie i Odrodzenie* str. 95
- Rozdziały: Drako Wielki. Przeniesienie relikwii Świętej Orberozy. — Królowa Crucha. — Piśmiennictwo: Johannes Talpa. — Sztuki piękne: Prymitywi malarstwa pingwińskiego. Wizja Margaritone. — Marbode. Zstąpienie Marboda do piekieł. — Znaki na księżycu.*
- Księga czwarta. Czasy nowożytne: Trinco* str. 136
- Rozdziały: La Rouquine. — Trinco. Podróż młodego Djambi do Pingwinji. — Podróż doktora Ornubile.*
- Księga piąta. Czasy nowożytne: Chattillon* str. 152
- Rozdziały: Wielebni ojcowie Agaric i Cornemuse. — Księżę Crucho. — Narada. — Wicehrabina Olive. — Księżę de Boscenos. — Upadek Edmirata — Zakończenie.*

Księga szósta. Czasy nowożytne: Sprawa osmdziesięciu tysięcy wiązek siana str. 199

Rozdziały: Jenerał Greatauk, Księżę na Skull.—Pyrot.—Hrabia de Maubec de la Dentdulynx.—Colomban.—Wielebni ojcowie Agaric i Cornemuse.—Siedmiuset Pyrotów.—Bidault-Coquille i Maniflore. Socjaliści.—Proces Colombana.—Ojciec Douillard.—Radca Sądowy Chaussepied.—Zakończenie.

Księga siódma. Czasy nowożytne: Pani Cérès str. 261

Rozdziały: Salon Pani Clarence.—Fundacja Świętej Orberozy.—Hipolit Cérès.—Małżeństwo męża politycznego.—Gabinet Visire.—Sofa faworyty.—Pierwsze skutki.—Dalsze skutki.—Ostatnie skutki. Apogeum cywilizacji pingwińskiej.

Księga ósma. Czasy przyszłe: Historia bez końca str. 323

P O W I E Ś C I

WYCIĄG Z KATALOGU TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
(J. MORTKOWICZA) w WARSZAWIE, MAZOWIECKA 12.

<i>Byrne Donn.</i> MESSER MARCO POLO. Przekład St. Kuzelewskiej	2.—
	kart. 2.50
	opr. 4.—
<i>Dąbrowska M.</i> LUDZIE STAMTAD. Cykl opowieści	4.50
	opr. 10.50
	oprawne w skórę do 33.—
<i>France A.</i> ZBRODNIA SYLWESTRA BONNARD	6.—
— THAIS	5.50
— GOSPODA POD KRÓLOWĄ GĘSIĄ NÓŻKA	6.50
— BOGOWIE ŁAKNĄ KRWI.	6.50
— WYSPA PINGWINÓW	(w druku)
— W CIENIU WIĄZÓW	"
— MANEKIN TRZCINOWY	"
— PIERŚCIEN Z AMETYSTEM.	"
— CZERWONA LILJA	"
— KSIĄŻKA MOJEGO PRZYJACIELA	"
<i>Gogol M.</i> MARTWE DUSZE. Przekład Wł. Broniewskiego	2 tomy po 2.—
	kart. „ 2.50
	razem opr. 7.—
<i>Istrati Panalt.</i> KYRA KYRALINA. Przekł. H. Jel.	2.90
<i>Jacobsen J. P.</i> NIELS LYHNE. Przekład i wstęp M. Dąbrowskiej	2 tomy po 2.—
	kart. „ 2.50
	razem opr. 7.—

<i>Korczak J.</i> DZIECKO SALONU	2.—
	kart. 2.50
	opr. 4.—
— KIEDY ZNÓW BĘDĘ MAŁY	4.50
	opr. 7.50
<i>Kuncewiczowa M.</i> PRZYMIERZE Z DZIECKIEM	2.—
	kart. 2.50
	opr. 4.—
— TWARZ MEŹCZYZNY	5.—
	opr. 8.—
<i>Lagerlöf S.</i> WSPOMNIENIA Wybór i przekł. J. Mortko- wiczowej	2.—
	kart. 3.50
<i>Martin du Gard R.</i> LES THIBAUD. Dzieje jednego rodu. Przekł. H. Jel cz. I. Szary zeszyt	2.90
	cz. II. Pokuta 4.—
<i>Morkowiczówna H.</i> GORYCZ WIOŚNIANA	5.50
	opr. 8.50
<i>Naglerowa H.</i> MOTYW KSIĘŻYCA	3.—
— ZAWALIDROGA	7.—
<i>Nalepiński T.</i> KAZIA	2.—
	kart. 2.50 opr. 4.—
<i>Nałkowska Z.</i> HRABIA EMIL	1.50
	kart. 3.—
— LODOWE POLA	2.—
	kart. 2.50
	opr. 4.—
<i>Novalis.</i> HENRYK OFFTERDINGEN. Przekł. Fr. Mirandoli	1.50
<i>Rolland R.</i> PIOTR I ŁUCJA. Idylla tragiczna. Przekł. M. Za- bojeckiej i H. Bezmaskiego	1.50
	kart. 3.—
<i>Rymkiewicz W.</i> PRAWO DO MIŁOŚCI	6.50
<i>Stedlecki M.</i> prof. OPOWIEŚCI MALAJSKIE. (Z cyklu „Exotica“). Inicjały i okładka rysunku autora	5.—
	opr. 10.—
	opr. w skórę 25.—

<i>Strug A.</i> CHIMERA. Wydanie drugie	10.—
	opr. 13.—
— DZIEJE JEDNEGO POCISKU. Wydanie trzecie.	6.—
	opr. 9.—
— FORTUNA KASJERA ŚPIEWANKIEWICZA	7.—
	opr. 10.—
— JUTRO. Wydanie trzecie.	3.—
	opr. 6.—
— KLUCZ OTCHŁANI. Wydanie drugie.	7.—; opr. 10.—
— KRONIKA ŚWIECIECHOWSKA. Wyd. drugie. 6.—; opr.	9.—
— LUDZIE PODZIEMNI. Wydanie trzecie.	6.—
	opr. 9.—
— MOGIŁA NIEZNAWEGO ŻOŁNIERZA.	
	Wydanie nowe (w druku)
— ODZNAKA ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ. Wyd. drugie.	
— OJCOWIE NASI. Wydanie trzecie.	8.—
	opr. 11.—
— PIENIĄDZ. Wydanie drugie.	10.—
	opr. 13.—
— POKOLENIE MARKA ŚWIDY. Wyd. drugie	7.50
	opr. 10.50
— PORTRET. Wydanie trzecie.	8.—
	opr. 11.—
— W TWARDEJ SŁUŻBIE. Wydanie drugie	5.—
	opr. 8.—
— ZE WSPOMNIEŃ STAREGO SYMPATYKA.	
	Wydanie drugie.
	opr. 9.—
<i>Szelburg E.</i> DOKĄD?	2.—
	kart. 2.50; opr. 4.—
— DZIEWCZYNA Z ZIMORODKIEM.	5.—
	opr. 8.—
<i>Wassermann J.</i> KRZYSZTOF KOLUMB. Don Kichot Oceanu	
	(w druku)
<i>Wołoszynowski J.</i> O TWARDOWSKIM, synu ziemianki, oby-	
watelu piekiel, dziś księżycowym lokatorze. 2 tomy po 2.—	
	kart. po 2.50; razem opr. 7.—

Żeromski St. CHARITAS. Powieść. (Walka z szatanem, część trzecia)	6.—
	opr. 9.—
— DZIEJE GRZECHU. Powieść. 2 tomy	12.—
	opr. 18.—
— LUDZIE BEZDOMNI. Powieść 2 tomy	10.—
	opr. 16.—
— NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. (Walka z szatanem, część pierwsza)	6.—
	opr. 9.—
— OPOWIADANIA.	4.20
	opr. 7.20
— POMYŁKI	3.—
	opr. 6.—
— POPIOŁY. Powieść historyczna 3 tomy	18.—
	opr. 27.—
— PROMIĘŃ. Powieść	3.20
	opr. 6.20
— PRZEDWIOŚNIE. Powieść	7.50
	opr. 10.50
— ROZDZIOBĄ NAS KRUKI, WRONY....	5.—
	opr. 8.—
— SYZYFOWE PRACE. Powieść	5.50
	opr. 8.50
— URODA ŻYCIA. Powieść. 2 tomy	10.—
	opr. 16.—
— UTWORY POWIEŚCIOWE	5.—
	opr. 8.—
— WIATR OD MORZA. Powieść.	5.—
	opr. 8.—
— WIERNA RZĘKA. Klechda domowa	4.—
	opr. 7.—
— ZAMIEĆ. Powieść. (Walka z szatanem, część druga)	5.—
	opr. 8.—



STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

sp/3987